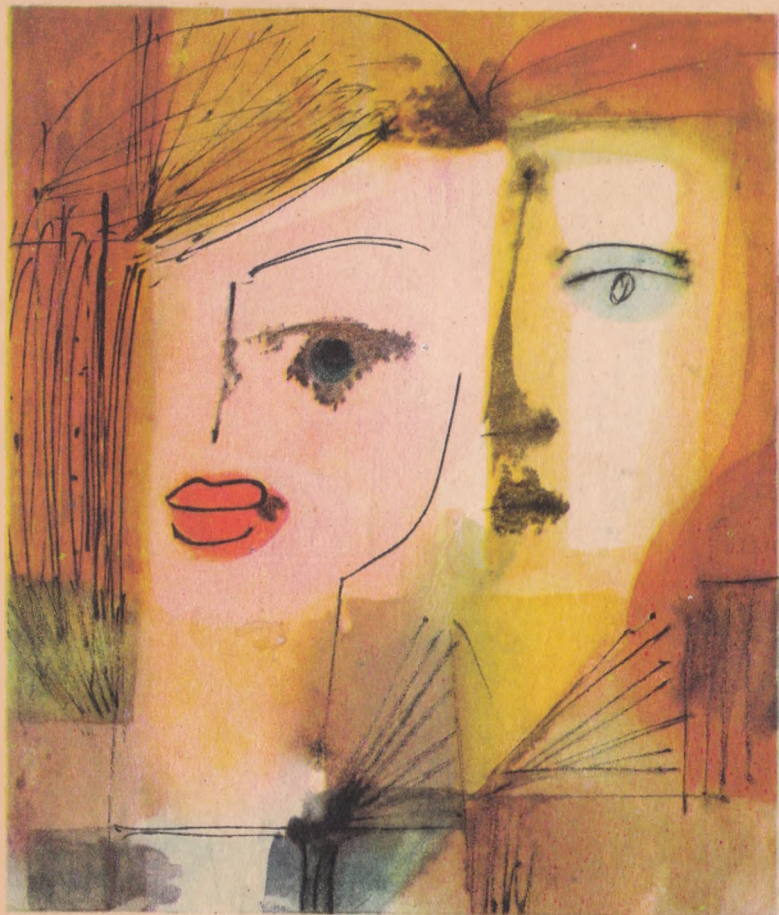




Mikołaj Kozakiewicz

Rozmowy intymne

PAŃSTWOWY ZAKŁAD WYDAWNICTW LEKARSKICH

Dr MIKOŁAJ KOZAKIEWICZ

Rozmowy intymne

o miłości
o płci i woli
o zdrowiu fizycznym i psychicznym
o wierności
o egoizmie
o kompleksach i zaburzeniach

WYDANIE III



WARSZAWA 1970

PAŃSTWOWY ZAKŁAD WYDAWNICW LEKARSKICH

Projekt okładki i ryciny
Barbara Dutkowska

Redaktor odpowiedzialny *Zofia Koszowska*
Redaktor techniczny *Bożena Sobczak*
Korektor *Irena Wesołowska*

PAŃSTWOWY ZAKŁAD WYDAWNICTW LEKARSKICH — WARSZAWA 1970

Wydanie III. Nakład 60 000 + 250 egz. Objętość 11,1 ark. wyd. = 14,25 ark.
druk, Papier druk. sat, kl V, 70 g. rola szer. 84 cm. Oddano do składania
w listopadzie 1969 r. Podpisano do druku i druk ukończono w marcu 1970 r.
Zamówienie nr 10337, K-49

ZAKŁADY GRAFICZNE „DOM SŁOWA POLSKIEGO” WARSZAWA

Cena zł 20.—

Spis treści

Przedmowa do wydania trzeciego	5
Przedmowa do pierwszego i drugiego wydania	7
Surogaty miłości	11
Pieć i wola	22
Pierwszy raz	36
Co to znaczy słuchać natury?	50
Na trasie z przeszkodami	64
Życie z handicapem	77
Falstarty	91
Etapy miłości	104
Inaczej niż inni	123
Tylko dla nieśmiałych	135
Higiena miłości	145
Egoizm w miłości	157
Nie tylko dla starych panien	170
Toto-lotek czy świadomy wybór	185
Z miłości czy z rozsądku?	195
Zazdrość	206
Rzecz o wierności	216
Gdzie szukać porady i pomocy	227

Przedmowa do wydania trzeciego

Od pierwszego wydania tej książki upłynęło lat pięć, od drugiego — lat cztery. W tym czasie co najmniej 2,5 miliona młodych Polaków przeszło granicę dzielącą dzieciństwo od młodości i stanęło w obliczu problemów stanowiących przedmiot tej książki. To skłoniło wydawcę do wznowienia tej pozycji, będącej jedną z wielu książek usiłujących z różnych stron i w różny sposób pomagać młodzieży w najbardziej intymnej dziedzinie ich życia.

Po pięciu latach, w czasie których autor otrzymywał setki listów od swoich czytelników, na większość których odpowiadał, stało się jasne, że w poprzednim wydaniu „Rozmów intymnych” były niedopowiedzenia i luki informacyjne.

Mimo zmęczenia tą dziedziną zagadnień, która podyktowała autorowi zapowiedź zakończenia swej działalności autorskiej w zakresie problematyki seksualnej właśnie „Rozmowami intymnymi”, nacisk czytelników i nalegania instytucji odpowiedzialnych za wychowanie seksualne sprawiły, że już po wydaniu „Rozmów intymnych” autor wydał broszurę dla kilkunastoletnich chłopców („Zanim przekroczysz próg”, PZWL, stron 125. Pierwsze wydanie w 1966 roku, drugie — w 1967) oraz książkę dla młodych małżeństw („Małżeństwo niemal doskonałe”, „Iskry”, Warszawa 1968, stron 275). To skłania go obecnie do przeprofilowania „Rozmów intymnych” jeszcze wyraźniej na młodzież starszą, stojącą jednak jeszcze przed decyzją małżeńską.

Dlatego też trzecie wydanie zostało przez autora przejrzane, poprawione i uzupełnione.

Autor oddaje trzecie wydanie „Rozmów intymnych” z nadzieją, że pomogą one nowym zastępom młodzieży, pięknie, szlachetnie i mądrze rozpoczynać swoje życie erotyczne oraz staną się elementem jej przygotowania do życia rodzinnego i małżeńskiego.

dr Mikołaj Kozakiewicz

Warszawa, marzec 1969

Przedmowa do pierwszego i drugiego wydania

Drogi Czytelniku!

Otrzymujesz książkę, której, mimo że dotyczy spraw płci, nie pisał lekarz. Pisał ją pedagog na wyraźne zamówienie ludzi w wieku do 25 lat.

W 1962 roku wyszła z druku pierwsza moja książka („O miłości prawie wszystko”, LSW, stron 150 + 78 ilustracji) poświęcona wiedzy o miłości. Zażądaliście w listach do mnie książki o życiu seksualnym. Ten tom spełnia to Wasze życzenie i na tym zamierzam skończyć swą działalność autorską w tej dziedzinie. Książkę tę napisałem jako pedagog, nie jest to więc poradnik seksuologiczny. Oczywiście, mówiąc o życiu seksualnym ludzi nie mogłem uniknąć problemów ściśle seksuologicznych, ale nie one stanowią główną treść tej książki. Pragnąłem pomóc młodym, którzy bądź dopiero stają na granicy tego przełomu, jaki dzieli młodzieńczość od młodości, bądź też dopiero zaczęli życie w mniejszym lub większym stopniu samodzielne i dorosłe.

O ile lekarze seksuolodzy zajmują się w swoich książkach głównie leczeniem chorób seksualnych, a więc starają się raczej prostować to, co już uległo skrzywieniu, naprawić to, co się popsło, o tyle założeniem mojej „humanistycznej seksuologii” (jak ją nazwał jeden z recenzentów-lekarzy) jest niedopuszczenie do tego, aby się coś popsło, skrzywiło lub uległo wypaczeniu. Przedmiotem tej książki są więc w zasadzie ludzie zdrowi, normalni,

o chorych mówię tylko tyle, ile jest konieczne, aby przestrzec zdrowych przed niebezpieczeństwami, jakie im grożą, jeśli nie będą dbali o mądre, właściwe ułożenie swoich spraw uczuciowych i seksualnych.

Cała książka ma charakter rozmowy z czytelnikiem, przy czym ani jedna z poruszonych w niej spraw nie została przeze mnie wymyślona, ani jednego problemu nie poruszyłem tylko dlatego, że interesował mnie samego. Całą treść tej książki określiliście Wy sami, pisząc do mnie w ciągu trzech lat za pośrednictwem redakcji „Radaru” tysiące listów.

Z góry jednak zastrzegam, że z ogromnego zakresu spraw poruszonych przez Was w listach do książki wybrałem tylko część — moim zdaniem — najważniejszą. Postąpiłem zaś tak dlatego, że nie wszystko i nie o wszystkim można pisać w książce, do której może sięgnąć zarówno dorosły, jak i dziecko. Jestem pedagogiem — a to zobowiązuje. Były bowiem w listach Waszych takie sprawy, o których można rozmawiać w dyskretnym i zaciśnym gabinecie psychiatry-seksuologa lub psychologa, ale o których nie można pisać w książce przeznaczonej dla szerokich rzesz odbiorców.

Ta moja powściągliwość wcale nie wynikała z jakiegś pruderii lub „zakłamania”, lecz z jednego ważnego względu pedagogicznego i jednego technicznego.

Chodzi o to, że niektóre sprawy byłyby przedwczesne dla kilkunastoletków, których z grona czytelników wykluczyć nie mogę, choć byłyby zapewne nader pożyteczne dla dorosłych. Gdybym pisał o nich, celując — jak to się mówi — „pośrodku”, okazałoby się na pewno, że dla kilkunastoletków moje uwagi są niepotrzebnie instruktywne, zaś dla dojrzałych małżonków wciąż zbyt powierzchowne i ogólnikowe. Względ techniczny zaś był taki, że ze spraw „zamawianych” przez Was mogłem poruszyć wyłącznie sprawy typowe i ogólne, nie mogłem zaś zagłębić się w przypadki szczególne, nie występujące dość masowo, aby poświęcać im uwagę w nie przeznaczoną dla specjalistów książce.

Zadaniem zaś tej książki nie jest pouczanie Was o tym,

„czego to nie bywa” w dziedzinie płci, lecz raczej zachęcenie Was do określonego, mądrego (moim zdaniem) stosunku do tej ważnej dziedziny życia. Tak więc nie upowszechnienie encyklopedycznej wiedzy o płci jest zadaniem tej książki, lecz zaprojektowanie rozsądnego sposobu życia w zakresie płci. W tej dziedzinie bowiem — jak i innych — nie wystarczy być biblioteką bogatą w monografie i encyklopedie. Chodzi jeszcze o to, aby bibliotekarz nie był głupcem. Słowem — nie wystarczy wiedzieć jak można żyć, trzeba jeszcze umieć żyć. A tego nieraz łatwiej się nauczyć nie z suchej, teoretycznej książki pisanej przez kogoś z wyżyn swej wiedzy czy autorytetu, ale poznając sprawy i przypadki żywych, konkretnych osób, takich jak ja i ty, i zastanawiając się wspólnie z autorem nad tym, jak w konkretnej sytuacji należy i można postępować.

Dziedzina życia płciowego i miłości, zwłaszcza w młodości, wybijają się nieraz na czoło różnorodnych potrzeb i zainteresowań człowieka, nigdy jednak, obiektywnie biorąc, nie jest życiowo najważniejsza, choć wszelkie niepowodzenie w tej dziedzinie może wywierać bardzo silny wpływ na całokształt życia i samopoczucie człowieka. Dlatego właśnie młodzi ludzie popełniają tak wiele błędów w tej dziedzinie życia, których skutki również sięgają daleko poza granice spraw i płci, i miłości. A, jak słusznie powiedział Jerzy Andrzejewski, „Przyczyny błędów bywają zazwyczaj groźniejsze od nich samych”. Dlatego też, jeśli jako pedagog chwyciłem za pióro, aby porozmawiać z Wami o tych trudnych sprawach, to tylko po to, aby pomóc Wam w usuwaniu przyczyn różnych niepokojących zjawisk, poprzez pokazanie i oświetlenie fałszywych mniemań i przesądów leżących najczęściej u ich podstaw. Nie przeceniajcie jednak pomocy, jakiej mogę Wam udzielić. W ostatecznym rezultacie, w praktyce, tylko Wy sami będziecie mogli kształtować swoje życie uczuciowe i życie seksualne i tylko od Was zależy zapobieżenie wszystkim grożącym błędom i zaburzeniom.

Sprawy płci i miłości, pod niemalym wpływem tradycyjnej moralności katolickiej w szerokich warstwach

społeczeństwa wciąż uchodzą za takie, „o których się nie mówi”, które są z istoty, z natury swej złe i naganne. Choć, jak przekonacie się, nie podzielam tego sądu (jak i coraz szersze odłamy naszego społeczeństwa), będziemy jednak mówić o tych sprawach z maksymalnym taktem i dyskrecją. A takt i dyskrecja, jak wiadomo, to taki sposób reagowania na niełatwe czy krępujące sprawy, przy których uniesienie brwi zastępuje podniesienie głosu lub pięści w wyklinającym geście. Przekonacie się, że problematyka płci i miłości wcale nie musi być „śliska”. I nie jest „śliska”. Śliską uczyniła ją ślina lejąca się od wieków z ust obłudników, faryzeuszów i dewotów. Spróbujemy wejść na wyżyny miłości, która wielu z Was dopiero jawi się we śnie i na jawie, jako niedostępna i kusząca góra. Wejdziemy wspólnie na tę górę, bo warto, bo z jej szczytu rozciąga się piękny i rozległy widok, który, niestety, nigdy nie staje się udziałem tych, którzy utknęli po rozpadlinach i w szczelinach jej zboczy.

Proponuję, żebyśmy spróbowali wspólnie dokonać takiego zwiadu w świat płci i miłości. Może mniej potem będzie błędzenia i potykania się po drodze. A więc zaczynamy...

dr Mikołaj Kozakiewicz

„Surogaty miłości”

„W miłości — pisał Stefan Zweig — tak jak w szachach, partner jest nieodzowny”. Ale już w odniesieniu do szachów ten aforyzm nie jest w pełni słuszny, boć przecież można rozgrywać partie systemem „sam ze sobą”.

„...Przechodzę właśnie ten okres, w którym przestaje się być dzieckiem, a wchodzi się w okres młodzieńczy, okres dojrzewania. Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie to chyba okres najtrudniejszy. Szczerze mówiąc, nieraz nie wiem, co mam ze sobą począć. Kiedyś, jeszcze dwa lata temu nie miałem żadnego pociągu do płci odmienniej (do dziewczynek). Lubilem bardzo miejsca spokojne, zaciszne i tam czyniłem te rzeczy, które właśnie młodzieńiec dojrzewający czyni. Co gorsza, wpadłem w nałóg onanistyczny. Nie mogę z tego wybrnąć. Utrzymuję się jakieś dwa lub trzy tygodnie, a potem na nowo. A teraz weszła nowa sprawa. Mam wielki pociąg do dziewczynek. Teraz nie wystarczy mi, że sam się wyładowuję, chcę z kimś się wyładować. Proszę o pilną radę w dwóch sprawach: Jak mam się odzwyczaić od samogwałtu? Co robić z dziewczynkami?...”

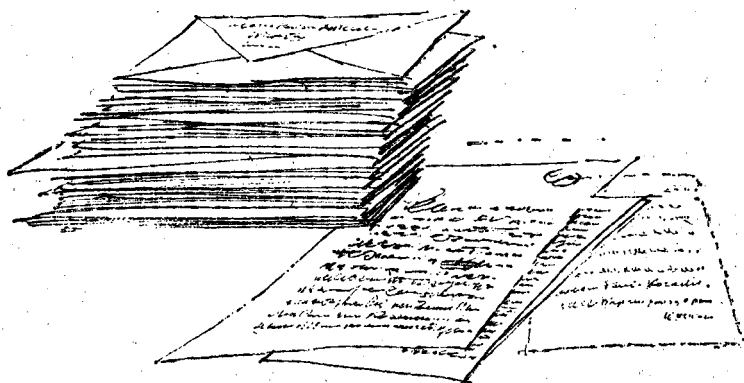
(Uczeń liceum, lat 16, miasto)

No i mamy pierwszą „śliską” sprawę na rozkładzie. Chłopcy w tym wieku piszą do mnie niemal wyłącznie w sprawach samogwałtu, czyli o onanizmie, czyli o ipsa-

cji, czyli masturbacji — bo tylu nazwami naukowymi i potocznymi ochrzczono ich seksualną niedolę. O czym to świadczy? Czy o budzeniu się miłości? Oczywiście, nie. Jest to tylko przebudzenie się popędu płciowego na skutek dojrzewania gruczołów płciowych, które zaczynając swą działalność wydzielają do krwi hormony, potężnie oddziałujące na rozwój fizyczny (wzrost narządów, owłosienie itd.) i na przestrojenie całej psychiki. A więc sprawa jak najzupełniej normalna i konieczna. Jest to faza niezbędna w życiu każdego człowieka, więc nie może być w niej nic brzydkiego ani „ohydneho”, gdyż brzydkie i wstrętne mogą być tylko rzeczy zbędne.

Czy to twierdzenie rozciąga się także na masturbację (bo przy tym terminie proponuję się zatrzymać)? Zanim odpowiem na to pytanie, zacytuję list innego chłopca, starszego o trzy lata od poprzedniego.

„...Przez cztery lata uprawiałem masturbację, przestałem dopiero przed półtora rokiem. Początkowo było wszystko w porządku, ale później zboczenie to przybrało inny charakter. W nocy zaczął następować wypływ płynu nasiennego. Z początku rzadko, potem co drugi, trzeci dzień. Byłem u lekarza, przepisał mi... (tu nazwy leków uspokajających — MK). Niestety, niedużo to pomogło. Lekarz powiedział, że jest to naturalne, ale ja mam pod-



puchnięte oczy i każdy przechodzień na ulicy widzi, że jestem zboczeńcem, nie mówiąc już o szkole. Sam staram się to opanować. Masturbacji, oczywiście, nie uprawiam. Aby się nie podniecać, nie czytam słonych kawałów w książkach, a o stosunku płciowym nie ma mowy. Przed snem, żeby się zmęczyć, uprawiam gimnastykę, śpię przy otwartym oknie. Nawet zimą, dopóki się nie przeziębilem, brałem na noc zimne prysznice. Ostatnio budzę się w nocy co 2—3 godziny, aby przez gimnastykę uniknąć (...) Niestety, niewiele to pomaga. Udało mi się wprawdzie uniknąć zmazy nocnej przez dwa, raz nawet przez trzy tygodnie, ale już po niedługim czasie występowała ona co drugi, trzeci dzień. I tak w kółko. A ja mam podpuchnięte oczy i nie mam siły już walczyć z tym i z „pociąganiem płciowym...”

(Lat 19, wielkie miasto)

Listy te są wzruszające i budzą wielką sympatię i szacunek dla ich autorów. Chłopcy ci chcą wiedzieć, jak należy żyć, jak trzeba postępować. Że błądzą przy tym, to już wina ich niedoświadczenia. Niepokoją ich zjawiska, których nie rozumieją, napawają lękiem siły, których nie umieją w sobie opanować — a to rokuje dobrze dla ich przyszłości, gdyż życie zawsze przyznaje premię tym, którzy chcą wszystko rozumieć i starają się panować nad otaczającymi ich zjawiskami, nie dopuszczając do tego, aby to one zapanowały nad nimi.

Zboczenie czy fizjologia

W różnych starych książkach, poradnikach moralnych, a także w „gadkach” cioc, niań i opiekunek, aż się roi od rozmaitych straszliwych bujd i nonsensów na temat katastrofalnych skutków masturbacji. Czego się nie wygaduje na ten temat! A to, że „wyschnie ci mlecz pacyerzowy”, a to, że „będziesz miał zmętniałe, podpuchnięte oczy”, a że „zostaniesz bezpłodnym”, a że „zmiękną ci kości, bo stracisz fosfor”, a że „stracisz pamięć do nauki”,

ba, nawet, że „dostaniesz choroby wenerycznej lub umysłowej”. Ponad pół wieku temu powiedział już wielki seksuolog niemiecki profesor Magnus Hirschfeld, że masturbacja jest niebezpieczna nie przez to, co się dokonuje w jej wyniku, lecz przez to, co się na jej temat wygaduje i wmawia zastraszonej młodzieży. Bo z medycznego punktu widzenia (który zresztą ukazuje tylko część problemu) straty fizjologiczne (napiecie nerwowe, płyn nasienny itd.) w akcie masturbacyjnym nie są ani o jotę większe (i ani o jotę mniejsze) niż w normalnym stosunku płciowym. Szkodliwe może być tylko nadużycie, nadmierne częste przeżywanie napięcia nerwowego i utrata „materii seksualnej”, ale przecież nadużycia takie można popełniać nie tylko w pojedynkę, ale także i w pełnowartościowym (z punktu widzenia fizjologii) stosunku płciowym. Tak więc katastroficzne przewidywanie automatycznej degeneracji psychicznej, nerwowej i fizycznej w rezultacie masturbacji jest pozbawione jakichkolwiek podstaw racjonalnych. Szczerze mówiąc, gdyby to miała być prawda, wtedy po tylu tysiącletniach istnienia ludzkość składałaby się z samych degeneratów, bo — jak wykazują liczne badania pedagogów i seksuologów — masturbuje się w różnych okresach swego życia większość mężczyzn. A historyczne przekazy wszystkich epok świadczą o tym, że te „niedole chłopięce” nie były obce nad Nilem faraonów i nad Jordanem Abrahamów, w Rzymie Cezarów i w Grecji Peryklesa. Jeden z badaczy amerykańskich doszedł do wniosku, że „grzechowi” temu ulegało lub ulega w różnych okresach życia 97% mężczyzn. Pozostałe 3% — pisze ten uczony nie bez pogodnej ironii — stanowią ci, którzy się do tego nie przyznali. Być może uczony ten przesadza, może te 3% stanowią ci, którzy bardzo wcześnie rozpoczęli normalne życie płciowe. Tylko, co ze społecznego i moralnego punktu widzenia jest lepsze? Czy jeśli chłopiec, nie mogąc nad sobą zapanować, będzie rozładowywał przez jakiś czas swoje napięcie seksualne w „miejscach zacisznych i spokojnych”, czy też jeśli jako zupełnie jeszcze zielony i niedojrzały człowiek zacznie „uwodzić” swoje równolatki, lub utopi

pierwociny swoich porywów w ramionach zakażonej kilką prostytutki.

Według opinii pedagogów, lekarzy, psychologów i socjologów, masturbacja chłopców występująca w okresie dojrzewania i wczesnej młodości ma charakter fizjologiczny i nie może być uważana za „zboczenie” (jak to określił jeden z czytelników w swoim liście). Wszyscy są też zgodni w tym, że uprawiana umiarkowanie, bez balastu przesądnych strachów i obaw o rzekomo fatalne skutki, nie pozostawia żadnych śladów na psychice i ciele młodego człowieka.

Ale nie „carte blanche”

Byłoby jednak rzeczą fałszywą, gdybyśmy poprzestali na tej opinii lekarzy i fizjologów i skończyli wystawieniem sobie „carte blanche” w tej dziedzinie. Przecież o alkoholu też można powiedzieć, że wypicie od czasu do czasu kieliszka wina „nie zostawia ujemnych śladów w psychice i na ciele pijącego”, a jednak nikt rozsądny nie wyciągnie z tego stwierdzenia wniosku: „Pijmy więc, ile wlezie, bo to nie szkodzi”.

Przed wszystkim masturbacja nie jest konieczna w podobny sposób, jak konieczne jest oddychanie, trawienie itd. Co prawda gromadzące się wydzieliny gruczołów płciowych erotyzują wyobraźnię i wywierają swoiste parcie na narządy chłopca, ale natura sama przewidziała mechanizm usuwania nadmiaru nagromadzonej materii płciowej — poprzez polucje, czyli samorzutne zmyzy nocne, o których czytaliśmy w cytowanym uprzednio liście. Pozbawiające 19-letniego czytelnika spokoju regularne polucje są już czystą fizjologią i nie ma żadnej potrzeby z nimi walczyć, gdyż świadczą właśnie o tym, że organizm męczyzny jest zdrowy i działa prawidłowo. To właśnie dzięki polucjom, którym z reguły towarzyszą swoiste sny i marzenia półsenne treści erotycznej, organizm usuwa na zewnątrz nie wyzyskaną, a gromadzącą się w nadmiarze substancję płciową (spermę). Stan,

w którym młody człowiek umie się powstrzymać od wszelkich sztucznych sposobów rozładowywania napięcia seksualnego i potrafi dostosować się do naturalnego rytmu polucji, jest stanem optymalnym. Jest to maksimum tego, co człowiek może w ogóle zrobić dla opanowania swego popędu płciowego w okresach, w których z różnych względów (nie ukończone dojrzewanie i rozwój, przymusowa izolacja, np. w wojsku, zaawansowana ciąża żony itp.) musi zrezygnować z normalnych dróg zaspokajania swoich potrzeb seksualnych. Toteż zrozpaczony 19-latek osiągnął szczyt panowania nad sobą, a nawet szczyt ten niepotrzebnie przekroczył, gdy zaczął walczyć z samym popędem płciowym, z jego najzupełniej naturalnymi i koniecznymi przejawami. I to już jest zbędne i szkodliwe. „Podpuchnięte oczy”, które przyprawiają go o taką rozpacz, zawdzięcza nie absolutnie niewinnym polucjom, lecz trochę zwariowanemu pomysłowi przerywania sobie snu dla odbywania „profilaktycznej” gimnastyki.

Można bez trudu domyślić się, że ta nadgorliwość autora listu płynie z jakichś błędnych poglądów na istotę czy wartość moralną sfery seksualnej w ogóle. Życie płciowe człowieka nie jest samo przez się ani dobrem, ani złem, ani pięknem, ani ohydą, jest tylko okazją dla rozdzenia się zarówno dobra, jak i zła, piękna i szpetoty, w zależności od tego, czemu uczynimy w nim miejsce. Nie ma żadnej potrzeby walczyć z własnym popędem płciowym, trzeba jedynie walczyć z niewłaściwymi sposobami przejawiania się tego popędu w praktyce.

A masturbacja? Czy niesłuszne jest staranie się o opanowanie tego przejawu seksualizmu ludzkiego? Czy nie mają racji ci chłopcy, którzy proszą o radę, jak uwolnić się od masturbacji, skoro lekarze i psychologowie uznali ją w życiu młodzieńczym za fakt niemal fizjologiczny?

Rację mają ci, którzy starają się opanować samych siebie, jeśli już nie w sensie całkowitego zlikwidowania praktyk masturbacyjnych (choć, jak widzieliście na przykładzie 19-letniego kolegi, to też jest możliwe), to przynajmniej bardzo znacznego ich ograniczenia ilościowego.

Twierdzenie bowiem o całkowitej nieszkodliwości masturbacji jest tak długo prawdziwe, jak długo uprawiana jest ona przejściowo, sporadycznie i nie przybiera rozmiarów ekscesywnych. Niestety, mam wiele listów, w których chłopcy i mężczyźni ze spóźnionym żalem wyznają, że oddawali się tym praktykom bardzo intensywnie (codziennie) i wtedy dość niewinna masturbacja może stać się groźna w skutkach długofalowych. Fatalną bowiem stroną masturbacji jest jej łatwość i dostępność. Wiążąc się z doznaniem przyjemności i ulgi, a nie wymagając kłopotliwych zabiegów wokół znalezienia partnerki, ani uzgadniania swojej woli z cudzą wolą, masturbacja rychło przejawia tendencje zaborcze, kusi do coraz częstszego podejmowania tych praktyk i chłopcy o słabej woli szybko wpadają w nałóg masturbacyjny. I oto ze sporadycznego, stosowanego od czasu do czasu, środka zastępczego rozładowania napięcia seksualnego, masturbacja staje się wciąż pogłębiającym się nałogiem. Tym właśnie masturbacja różni się od samorzutnych polucji nocnych, które są idealnie zsynchronizowane z rzeczywistymi potrzebami organizmu.

Oto fragment listu już nie dojrzewającego chłopca, ale 24-letniego mężczyzny, który skarży się, że — mimo iż wielokrotnie próbował — nie może odbyć normalnego stosunku płciowego, na skutek niespełniania przez niego elementarnych warunków fizycznych w tej sytuacji.

„...Tyle tylko z tego skorzystałem, że otrząsałem się z kobietami, a byłem bardzo nieśmiały. Przekonałem się, że w wyniku masturbacji wyobraźnia góruje u mnie nad rzeczywistością, tzn. że większą przyjemność sprawia mi posiadanie kobiety w wyobraźni niż w rzeczywistości, że kobieta z krwi i ciała jest dla mnie mniej atrakcyjna od urojeń...”

(Lat 24, wykształcenie średnie)

Czytelnik ten przez 11 lat uprawiał masturbację, i to bardzo intensywną, i oto macie przykład, jak ten niegroźny czy „niewinny” surogat miłości, uprawiany bardzo

długo i intensywnie, wypaczył psychikę zainteresowanego i choć nie spowodował „wyschnięcia mlecza pacierzowego”, jednak uczynił z młodego człowieka impotentą, którego niemoc płciowa tkwi korzeniami wyraźnie w utrwaleniu poprzez masturbację pewnych psychicznych postaw i nawyków myślenia i odczuwania, przeszkadzających obecnie w normalnym pożyciu. Wystąpiła u niego poważna komplikacja, wymagająca dzisiaj pomocy psychologa i psychiatry. I to jest następny powód, dla którego warto walczyć z masturbacją, starając się, jeśli nie ma się już sił uwolnić się od niej zupełnie, sprowadzić ją do minimum.

Wieloletnia, ekscesywna masturbacja (a zaczyna się ją uprawiać najczęściej około 13. roku życia) ma jeszcze inny ujemny skutek psychiczny. Przez stałe kierowanie uwagi seksualnej na własne ciało, na siebie samego wytwarza tendencję do samowystarczalności, do egocentrycznego samozadowolenia, a w związku z tym do odosobniania się, do samotnictwa i w konsekwencji do nieśmiałości wobec kobiet, także wtedy, gdy wiek i własne życzenie doprowadzi do zrodzenia się zainteresowań erotycznych inną płcią. Posłuchajcie, co wyznał mi inny Wasz kolega z miasteczka prowincjonalnego:

„...Mieszkałem na uboczu poza miastem, po lekcjach, czy później po pracy starałem się zawsze być sam, lubiłem takie samotnicze życie, unikałem wszelkiego towarzystwa, nie tylko po to, aby bez przeszkód prowadzić to moje pseudomiłosne życie, ale w ogóle odpowiadało mi to. Byłem i jestem bardzo spokojny, a wtedy jeszcze na dobitkę strasznie nieśmiały... (tu następuje opis okresu bardzo intensywnej masturbacji). Mimo że nie wiedziałem, jakie na mnie czyhają skutki (autor choruje na jedną z łżejszych form impotencji — przyp. mój — MK) brzydziłem się sam sobą, chciałem zapanować nad sobą, zerwać z tym. Setki razy to sobie obiecywałem, ale zawsze „duch był ochoczy — tylko ciało mdłe” i po kilku dniach przerwy, było kilka dni lub tydzień „czynny...”

(Po wojsku, wykształcenie średnie)

Żeby uniknąć nieporozumień, wyjaśnijmy od razu, że choroba autora nie jest skutkiem masturbacji jako takiej, lecz nieumiarkowania seksualnego w ogóle, i zapadłby na nią, gdyby w identycznych rozmiarach i równie intensywnie odbywał normalne stosunki płciowe. Zapasy energii seksualnej nie są bowiem niewyczerpywalne (tak jak zapasy energii każdego innego rodzaju), a aparat płciowy człowieka, tak ściśle związany z systemem nerwowym, jest bardzo wrażliwy i podlega uszkodzeniu i wyczerpaniu równie łatwo jak wszystkie precyzyjne i wrażliwe aparaty.

Trzeba tylko żałować, że temu chłopcu nie starczyło w swoim czasie woli, aby walkę z nałogiem kontynuować, mimo klęsk i niepowodzeń. Jeżeli nawet nie potrafiłby, jak wymieniony uprzednio bohaterski 19-latek, całkowicie opanować masturbacji, to na pewno znacznie by ją ograniczył, unikając poważnych komplikacji w wyniku wieloletnich nadużyć.

Tym wszystkim, którzy pytają mnie, czy trzeba walczyć z masturbacją, odpowiadam zawsze: trzeba i warto. I od tego, żeby w tej walce zwyciężyć, ważniejsze jest, żeby walczyć i przeciwstawiać się. Nie ma powodu do rozpacz, jeśli poniesiesz w tej walce sto czy dwieście klęsk na przestrzeni lat, ważniejsze natomiast jest to, że odniesiesz również sto czy dwieście zwycięstw, dzięki którym nie staniesz się niewolnikiem nałogu i które uchronią Cię od popełniania niebezpiecznych nadużyć.

Nałóg masturbacji (nałóg, a nie pojedyncze czy doraźne akty) ma jeszcze inne ujemne skutki wychowawcze, które nie dotyczą już sfery seksualnej, ale rzutując na osobowość człowieka są bodaj jeszcze niebezpieczniejsze od fizjologicznych skutków nadużyć masturbacyjnych. Chodzi tutaj o słabość woli, o nawyk ulegania byle pokusie, o nawyk łamania postanowień własnych, nieumiejętność mobilizowania woli dla osiągnięcia wytyczonych przez siebie celów.

„...Chcę wyzbycia się tego nałogu zacząłem realizować mając lat 15 czy 16, dziś mam 24 i jeszcze go się nie

wyzyłem. Natychmiast po (...) ogarnia mnie niesamowita złość na siebie, na swoją bezwolność, zaklinałem się, że więcej tego nie powtórzę, jeśli przedmiotem mojego podniecenia była jakaś fotografia, czy reprodukcja, targalem je z wściekłością i paliłem. Najbardziej złości mnie to, że „to” już nawet nie sprawia mi przyjemności, ale nie mogę się odzwyczaić, nienawidzę siebie, swojej słabej woli itd...”

(Górnik przodowy, lat 24)

Przykro to czytać, prawda? A przeżywać?

Jesteśmy wszyscy skazani na samych siebie. Każdy z nas musi w towarzystwie samego siebie spędzić całe życie. Sytuacja, w której człowiek gardzi sobą i nienawidzi samego siebie, jest sytuacją nie do zniesienia. I to już jest wynik nadużywania masturbacji. Widzicie więc, że chociaż masturbacja nie jest czymś wyjątkowym ani przeraźliwym, to jednak utrwalona w nałóg, stawszy się przez szereg lat główną lub jedyną drogą rozładowywania napięcia seksualnego, grozi poważnymi powikłaniami i komplikacjami.

Czym innym jest bowiem masturbacja chłopięcego wieku dojrzewania, czym innym masturbacja uprawiana doradnie przez dorosłych, traktowana jak ośrodek zastępczy w warunkach uniemożliwiających normalne współżycie płciowe, a jeszcze czym innym nałóg masturbacji, stającej się wskutek tego autonomicznym i samowystarczalnym nurtem seksualizmu młodego człowieka.

Niepokojące i wymagające porady lekarskiej są te wszystkie przypadki, w których ludzie dorośli (po 20. roku życia), nieraz żonaci, wolą masturbować niż odbywać normalne stosunki płciowe, do których mają wszystkie możliwości. Takie przypadki są objawem już jakiegoś zaburzenia psychoseksualnego, nieraz połączonego z nerwicą ogólną, i wymagają równie ogólnego leczenia psychiatrycznego.

Ponieważ jednak nie ma ostrej granicy między tymi trzema rodzajami masturbacji, ponieważ większość dzi-

siejszych nałogowców rekrutuje się z tych, którzy masturbować się zaczęli w wieku dojrzewania, ponieważ masturbacja — jak wszystkie nawyki — ma tendencję do utrwalania się, warto i trzeba walczyć z nią i starać się trzymać w ryzach (w granicach rozsądku) swój niepo- hamowany, bo dopiero zrodzony popęd płciowy.

Nie ze strachu przed grzechem, nie ze wstrętu przed ohydą, lecz ze zdrowej troski o własny pomyślny, nie zakłócony rozwój charakteru, woli i życia płciowego.

Płeć i wola

Z dwóch kategorii ludzi, z jakimi wypada mi rozmawiać i spotykać się — tych, którzy się godzą na wszystko i tych, którzy się przeciwko wszystkiemu buntują — stanowczo skłonny jestem wiązać nadzieję z tymi drugimi.

Nawet jeśli ci pierwsi godzą się na wiele rzeczy słusznych (ale czynią to bezmyślnie i „mechanicznie”), zaś ci drudzy bunt swój kierują nieraz przeciw rzeczom dobrym i wartościowym (ale czynią to szczerze i ze wstrętu do oportunistycznego potakiwania).

Dlatego też ciepłe uczucie i myśl serdeczną wywołują zawsze we mnie autorzy listów walczący i bijący się o coś, coś przeżywający, pragnący w swym życiu coś ustalić, uformować, naprawić. Nie rozgrzeszają się wygodnym „już taki jestem”, lub „tak się stało i już się nie odstanie”, ale zżymają się na siebie, walczą, nateżają wolę, aby siebie i swoje życie nagiąć do pewnego wzorca, jaki sobie o nim wytworzyli. A tam, gdzie jest wola — mówi stare francuskie przysłowie — tam zawsze jest jakaś droga.

Pisząc w poprzednim rozdziale o „Surogatach miłości” pomiąłem sprawę metod walki z nałogiem masturbacji, a to jest temat wielokrotnie „zamówiony” w listach, temat, z którym wielu, bardzo wielu czytelników i czytelniczek zwraca się do mnie. Czas teraz ten brak uzupełnić, zacznijmy jednak od przeczytania kilku listów w tej sprawie.

„Kiedys „Radar” umieścił artykuł o masturbacji (onaizmie), ale to było dawno i numer ten zgubiłam. Ze względu na powszechne trudności w tej dziedzinie uważam, że przydałoby się jeszcze wielokrotnie na ten temat pisać, choć z drugiej strony nie wiem, czy jeszcze można coś nowego na ten temat powiedzieć. Nałóg ten u mnie jest straszliwie zakorzeniony (od 12 lat, po pewnym przeżyciu z dorosłym mężczyzną). Nie potrafię sama dać sobie z nim rady, a wiem, że tylko ja sama mogę sobie z nim poradzić. Zawsze sądziłam, że mam silną wolę, okazuje się w tej sprawie, że jest prawie „zerowa”. Proszę napisać kiedyś słowa tragicznej prośby do wszystkich „ciotek”, „kuzynów” i innych dojrzałych ludzi, by nie zarządzali małych dzieci tym nałogiem — to jedna z największych krzywd, jaką można temu małemu człowiekowi wyrządzić. Proszę napisać, jak można się wyzbyc kompleksów zakorzenionych pod wpływem masturbacji, między innymi kompleksu niższości. Kiedyś pisał Pan... „w wieku młodzieńczym następuje ostateczne zharmonizowanie całej psychiki”. I właśnie ja jestem w tym wieku. Czy będąc w szponach tego nałogu, mogę mówić o zharmonizowaniu mojej psychiki? Ludziom otaczającym mnie wydaję się lepsza niż jestem w rzeczywistości. Na moje sprzeciwy co do watorów odpowiadają: „Co za samokrytycyzm, jakie wysokie wymagania moralne, och, ach!...”

(Studentka, lat 21, duże miasto)

Zamieściłem list studentki celowo, gdyż dowodzi on, że masturbacja nie omija także i dziewcząt (choć jest wśród nich znacznie rzadsza). Najczęściej dziewczynka zaczyna uprawiać masturbację pod wpływem „uwiedzenia” przez nieodpowiedzialnego dorosłego, który bądź pieści dziecko w nieodpowiedni sposób, nie wiedząc, że już u kilkuletniej dziewczynki (w omawianym przypadku — w wieku 8 lat) można wywołać przyjemne doznania natury seksualnej, które dziewczynka zechce później powtarzać samodzielnie. Nieraz zaś uwiedzenie takie bywa zamierzone, tzn. podejmowane przez mniej lub bardziej

zбочzone osobniki w celu zaspokojenia własnego popędu seksualnego skierowanego na małe dzieci (tzn. pedofilia). Bony i guwernantki w dawnych domach arystokratycznych, wychowawcy w bursach i konwiktach klasztornych nieraz dopuszczali się takich uwiedzeń i to zarówno na dziewczętach, jak i na chłopcach. Zdarzają się takie wypadki i w dzisiejszych bursach i internatach. Chłopiec, nawet nie uwiedziony ani nie pouczony przez kolegów, sam odkrywa masturbację, natomiast dziewczynka ze względu na budowę swych organów płciowych, wyjąwszy rzadkie wypadki (jak jazda konno, podmywanie się prysznicem lub namiętne jeżdżenie rowerem) z reguły musi być nauczona tego nalogu.

Wszystko, co mówiłem poprzednio o masturbacji chłopców, odnosi się także do masturbacji dziewcząt. Seksuolodzy podkreślają jednak, że przewlekły nałóg masturbacji u dziewcząt zdaje się mieć poważniejsze skutki dla ich późniejszego życia seksualnego, w tym sensie, że (znów ze względu na odmiennosć budowy narządów) nie-swoisty rodzaj bodźców i ich natężenia oraz rozkład części sprawia, iż „wyćwiczone” w jednym kierunku narządy nie reagują potem prawidłowo na normalne bodźce stosunku płciowego, które okazują się dla nich niewystarczające.

Tak np. pewna studentka ze Śląska przez wiele lat masturbowała przy pomocy ciepłego prysznica i doszła do tak trwałego skojarzenia przeżycia orgazmu z wodą i bombardowaniem strumieniami prysznica, że po zawarciu małżeństwa, mimo usilnych starań, nie mogła dojść do przeżycia rozkoszy, mimo w pełni prawidłowego przebiegu samego stosunku i gorącej miłości, jaką darzyła swego męża. Ale także bardziej konwencjonalne sposoby masturbowania kobiet, polegające głównie na drażnieniu lechtaczki, utrudniają nieraz (choć nie zawsze!) harmonię seksualną w małżeństwie, gdyż w normalnym stosunku lechtaczka bywa drażniona w mniejszym stopniu i mniej intensywnie niż w akcie masturbacyjnym, a więc niewystarczająco dla wywołania przeżycia orgastycznego, bez dodatkowych zabiegów ze strony mężczyzny, który

nie zawsze jest w tym zorientowany, a także nie zawsze chce je przedsięwziąć. Uproszczeniem tedy jest widzieć w masturbacji kobiecej tylko dobry trening do późniejszego łatwiejszego przeżycia rozkoszy, bo w wielu wypadkach „trening” ten utrudnia, a nie ułatwia, osiąganie pełni satysfakcji w normalnym pożyciu płciowym. Za-interesowane powinny w takich wypadkach bezwzględnie szukać pomocy lekarza psychiatry (nie wenerologa).

Bezwzględnie więc ma rację autorka cytowanego listu, potępiając tych dorosłych, którzy z głupoty albo dla własnej przyjemności dopuszczają się na dzieciach takich (zagrożonych zresztą sankcją kodeksu karnego) czynów nierządnych. List ten wart jest jeszcze uwagi ze względu na to, że autorka podkreśla w nim „zerową” wartość swojej woli w odniesieniu do tego nałogu, mimo że w wielu innych dziedzinach wydaje się jej, że woła jej funkcjonuje bez zarzutu. Na trudność walki z masturbacją wskazują też inni liczni autorzy listów.

„....Jestem całkowicie załamany, znów nie wytrzymałem. No i czy człowiek nie jest sobie gotów w leć strzeleć? Jeżeli samogwałt bywa powodem samobójstwa, to wcale się temu nie dziwię...”

(Górnik, lat 24, duże miasto)

Nie sądźcie, że górnik ten przesadza, określając swój aktualny stan psychiczny. Kroniki milicyjne i annały psychologii i psychopatologii wychowawczej znają nie jeden przypadek samobójstwa w związku z nałogiem masturbacji, popełnionego przez nieletnich, głównie chłopców. Oczywiście, że reakcja uczuciowa jest tutaj — jak starałem się wykazywać poprzednio — niewspółmierna do przyczyny. Ale właśnie cytowane wypowiedzi potwierdzają raz jeszcze zdanie, że szkodliwa jest nie tyle sama masturbacja, lecz długotrwałość nałogu masturbacji, a przede wszystkim to, co człowiek w związku z tym nałogiem przeżywa, co sobie wyobraża, czego się boi.

Bo mówiąc o szkodliwości masturbacji, trzeba wyraźnie

widzieć różnicę między masturbacją niemowlęcia, które w ramach poznawania swego ciała i otaczającego je świata bawi się dotykaniami, obmacywaniem czy rozciąganiem także i swych części płciowych, powodując nieraz ku zgorszeniu i zdumieniu rodziców mechaniczną erekcję członka, lub wyraźnie zdradzając swym zachowaniem przeżycie zadowolenia i przyjemności zogniskowanej w dotykanej okolicy, a między np. masturbacją zastępczą czy koniecznościową chłopca w wieku 12—14 lat, który ulega mechanicznym i hormonalnym podrażnieniom dojrzewających narządów płciowych i który akt masturbacyjny wiąże już z wyraźnym celem seksualnym. Czymś zupełnie wreszcie innym jest masturbacja osób dorosłych, które uprawiają ją nałogowo, nawet wtedy, kiedy mogłyby już rozpocząć normalne życie płciowe.

Na pierwszy rodzaj masturbacji (niemowlęcej) nie należy w ogóle zwracać uwagi i traktować ją trzeba równie naturalnie jak ssanie palca u nogi, zaś masturbacje w wieku dojrzewania trzeba starać się ograniczać i zahamować. Natomiast nałogową (nie przymusową i nie zastępczą) masturbację wieku dojrzałego należy bezwzględnie zwalczać i leczyć, szczególnie wtedy, gdy ktoś zaczyna ją przedkładać nad normalne sposoby zaspokajania swego popędu seksualnego.

Moi liczni czytelnicy domagają się gotowej stuprocentowej recepty na ich trudności seksualne. „Proszę wskazać mi środki (lekarstwa), jakie zażywając mógłbym po-



zbyć się nałogu masturbacji” — pisze jeden. „Uprzejmie proszę o wskazanie leków, które by mnie wylęczyły z onanizmu. Tylko proszę nie pisać o uprawianiu sportu i gimnastyki, bo jestem górnikiem dołowym, pracuję na „przodku”, a to mówi samo za siebie” — pisze inny. „Leczyłem się u lekarza, zażywałem środki uspokajające, brałem zastrzyki, ale to nic nie pomogło, onanizuję się tak jak dawniej” — pisze trzeci, który obserwując niebezpieczne objawy wyczerpania seksualnego i impotencję przy próbach podjęcia normalnego stosunku płciowego, żąda ode mnie recepty doskonalszej od lekarskiej.

Bardzo mi przykro, ale żadnej recepty dającej gwarancję na 100% nie potrafię podać, nie potrafi też tego zrobić żaden lekarz i żaden psycholog na świecie. Rację ma bowiem studentka, która pisze, iż wie, „że tylko ona sama może uporać się ze swoją biedą” i słusznie zwraca uwagę na swoją wolę i charakter.

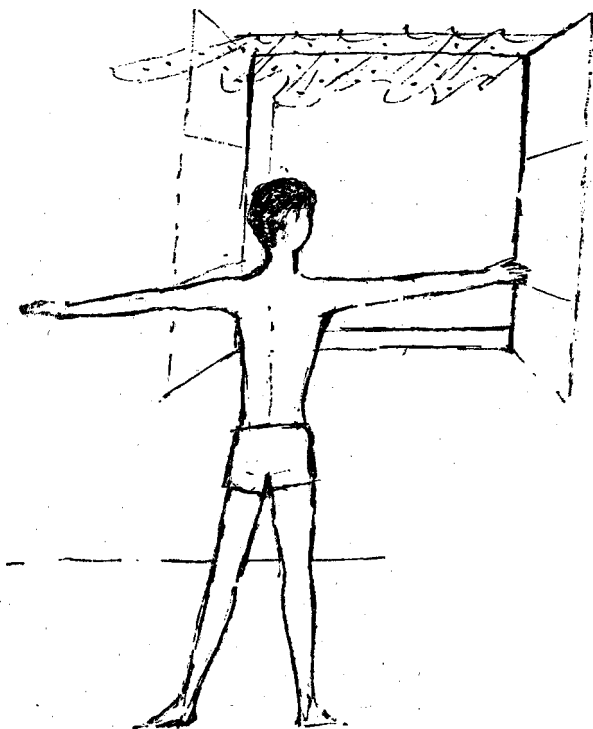
W podręcznikach wychowania seksualnego (także w tych najnowocześniejszych, które nie uważają masturbacji za „grzech przeciw naturze”, tylko za naturalny, choć na dłuższą metę grożący powikłaniami, objaw seksualizmu człowieka) znajdziecie wiele rad na temat opamiętania i zwalczania nałogu masturbacji. Omówmy je tutaj pokrótce.

Zasadniczym celem wszystkich tych zabiegów jest odwrócenie uwagi od spraw płci i usunięcie wszystkich czynników psychicznych i fizycznych drażniących seksualnie. I tak:

W zakresie ubrania odradza się noszenie na stałe slipów (zamiast kalesonów czy luźnych spodenek), jak też zbyt obcisłych spodni — aby uniknąć mechanicznego drażnienia organów płciowych (przy siedzeniu, chodzeniu itd.). Odradza się noszenie rąk w kieszeni spodni, stąd nawet zalecenie szycia dla młodych chłopców spodni w ogóle pozbawionych kieszeni lub z kieszeniami umieszczonymi na pośladkach. W zakresie pościeli wskazane jest spanie na średnio twardych materacach i tapczanach, unikanie przegrzewania ciała przez zbyt ciepłe piżamy, puchowe kołdry i pierzyny.

W zakresie odżywiania zaleca się unikanie alkoholu (we wszystkich postaciach), ponieważ osłabia hamulce moralne i wolę, a podrażnia seksualnie, jak również picia kawy, palenia tytoniu — gdyż te działają pobudzająco na system nerwowy. Odradza się również jedzenia potraw zbyt ostrych, korzennych, pikantnych (pieprz, papryka, ocet itd.), które także działają pobudzająco na układ nerwowy i drażniąco na moczowo-płciowy.

W zakresie higieny dnia codziennego wskazane jest prowadzenie unormowanego trybu życia (na wzór sportowców wyczynowych) o stałych godzinach snu i równomiernym rozkładzie wysiłków fizycznych i umysłowych, odpoczynku i pracy. Przed snem zaleca się załatwić wszelkie potrzeby fizjologiczne, aby zapobiec (w nocy i nad



ranem) mechanicznemu uciskowi moczu na pęcherz i cewkę moczową oraz na odbytnicę, których unerwienie jest przeplecione z nerwami działającymi na narządy płciowe. Rano zaleca się wstawanie z łóżka natychmiast po obudzeniu, bez gnuśnego wylegiwania się (statystyki wykazują, że ogromna większość aktów masturbacji dokonuje się właśnie w rannych godzinach po obudzeniu i w wieczornych — przed zaśnięciem). Jest to wskazówka ważna, bo u chłopców powszechnym zjawiskiem jest wywołana czysto fizjologicznymi bodźcami tzw. poranna erekcja, która w zrozumiały sposób „kusi” do ulegania nałogowi. Higieniści podkreślają poza tym wielką wagę utrzymania w czystości całego ciała, a szczególnie organów płciowych. Brud bowiem powoduje świerzbienie, to zaś skłania do dotykania się i drapania. Stwierdzono, że często przyczyną samorzutnej masturbacji u małych dziewczynek bywają owsiki, pasożytujące u ujścia odbytnicy i pochwy. U chłopców drażniąco może działać zbierająca się w nadmiarze za napletkiem mastka (szarobiała maź o ostrym, specyficznym zapachu), która zasadniczo spełnia funkcję bakteriobójczą, ale przy dłuższym zaleganiu rozkłada się, powodując w naskórku swędzenie, nadżerki i ogniska zapalne.

W zakresie higieny psychicznej zaleca się forsowne uprawianie sportów ruchowych, przerywanie gimnastyką (ruchem) zajęć połączonych z długim siedzeniem (zaleganie krwi w miednicy powoduje także nacisk na organy płciowe). Przed snem nie należy czytać książek o treści podniecającej erotycznie, ani oglądać filmów czy widowisk telewizyjnych o seksualnej treści. Walczący z nałogiem z reguły powinien unikać tych wszystkich przedmiotów i spraw, które go nadmiernie drażnią seksualnie (np. zdjęcia pornograficzne, zdjęcia roznegliżowanych piękności itd.).

Tyle mniej więcej mówią we wszystkich podręcznikach pedagogów i psychologów oraz seksuologów. Nie są to gotowe recepty, po zastosowaniu których automatycznie uwolnicie się od Waszych kłopotów z masturbacją. Bywa bowiem, że mimo stosowania się do wszystkich tych wska-

zań, nie można wyzwolić się od nałogu. Są to bowiem tylko pomocnicze i zewnętrzne środki walki z nałogiem, prawdziwa i najważniejsza kontrofensywa może zaś dokonać się tylko w Was samych. Dlatego tak trudno radzić tym wszystkim, którzy te wszelkie zalecenia i rady znają już skądinąd, nawet przestrzegają ich nieraz skrupulatnie, a mimo to przez wiele lat nie mogą wyzwolić się od tego nałogu, popadając później w kompleks niższości, a nieraz i w tarapaty natury seksualno-patologicznej. Nie można bowiem za nikogo przejawić woli, która jest w tych sprawach środkiem o znaczeniu decydującym, choć można próbować tę wolę w innych budzić i rozwijać.

Ofensywa na całym froncie, a nie na jednym odcinku

I dochodzimy do sprawy zasadniczej. Miłość i życie płciowe stanowią ważną część życia człowieka, ale przecież tylko część, i na jej kształt, wartość i wyraz wpływa decydująco cała osobowość człowieka, a nie tylko cechy seksualno-fizjologiczne. Stąd też, żeby zapewnić sobie harmonijny rozwój i nie zakłócony bieg spraw seksualnych, trzeba je przede wszystkim prawidłowo umiejscowić w całokształcie swego życia, zarówno w płaszczyźnie fizycznej, jak i psychologicznej, społecznej i moralnej. Czytając listy młodych ludzi, nieraz dochodzę do wniosku, że trudności i powikłania seksualne podobne są w pewnym stopniu do nowotworu, do raka. Przecież nowotwory to są komórki i tkanki, które nagle zaczęły się rozrastać ponad miarę wyznaczoną im przez sam organizm i zaczynają zagrażać całości, zatruwając cały organizm. Jest wielu ludzi, u których sprawy seksualne rozrastają się jak nowotworowa tkanka, stają się najważniejszą, czy wręcz główną domeną ich życia. Kiedy spostrzegą, że życie ich ulega wypaczeniu i zwyrodnieniu, bywa często za późno. Choroba hiperseksualizmu zżera przede wszystkim wolę i zdolność do organizowania sobie życia, pracy i osiągnięcia pozaseksualnych sukcesów życiowych.

Przeczytajcie ten fragment listu:

„...Leczyłem się u lekarza — bez skutku. Od wielu lat sam próbowałem się wyzwolić od tego nałogu, ale nie mam na tyle silnej woli, aby z tym skończyć (mimo wielu prób). Poszedłem więc do Poradni Zdrowia Psychicznego, gdzie dowiedziałem się od psychologa, że mam wszystko w porządku, w normie, tylko odznaczam się słabym systemem nerwowym, od psychiatry zaś, że cierpię na neurastenię. Brałem leki (Bellacorn, Meproamat, Tonicum) bez rezultatu. Mam trudności w życiu z powodu nieumiejętności organizowania i planowania zajęć dnia, tygodnia, miesiąca. Często jestem zwalniany z pracy za „bumelki”, które również odbijają się na mojej sytuacji materialnej, co prowadzi do różnych późniejszych komplikacji...”

(Robotnik, lat 22, miasto przemysłowe)

Czytelnik ten nie zdawał sobie sprawy, że słusznie umieścił obok siebie zdania mówiące o nałogu intensywnej masturbacji i o... bumelanctwie i nieumiejętności organizowania sobie życia. I jedna, i druga sprawa wiąże się bowiem z brakiem silnej woli, brakiem dyscypliny wewnętrznej i opanowania.

Pracuj nad charakterem, hartuj swoją wolę, ucz się pokonywać trudności, nie ulegaj łatwym przyjemnościom — w imię osiągnięcia wyższych celów życiowych i doznawania wyższych przeżyć, nie rozmieniaj swego życia na drobne, nie zamieniaj kruszca uczuć na miedziaki nałogu — to brzmi bardzo drętwo, prawda? A jednak nic poza tym nie można poradzić.

Przy nałogu masturbacji, który rozciąga się aż na lata dorosłości (po 20. roku życia), nie nadmierna ilość utraconej materii seksualnej (spermy), nawet nie nadmierne wyczerpanie ośrodków nerwowych (choć i to bywa — jak pisałem — szkodliwe), ale przede wszystkim nieodwracalne często zmiany w charakterze i stosunku do samego siebie są złem największym. Nałóg ten działa na wolę człowieka jak rdza na żelazo — kruszy ją i nadżera, tak że również w odniesieniu do innych całkiem pozaseksual-

nych, a bardzo ważnych życiowo celów człowiek taki nie jest zdolny do walki i długotrwałych wysiłków. Autor cytowanej wyższej wypowiedzi usiłuje uczyć się, ukończyć technikum, co byłoby dla niego wielkim awansem społecznym i życiowym. O zdaniu matury marzy również autor wcześniej cytowanego zdania o samobójczych myślach z powodu masturbacji. Są jednak pełni niewiary w siebie, wątpią w realność tych planów, wahają się, czy „warto zaczynać”, czy „to ma w ogóle jakieś widoki”. Jestem głęboko przekonany, że znajduje w tym wyraz zarówno słabość woli, jak i powstały na tle nadmiernej, wieloletniej masturbacji kompleks niższości, o którym tak dojrzałe i szczerze napisała w swym liście studentka. Wydaje mi się, że ujemne skutki i sam mechanizm, za pomocą którego nałóg seksualny opanowuje człowieka, trafnie scharakteryzował niemiecki psychopatolog, profesor dr H. Bürger Prinz: „...łączy się z nim, szczególnie jeśli uprawiany jest na dłuższą metę, czyli przez dłuższy okres, charakter przymusu, czegoś nie dającego się już zmienić. Występuje tutaj ponadto wyraźna progresja. Trzeba to zrozumieć w ten sposób, że życie płciowe raz w szczególny sposób ukształtowane, zaczyna zajmować coraz więcej miejsca i czasu w całokształcie życia osobnika (najpierw akty okolicznościowe, potem wykorzystywanie każdej nadarzającej się okazji, wreszcie szukanie każdej takiej sposobności). Do tego dołączają się przeżycia wtórne, związane z poczuciem winy, z pełnymi napięciami konfliktami wewnętrznymi lub konfliktami z otoczeniem”. Bürger Prinz napisał to o ekshibicjonizmie, jednak w pełni odnosi się to i do masturbacji.

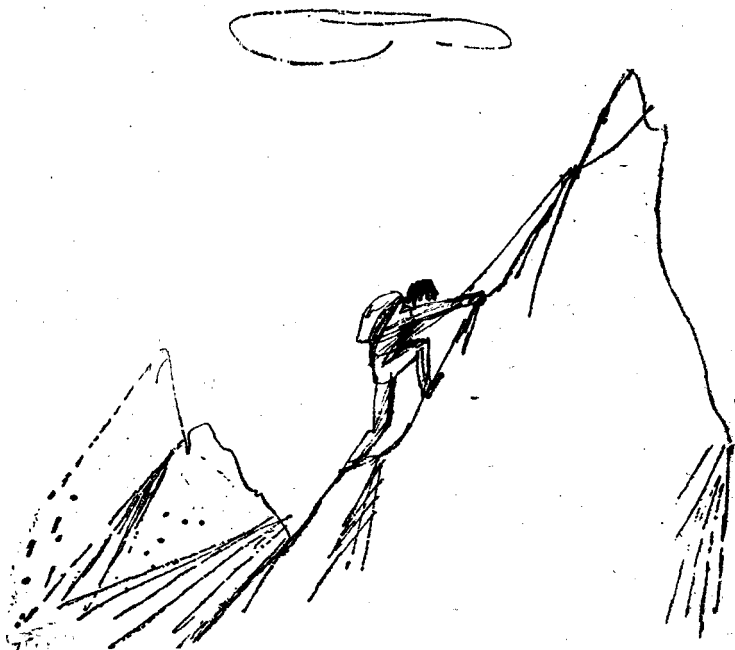
I dlatego wszystkim tym, którzy doszli do wniosku, że powinni zająć się opanowaniem masturbacji lub jej poważnym ograniczeniem, udzieliłbym generalnej rady następującej: nie szukajcie recept i nie spodziewajcie się cudotwórczych pigułek od lekarza, choć szukajcie pomocy lekarskiej, ilekroć zauważycie u siebie ujemne pośrednie skutki masturbacji, w postaci obniżonej potencji czy załazkowej impotencji. Stosujcie się do poszczególnych, podanych poprzednio, rad i zaleceń pedagogów i psycholo-

gów, ale pamiętajcie, że będą one skuteczne tylko wtedy, gdy będziecie prowadzić ofensywę na całym froncie, a nie tylko na jednym, wąskim odcinku samej masturbacji. Najpotężniejszą bronią w tej ofensywie jest Wasza wola. Ćwiczcie i hartujcie Waszą wolę przy każdej okazji, nie tylko w odniesieniu do spraw seksualnych. Wola jest jedna i wszystko, co ją hartuje, pomoże Wam w pokonaniu nałogu, wszystko co ją osłabia i rozhartowuje, odbije się nieubłagane i na Waszej walce z nałogiem. Hartujcie Waszą wolę przez dyscyplinę w pracy zawodowej i w nauce, przez systematyczne dotrzymywanie słowa i dopełnianie zaciągniętych wobec siebie i innych zobowiązań. Ćwiczcie ją przez celowe „łamanie” siebie w takich okazjach, w których rozum mówi, że jakaś przyjemność jest szkodliwa lub mało warta estetycznie czy moralnie (np. jakieś pijaństwo czy wątpliwej jakości prywatka), a ciągnie Was mimo wszystko do rozrywki. Uczcie się rezygnować nawet z dobrych i bezspornych przyjemności, jeśli stają na przeszkodzie realizacji jakichś poważnych zadań sportowych, naukowych czy społecznych. Może wyda się Wam to nieprawdopodobne, ale tylko ci umieją w życiu przejawiać wiele woli w zdobywaniu czegoś, którzy uprzednio wiele lat umieli ją przejawiać w dobrowolnym wyrzekaniu się i rezygnacji z czegoś. Gdyby autor listu cytowanego uprzednio potrafił przełamać swój pęd do „bumelek”, do opuszczania pracy, do zaglądania do kieliszka — na pewno łatwiej byłoby mu waleczyć z nałogiem masturbacji. Gdyby nauczył się dyscypliny wewnętrznej w życiu zawodowym i społecznym — na pewno łatwiej potrafiłby zdyscyplinować swoje zmysły. Nie mówię „łatwo” — tylko „łatwiej”, ale i to już jest bardzo dużo.

Bo jakkolwiek sprawy seksualne to tylko część życia człowieka, to jednak doznania seksualne angażują całą osobowość człowieka. Dlatego też ostateczny rezultat tej walki z nałogiem zależy od tego, jaki to jest człowiek, jaką posiada wolę i jaki charakter. Wierzcie mi, że tak jest naprawdę. Ci z Was, którzy uprawiają sport wyczynowy, wiedzą jak szeroki i odległy od sensu stricto sportu zakres

spraw liczy się i gra rolę dla utrzymania w kondycji i formie, boksera, piłkarza czy pływaka. Sportowcy wiedzą również o tym, jak wiele trzeba się wyrzec i odmówić sobie w jedzeniu, piciu, zabawie, ba, nawet w pożyciu małżeńskim, żeby wygrać, zwyciężyć, ustanowić nowy rekord, nie mówiąc już o zdobyciu tytułu olimpijskiego.

Tak samo jest z opanowaniem nałogu masturbacji. Trzeba tutaj zaprząć do pracy całą osobowość i zreorganizować całe życie. Niech to będzie życie twórcze, aktywne, pełne zajęć w organizacji młodzieżowej (kto lubi działanie kolektywne) lub zajęć amatorskich, hobbystycznych (kto woli działalność kameralną), pełne sportu i ruchu, turystyki i zajęć kulturalnych. Kładźcie się codziennie spać przyjemnie zmęczeni wielorakością i obfitością doznanych wrażeń, wykonanych zadań, zaczętych prac, obmyślanych planów na jutro. Żyjcie tak, abyście mieli



stale poczucie, że życie Wasze toczy się w ogromnym wieżowcu, w którym są setki pokoiów jeszcze przez Was nie otwieranych i jeszcze przez Was nie zwiedzanych; wspinajcie się uparcie z piętra na piętro, poznając wciąż nowe pokoje i oglądając z okien wciąż nowe i wciąż szersze horyzonty a wtedy na pewno samo prawdopodobieństwo rozrośnięcia się masturbacji do wymiarów groźnego nałogu znacznie zmaleje, ci zaś, którzy już mu ulegli, znacznie łatwiej pokonają go i opanują.

Pierwszy raz

Pewien mój przyjaciel mawia, gdy mu się zdarzy strze-
lić jakieś kapitalne życiowe głupstwo: „Ostatecznie mam
na swoje usprawiedliwienie fakt, że żyję po raz pierw-
szy”. Zawsze mam wtedy ochotę dodać: „ale i po raz
ostatni”. Zbyt wielu ludzi traktuje własne doświadczenia
życiowe jako odbicie gwiazd w szlaku wodnym, pienia-
cym się z tyłu za statkiem. A byłoby stanowczo lepiej
rozstawiać je przed statkiem jako latarnie i ostrzegaw-
cze sygnały.

*„...Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia ... Mam sze-
rokie zainteresowania, jestem przystojna, lubiana, mam
powodzenie, kształcę się na wyższej uczelni ... Niby
wszystko dobrze — powiecie — ale... Czarną stroną mego
życia jest miłość. Miałam zaledwie 17 lat, kiedy pierwszy
raz poważnie zakochałam się, niezbyt fortunnie, bo
w „starszym panu”. Miałam nadzieję uzyskać od niego
trochę ciepła i serca, którego nie mógł mi dać dom ro-
dzinny, do którego ojciec sprowadził drugą żonę i który
odtąd przestał być moim domem. Człowiek, którego ko-
chałam, niewiele dał mi tego wszystkiego, ale nie mam
o to pretensji. Cierpiałam, że człowiek ten prócz związku
ze mną kontynuował kilka innych związków. Wreszcie
skończyłam, nie mogę dłużej znieść upokorzenia. Teraz
„on” chce, abym wróciła, ale ja chcę żyć inaczej. Chcę
być naprawdę kochaną, chcę żyć bez konspiracji, bez
świadomości, że za godzinę te same zaklęcia miłosne bę-*

dzie powtarzał innym. Boję się jednak, że jestem dla wielu chłopców „naznaczona przeszłością”. Czy potrafią zrozumieć i wybaczyć moje inne miłości?...”

(Studentka psychologii, lat 20)

„...Mam siedemnaście lat i chodzę do X klasy liceum ogólnokształcącego. Pomimo młodego wieku dużo przeżyłam, a to z winy moich rodziców. Mój ojciec, który jest inteligentny i wykształcony, jest zarazem bardzo naprawdę bardzo dobrym ojcem. Jest też — co się zdarza — przyjacielem moim i mojej starszej siostry. Za to moja matka jest prostytutką. Nie wiem, czy można ją tak nazwać, ale wiąże się z mężczyznami zawsze na przeciąg miesiąca lub tylko nieco dłużej ... Od trzech miesięcy spotykam się z chłopcem, który ma lat 21. On nie wie, że mam tylko 17 lat, wyglądam na 19, a ja nie wyprowadzam go z błędu. Dotychczas każdy pocałunek robił na mnie ogromne wrażenie, teraz nie, za to teraz bardzo pragnę bliższego zetknięcia się z moim chłopcem. I tu jest przeszkoda. Nie chciałabym być taka jak moja matka. Wciąż myślę, że powinnam się opanować, zarówno dlatego, że jestem zbyt młoda, jak i dlatego, że nie jestem pewna, czy to już jest miłość.

Marzymy z moim chłopcem, że pojedę z nim na praktykę miesięczną. I znów obawy z mojej strony, czy nie za wcześnie na ten „pierwszy raz”? Pisał Pan w jednym artykule, że trzeba iść za głosem serca i rozumu, u mnie ten głos mówi „jedź, masz prawo kochać i być kochana”. Choć z drugiej strony, kiedy myślę o zbliżeniu seksualnym, wtedy czuję obrzydzenie, a jednak pragnę tego. Co to jest? Co to znaczy? Jestem taka zagubiona, walczę ze sobą i nie wiem, co robić. Niech pan odpisze szybko...”

(Uczennica lat 17, duże miasto przemysłowe)

„...Jestem mieszkanką domu akademickiego. Nie wiem, czy zna Pan wieczorną atmosferę akademickich domów? Wiezorami korytarze, hall, parapety okien oblepione są przez całe godziny sterczącymi parami, sprzedającymi na

widok publiczny najbardziej wyrafinowane formy zewnętrzne wyrażania uczuć. O, nie — nie uczuć, ale seksu. Cóż mają robić ci estetycznie i etycznie chcący traktować sprawę stosunku „on i ona”? Przemykają się pod ścianami, z przeproszającymi uśmiechami, obok koleżanek i kolegów „dla sportu” przeżywających przygody. Jak się to zaczyna? Wiem z obserwacji i własnych doświadczeń. On mówi: „Czemu się krępujesz? Nie bądź frajerka, jesteś konserwatywna” lub: „Jeśli mnie naprawdę kochasz, daj tego namacalne dowody, zaufaj mi — jeśli nie, to nie chodzę z tobą”. Nietrudno zrozumieć reakcję dziewczyny na takie dictum. Jeśli zależy jej na chłopcu, za cenę zatrzymania go, godzi się na wszystko lub musi odejść. Najczęściej zgadza się. Tylko pierwszy krok jest najtrudniejszy. Jakie to wielkie przeżycie dla dziewczyny nieśmiałej i przeciętnej, nie zauważanej dotąd, takie nagle zainteresowanie się nią przez chłopca. Jeśli zostanie potraktowana „dla sportu”, w myśl reguły „raz i won”, przeżywa straszny szok. Albo całkowicie załamuje się psychicznie, lub też rzuca się bez pamięci w wir spraw tolerowanych przez środowisko. Wrażliwość tępieje, poczucie moralne wygasa, żadnych czerwonych świateł na drodze do dna. Dziewczyna taka kompensuje gryzący wyrzut sumienia i wstręt do siebie rekordomania czysto ilościową: w wypitych kawach, przetańczonych i prześpanych z kimś nocach. Dziewczęta brzydkie i towarzysko nieatrakcyjne nieraz stają się w ten sposób gwiazdą roku czy domu akademickiego ze względu na swą łatwość i „fachowość” w dziedzinie seksualnej. Nie oskarżam ich jednak o to. Winni są chłopcy, którzy czynią je takimi, pragną ich, choć w głębi duszy pogardzają i z oburzeniem odrzuciliby wszelką myśl o małżeństwie z „taką puszczalską...”

(Studentka lat 21, miasto portowe)

A więc problematyka „pierwszego razu”. Trudne i ważne sprawy. Trudniejsze i ważniejsze u dziewcząt niż u chłopców, dlatego też pierwszy szkic poświęcam sprawie inicjacji seksualnej dziewcząt.

Może szkoda, że nie jesteśmy „dzikusami”?

Cywilizacja europejska w ostatnich dziesięcioleciach wykazuje znaczne przyspieszenie dojrzewania płciowego młodzieży. Nie wnikając w tym miejscu w przyczyny samego zjawiska, wydaje się rzeczą stwierdzoną, że w ciągu ostatnich 50 lat czas osiągania dojrzałości płciowej skrócił się o 2—3 lata. Jednocześnie warunki ekonomiczne i społeczne oraz normy obyczajowo-moralne nie zmieniły się w podobnej proporcji. Powiększyła się więc luka między tym okresem, w którym młody człowiek może (fizycznie) rozpocząć funkcjonowanie płciowe, a w którym zezwalają mu na to warunki ekonomiczno-społeczne i normy obowiązującej moralności i obyczajowości. Luka ta w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej istniała zawsze (skoro kościół zezwalał jedynie na małżeńskie życie płciowe), ale po pierwsze była o te 2—3 lata krótsza, po drugie zaś zakazy kościoła miały o wiele większy niż teraz wpływ na postępowanie ludzi, czyli były skuteczniejszym (co nie znaczy, że zawsze pozytywnym w fizycznych i w psychologicznych skutkach) regulatorem i hamulec niż dzisiaj.

W niektórych społeczeństwach prymitywnych sprawy te układają się o wiele łatwiej. Tak np. na Wyspach Melanezyjskich (porównaj: „Życie seksualne dzikich na Wyspach Trobrianda” — Bronisława Malinowskiego) młodzi ludzie z pełną aprobatą dorosłych współżyją seksualnie od lat dziecięcych, przy czym rygory moralne i prawne wprowadza się w tę dziedzinę dopiero po osiągnięciu dojrzałości społecznej i zawarciu małżeństwa. Istnieje tam specjalna instytucja „domów kawalerów” czy „domów młodych mężczyzn” będących w istocie swej klubami i hotelami, w których młodzi ludzie przed okresem przyjęcia w poczet dorosłych i przed małżeństwem, spędzają noc z ukochanymi, żyjąc z nimi w czymś w rodzaju „małżeństw koleżeńskich” czy „małżeństw na próbę”. Schodzą się i rozchodzą, przy czym nikt nie ma pretensji do dziewczyny o to, że spędziła w „domu kawalerów” jakiś czas, ani też nikt nie wyśmiewa jej za to, że

została porzucona czy zmieniła wybrańca. Można przypuszczać, że na Wyspach Trobrianda problematyka „pierwszego razu” w naszym pojęciu w ogóle nie istnieje, gdyż od dziecięcych zabaw o charakterze seksualnym („tata i mama”) niespostrzeżenie przechodzi się tam do fizjologicznie pełnowartościowych stosunków płciowych. Sprawy płci są równie jasne, normalne i zwyczajne jak sprawy jedzenia, picia, rozrywki. Może szkoda — pomyśli niejednen z Was — że nie jesteśmy dzikusami. Skoro jednak nie jesteśmy...

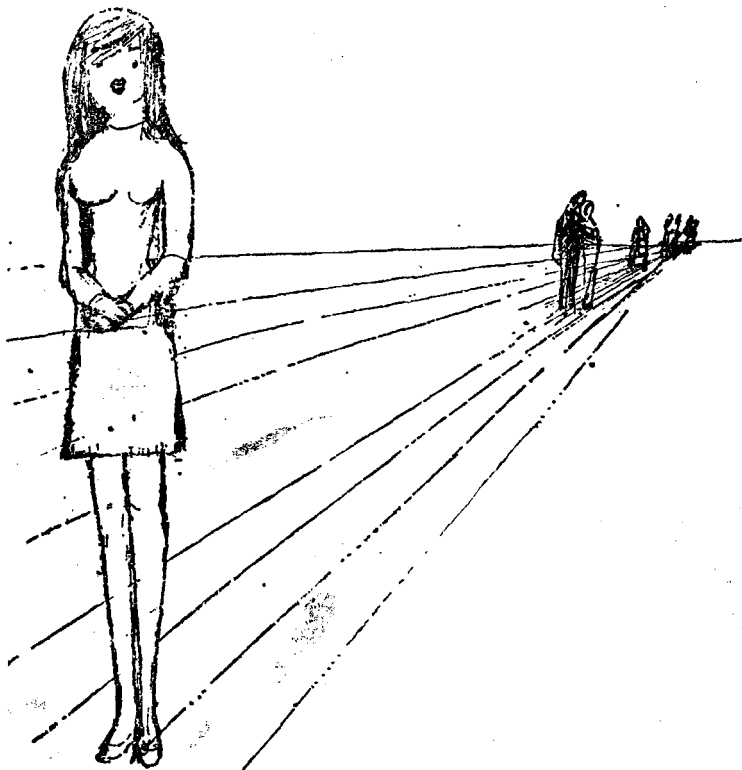
U dziewcząt współczesnych

Z listów na temat „pierwszego razu”, jakie otrzymuję od dziewcząt, wyraźnie można wydzielić kilka przyczyn, które pewnego dnia stawiają ten problem na ostrzu noża. Pierwszy i zasadniczy powód wymienia studentka z miasta portowego — jest nim naleganie chłopca, które przyjmuje nieraz postać ultimatum: „albo mnie kochasz i oddasz mi się, albo odejdę”. Czasem zamiast brutalnego ultimatum jest tylko perswazja i naleganie: „nie bój się”, „nie bądź taka dzika” itd. Otrzymywałem listy wręcz rozpaczliwe, jak np. ten, w którym autorka (19-letnia studentka pierwszego roku medycyny) pisała dosłownie: „...Musi mi Pan odpowiedzieć do 15 czerwca, jak mam postąpić, bo po tym terminie Jurek powiedział, że mnie porzuci, jeśli mu nie ulegnę”.

Zdajecie sobie sprawę, jak odpowiedzialne zadanie złożyła na moje barki ta dziewczyna, przyparta do ściany tym niesłychanym „wypowiedzeniem miłości od 15 czerwca”. Pozwólcie, że odłożę na chwilę informację o tym, co jej odpisałem. Dlaczego często dziewczęta poddają się takim ultymatywnym żądaniom? Sprawa jest złożona. Przede wszystkim wydaje się, że dziewczęta o wiele częściej od chłopców traktują pierwsze „chodzenie ze sobą” na serio, łącząc je z uczuciem miłości. U chłopców jest to częściej pierwsze (lub nie pierwsze już) pożądanie niż pierwsza miłość. Będziemy mówić o tym szczegółowiej w rozdziale poświęconym inicjacji chłopców.

Po drugie, kochając, dziewczyna boi się stracić chłopca, gdyż nigdy nie ma gwarancji (szczególnie jeśli nie jest wybitnie ładna czy zgrabna i „łatwa”), że potrafi dość szybko wzbudzić czyjeś zainteresowanie. Wciąż przecież przypada jej rola „bierna”, czekającej. A znów sama potrzeba sympatii, serdeczności, miłości jest u dziewcząt w wieku 16—20 lat o wiele żywsza niż u chłopców. Ileż listów opisujących bohaterские rezygnacje z chłopca, w imię szacunku do siebie i do swojej miłości kończy się z trwożnym pytaniem: „I na co teraz mam czekać? Jak długo i z jakim rezultatem?”.

Wreszcie, po trzecie — także wśród dziewcząt zmienił się stosunek do spraw płci, wiele z nich pod wpływem



przykładu środowiska (nieraz własnych rodziców — vide listy) dochodzi do wniosku, że miłość to tylko „sprawy łóżka”.

Jedna z korespondentek pisze:

„...Pierwszy raz to było dwa lata temu ze Zbyszkciem. Wcale go nie kochałam, nawet mi się nie podobał. Zrobiłam to z ciekawości, żeby wiedzieć, jak to jest i żeby to mieć za sobą. Inne koleżanki się przechwalały, że są już po pierwszym razie, więc nie chciałam być gorsza. Byłam bardzo rozczarowana. Żadnej przyjemności, a nawet, na odwrót, wstręt i obrzydzenie. Dzisiaj jestem naprawdę kochana i zakochana. Dzisiaj wiem, że miłość to wielka i wspaniała rzecz. Ale wtedy! Prawdę mówiąc, żałuję, że tak głupio zaczęłam...”

(Maturzystka lat 18, wielkie miasto)

Czytelnicy płci męskiej mogą zapytać zawiedzeni: „Jak to, więc wśród przyczyn skłaniających dziewczęta do „pierwszego razu” nie widzi Pan zupełnie przyczyn natury czysto seksualnej, np. spontanicznego parcia do odbycia stosunku płciowego?”. Otóż, nie widzę. Na tym polega zasadnicza różnica. Wyjawszy wypadki szczególne (o których niżej!) normalna dziewczyna w wieku 16—18 lat nie odczuwa takiej naglącej i wyraźnie zdefiniowanej potrzeby zjednoczenia fizycznego, jak to ma miejsce u chłopców. Odczuwa za to, jak już mówiłem, o wiele silniej od chłopców potrzebę duchowego związku uczuciowego, czułości, serdeczności, przyjaźni i adoracji. Mówiąc niezbyt dokładnie, ale dobitnie: chłopiec staje się „mężczyzną” już po pierwszej zmazie nocnej czy pierwszej masturbacji, dziewczyna nie staje się „kobietą” po pierwszej menstruacji, staje się istotą seksualną właśnie po „pierwszym razie”. Zresztą, ściślej mówiąc, nie po byle jakim „pierwszym” razie, ale po „pierwszym udanym” czy „pełnowartościowym” (dla niej, oczywiście) razie. Rzecz bowiem w tym (i tu tkwi druga zasadnicza przyczyna), że jak nam wyznała korespondentka, o ile dla chłopca każdy odbyty stosunek

jest udany w sensie przeżycia specyficznych doznań seksualnych, o tyle dziewczyna (a nieraz i kobieta, nawet zamężna) może całe lata współżyć płciowo, ani razu nie doznawszy tych przeżyć i nie przechodząc tego, co się nazywa „rozbudzeniem seksualnym kobiety”.

Te szczególne przypadki, o których mówiłem przed chwilą, dotyczą przede wszystkim dziewcząt, które rozbudziły się same seksualnie poprzez masturbację. Wszystkie inne nie muszą i nie odczuwają naglącej określonej fizjologicznie potrzeby działań natury seksualnej, a nawet, jak szczerze wyznaje jedna z autorek listów, myśl o nich napawa je często obrzydzeniem i wstrętem. Można z dużym uzasadnieniem stwierdzić, że ilekroć normalna dziewczyna w wieku 16 czy 18 lat godzi się na „pierwszy raz”, to z reguły działa pod naciskiem okoliczności (strach o chłopca), bodźców psychicznych (ciekawość, chęć okazania się „nowoczesną”), a nie pod naciskiem fizjologicznych konieczności.

W odniesieniu do dziewcząt można również powiedzieć, że najdogodniejsza i najbezpieczniejsza, jak też i najlepiej zgrana z ich strukturą i funkcjonalnością fizjologiczną droga do „pierwszego razu” prowadzi przez głębsze uczucie przyjaźni i miłości (niekoniecznie od razu przez największe „M”), najlepiej uwieńczone małżeństwem gwarantującym tak potrzebne dla ich szczęścia poczucie (względnej, co prawda, w dzisiejszych czasach) pewności posiadania i trwałości związku. Nazywam tę drogę (tradycyjną) najdogodniejszą, gdyż odpowiada kolejności faz rozwoju seksualizmu kobiety; najpierw potrzeba uczucia i serdeczności, opieki i pomocy, potem wykwitające z tego współżycie płciowe i małżeństwo umożliwiające bezpieczne spełnienie marzenia każdej kobiety o własnym dziecku.

Dlatego też na alarmujący list studentki, która musiała odpowiedzieć na ultimatum swego wybrańca „w terminie do 15 czerwca” odpisałem mniej więcej tak: „Radzę odpowiedzieć: „nie”! „Pierwszy raz” musi Pani przeżyć wtedy i tylko wtedy, kiedy sama Pani tego będzie chciała i dlatego, że to się stanie dla Pani konieczne, a nie dla-

tego, że jest to palącą potrzebą czy gorącą zachcianką Jego. Chłopiec, który stawia takie brutalne ultimatum, niedwuznacznie daje Pani do zrozumienia, że w całej Waszej „miłości” czy „chodzeniu” chodzi mu tylko o „łóżko” i że to jest dla niego najważniejsze. Taki chłopiec odejdzie od Pani, tak czy inaczej, nawet wtedy, kiedy mu Pani ulegnie, bo wyraźnie zdemaskował się, że nie łączy go z Panią nic prócz nadziei na szybkie wspólne „łóżko”, a to jest słaba więź, szczególnie dla sportowca notującego „ustrzelone frajerki” w kieszonkowym kalendarzyku. Więc czym właściwie grozi Pani? Tym, że odejdzie o miesiąc wcześniej? Czy to naprawdę taka tragedia, żeby płacić za nią wygórowaną cenę i pozwolić mu zapisać się na trwałe w historii Pani intymnego życia, choć wcale na to nie zasługuje?”.

Cena

Czy jednak nie przesadzam, pisząc o tej „wysokiej cenie”, „pierwszego razu” u dziewcząt?

Zakłady Ubezpieczeń na całym świecie znacznie podnoszą stawki ubezpieczeniowe w miarę wzrostu ryzyka, wzrostu prawdopodobieństwa, że sytuacja objęta ubezpieczeniem może się wytworzyć. Tak np. przeciwpożarowe ubezpieczenie tankowca z benzyną jest znacznie wyższe niż rudowęgłowca itd. „Ryzyko” pierwszego razu jest u dziewcząt znacznie większe niż u chłopców (choć i tam — jak postaram się wyjaśnić później — też istnieje). Tym najbardziej oczywistym i znanym ryzykiem u dziewczyny jest niepożądane i przypadkowe zajście w ciążę, co mimo istnienia wielu na ogół skutecznych środków i sposobów zapobiegania, przy niedoświadczonym i lekkomyślnym z racji wieku partnerze, musi być także brane pod uwagę. Nie sądzę jednak, żeby to było najgroźniejsze ryzyko, właśnie dlatego, że jest bardzo oczywiste i znane, a rzeczy znane i oczywiste są zawsze mniej niebezpieczne od ukrytych i niełatwych do odkrycia. Dlatego groźniejsze są

niebezpieczeństwa natury psychicznej i życiowo-społecznej. A więc najpierw seksuologicznie: „pierwszy raz” u młodej dziewczyny przedsięwzięty nie w klimacie poważnej więzi uczuciowej bądź doprowadzi do jej rozbudzenia seksualnego, bądź też (częściej) nie rozbudzi jej seksualnie. Oba przypadki, jeśli dokonały się jako coś przypadkowego i „sportowego”, komplikują jej dalszy rozwój seksualny i uczuciowy. W wypadku rozbudzenia dziewczyna wybucha płomieniem uczuć i namiętności pod adresem osobnika, który ją za miesiąc lub dwa porzuci dla innej, bardziej atrakcyjnej, bo „nowej”. Znając go miesiąc czy dwa nie mogła poznać go bliżej od strony wartości intelektualnych i moralnych, od strony charakteru. I często okaże się, że pierwszą dorosłą miłością obdarzyła jakąś miernotę. Dramat i niesmak z pierwszego zawodu murwany, a opisuje go przekonywająco w swym liście studentka, kreśląc jednocześnie prawdziwie bieg dalszych losów takiej oszukanej „naiwniaczki”: bądź zawód, krach i uraz na parę lat, bądź też szukanie zaspokojenia rozbudzonych zmysłów w niezliczonych przygodach i awanturkach grawitujących nieraz wręcz ku upokorzącym formom półprostytyucji („za kawę”, „za winko”, „za przewiezienie motocyklem”, „za bilet do teatru”). Częściej jednak rozbudzenie seksualne w wyniku „pierwszego razu” nie następuje (porównaj cytowane uprzednio wyznanie innej korespondentki). O przyczynach tego teraz nie będę mówił. Pół biedy jeszcze, jeśli w takim przypadku cała sprawa kończy się na poczuciu niesmaku i obrzydzenia do aktu płciowego, choć i to jest psychologicznie szkodliwe, gdyż sam akt płciowy nie powinien budzić niesmaku i obrzydzenia, skoro ma odgrywać tak ważną rolę w całym życiu człowieka, skoro wiążemy z nim poczucie równowagi psychicznej i radości życia.

Gorzej jest, jeśli nieobyty, chamski lub po prostu ciemny partner wywoła przy okazji szok nerwowy, zachowa się w sposób przerażający lub nadmiernie bolesny itp. Wtedy istnieją wszystkie przesłanki do powstania pewnej postaci nerwicy płciowej, zwanej „waginizmem” (vagina po łacinie: „pochwa”), polegającej na reagowaniu

obronnymi i bolesnymi skurczami mięśni narządu płciowego kobiety przy każdej próbie — praktycznie uniemożliwiając odbycie stosunku. Ciągłe bowiem trzeba pamiętać o tym, że system płciowy człowieka jest sterowany przez system nerwowy, a w szczególności przez mózg; raz utrwalone tam odruchy i związki czasowe mogą przez całe życie utrudniać lub wręcz uniemożliwiać normalne życie seksualne. Stare poradniki małżeńskie nie bez racji radziły małżonkom, aby rezygnowali z tradycji tzw. „nocy poślubnej”, aby dochodziło między nimi do „pierwszego razu” po pewnym okresie wzajemnego oswojenia się, nabrania zaufania i obycia fizycznego i duchowego. Dzisiaj, być może, rada ta jest o tyle przestarzała, że tylko niewiele ludzi wstępuje w związki małżeńskie bez jakichś przeżyć seksualnych, a także „pierwszy raz” u większości małżonków następuje przed ślubem. Jak sądzi jednak wielu współczesnych seksuologów, w mocy pozostaje zalecenie, aby do „pierwszego razu” (zarówno w małżeństwie, jak i poza nim) dochodziło po dostatecznie długim okresie poznawania się, oswojania, się, „otrzaśkania się” ze sobą.

Jak długi ma to być okres? Trudno mi na to odpowiedzieć. To jest chyba sprawa nie poddająca się żadnym „normom”. W żadnym chyba razie nie powinien to być tylko tydzień czy dwa tygodnie, z terminem wypowiedzenia na 15 czerwca. Tymczasem w tej dziedzinie panują poglądy dość specyficzne. Pewien młody mężczyzna, któremu radziłem, aby poczekał z decyzją małżeństwa co najmniej jeszcze pół roku (znał bowiem swą wybrankę zaledwie dwa miesiące), powiedział mi z oburzeniem: „Pół roku! Ależ proszę Pana, przecież ja przez sześć miesięcy na pewno się rozmyślę”. Gotów był jednak podjąć po dwóch miesiącach decyzję, która miała zaważyć na latach życia jego samego i drugiej osoby. A podobno mężczyźni zawsze rozumują logicznie! Hm, może...

Wybaczenie tę dygresję, która zresztą wcale tak bardzo nie odbiega od tematu.

I wreszcie sprawa ostatnia, którą tylko tutaj odnotuję, odkładając szersze jej omówienie do innej okazji. To

sprawa dziewictwa i skutków, jakie ma wciąż w naszym systemie obyczajowo-moralnym jego utrata. Poczta, jaką otrzymuję na ten temat, jest ogromna. To jawna niesprawiedliwość natury, że dziewczyna, która przeżyła swój „pierwszy raz”, nie może tego zataić przed następnymi partnerami. A może jest w tym jakaś hamująca mądrość matki przyrody? Chłopcy, u których konsekwencje niepomysłnie odbytego „pierwszego razu” są inne i mniej poważne dla dobra gatunku i dobra rodziny, nie zostali obdarzeni przez przyrodę takimi zabezpieczeniami i sui generis „plombami kontrolnymi”. Zresztą ci sami chłopcy, którzy często w listach żądają nienaruszalności dziewictwa od swych przyszłych żon, czynią w praktyce samę wszystko, aby dziewie było jak najmniej. Prawdą niewątpliwą jest również to, że o wartości człowieka pod względem moralnym i seksualnym nie może decydować całość lub naruszenie kilku centymetrów kwadratowych błonki hymenu *. Niemniej jednak nie żyjemy w idealnej próżni, tylko w określonym społeczeństwie, poddawani naciskom, czasem już wymierających, ale wciąż obowiązujących, norm moralno-obyczajowych. Nie możesz wiedzieć dziewczyno, czy ten, którego obdarzysz za lat kilka prawdziwym uczuciem i z którym zapragniesz związać się na całe życie, nie będzie akurat w tej sprawie konserwatywny. A może on sam będzie należał do tej mniejszości, która potrafiła zachować pierwsze porywy miłosne dla przyszłej żony i głęboko odczuje zawód, że Ty nie czekałaś. Jeśli przesłaś Rubikon seksualny w wyniku jakiegoś pięknego i wartościowego związku, który się skończył, wiesz przynajmniej, że warto było to przeżyć i wiesz, za co teraz płacisz w postaci niesnasek, pretensji i wyrzutów ze strony chłopca przywiązującego wagę do dziewictwa. Lecz jeśli uczyniłaś to z głupoty, z próżnej ciekawości, z przygodnym „facetem”, to cena, jaką może przyjdzie za to płacić, okaże się zbyt wygórowana.

Chcę być dobrze zrozumiany. Nie potępiam w czambuł tych młodych, którzy przekraczają Rubikon seksualny

* Hymen — łac. błona dziewicza.

przed małżeństwem, pragnę jedynie zwrócić ich uwagę na to, że właściwe ryzyko ponosi tutaj dziewczyna, a nie chłopiec. Pretensje przyszłych mężów o doświadczenia seksualne z innymi mężczyznami mogą być konserwatywne i przestarzałe, ale zawierają pewne żdźbło prawdy, z którego kobiety powinny sobie również zdawać sprawę. Seksuolodzy wskazują bowiem przypadki, w których przeżyta, pełna miłość przedmałżeńska, połączona z pełnym rozbudzeniem seksualnym kobiety stawała się przeszkodą dla uzyskania harmonii seksualnej w małżeństwie. Zwłaszcza, jeśli ów mąż ustępował pod wieloma względami w dziedzinie seksualnej i erotycznej.

„Zawsze między mną i mężem stoi ten pierwszy, zawsze go z nim porównuję i zawsze porównanie wypada na niekorzyść męża” — zwierzała mi się pewna młoda mężatka, która po dwóch latach małżeństwa, uwieńczonego dzieckiem, postanowiła rzucić męża i wrócić do tego „pierwszego” (który, nota bene, nie chciał o tym słyszeć, będąc szczęśliwym małżonkiem innej kobiety).

„Miłość — mówiła biegła w tej materii Madame de Staël — to epizod w życiu mężczyzny, ale cała historia w życiu kobiety”. Dlatego tak dobrze trzeba przemyśleć wszystko, zachować dużo rozwagi i ostrożności, zanim zdecydujesz się na ten „pierwszy raz”.



Co to znaczy słuchać natury?

„Człowiek prawie zawsze wie, jak ma postąpić, ale bardzo często postępuje inaczej”.

Emocje i uczucia, popędy i namiętności, entuzjazm i zapał nieraz przekreślają chłodne rozważania i rozumowe racje, i dzięki nim właśnie życie człowieka jest barwne, urozmaicone i niepowtarzalne. Chodzi jednak o to, aby cała ta emocjonalno-popędowa sfera jego życia była kontrolowana i kierowana przez rozum, oczywiście, w tych granicach, w których może się to odbywać bez unicestwienia samych uczuć, popędów i emocji.

„...Aby zapanować nad swoim popędem, uprawiam kulturystykę, mam zamiar wstąpić do klubu kolarskiego. Ograniczyłem masturbację do minimum, ale sądzę, że jedyne radykalne wyjście z tego, to rozpocząć normalne życie płciowe. Wiem, że organizm mój nie jest jeszcze całkowicie dojrzały, lecz przy takim stanie rzeczy będzie to chyba jedyne wyjście z sytuacji...”

(Uczeń XI klasy, lat 18, miasto)

„...Od sześciu lat uprawiam masturbację. Jedno jest pewne, że jedynie kobieta może mnie uratować, ale jeszcze nie przeżyłem „pierwszego razu”. Chodziłem z jedną przez rok i, co ciekawe, masturbacja znacznie wtedy zmalała, do dwóch razy w miesiącu maksimum. Po prostu popęd mój zaspokajały pocałunki, czułości czy pie-

szczoty. Proszę napisać prędko i dyskretnie, czy jestem normalnym człowiekiem. Po drugie, czy mam starać się o jak najszybsze przeżycie „pierwszego razu?”

(Uczeń XI klasy, lat 18, miasto)

„...Prawie zwyciężyłem masturbację (teraz jeden — dwa razy miesięcznie), lecz to mnie nie zadowala i dążę do całkowitej likwidacji tego nałogu. Jestem spragniony miłości. Początkowo nie odczuwałem braku przyjaciela płci odmienniej, teraz ta samotność po prostu mnie zabija. Z wesołego, ruchliwego chłopca stałem się złym i oswiałyłem pesymistą. Mam wprawdzie kolegów, z którymi żyję jak brat z bratem, ale gdy słyszę o ich sukcesach miłosnych, czuję, jak w moim sercu narasta uczucie smutku, samotności i nie uzasadnionego żalu do otoczenia. Ten stan mojej bezsilności wobec płci odmienniej przywołuje mi do głowy często złe myśli (myślałem nawet o samobójstwie). Proszę o szczerą radę, co mam dalej czynić, ponieważ moja cierpliwość już się kończy...”

(Uczeń IV klasy szkoły zawodowej, lat 18, miasto)

„...Jestem wyczynowym sportowcem w wojsku. Jestem taki „gorący”, że muszę za wszelką cenę rozładowywać się raz po raz. A więc masturbacja. Inaczej jestem roztrzęsiony, spać nie mogę i nawet mam bóle głowy. W wojsku często dyskutujemy na temat, co jest lepsze — masturbacja czy złapanie choroby wenerycznej od prostytutki w Gdyni czy w Gdańsku. Zaangażowanie się w wielką miłość też jest niepewne. Dzisiejsze dziewczęta są „za lekkie”, a wyjątki spotkać trudno. Co Pan radzi? Czy dalej robić to samo, czy świadomie szukać pełnych i normalnych stosunków płciowych?”

(Marynarz, lat 32)

I oto mamy niemal kompletny rejestr przyczyn pchających chłopców do „pierwszego razu”. Wstręt do masturbacji i chęć wyleczenia się z tego nałogu przez peł-

nowartościowe życie płciowe z partnerką. Chęć spraw-
dzenia swojej „dorosłości” i dorównania kolegom, którzy
przechwalają się, jacy to oni są „kozacy” w tych spra-
wach. Poczucie samotności i pragnienie pełnej miłości.
Wreszcie nadmierna pobudliwość seksualna, wywołująca
niemal nieprzerwany stan napięcia seksualnego, wyma-
gający „rozładowania”. Najczęściej wszystkie te czynniki
i motywy występują u młodych ludzi jednocześnie, tylko
że u poszczególnych jednostek akcentują się one z różną
siłą.

Z cytowanych listów przebija też wyraźnie ostry, na-
glący i wyraźnie zdefiniowany charakter popędu płcio-
wego u młodzieńców — w odróżnieniu od omawianego
w rozdziale poprzednim o wiele łagodniejszego i mało
zdefiniowanego uczucia „braku miłości” u dziewcząt.

Co wywołuje ten charakterystyczny napór myśli, ma-
rzeń i dążeń seksualnych na psychikę chłopca w wieku
17—20 lat? Medycyna może nam wskazać szereg hormo-
nów, czyli chemicznych substancji, wydzielanych przez
gruczoły dokrewne (np. przysadkę mózgową, podwzgórze,
najądrza, jądra itd.), które wywołują w jego psychice
stan seksualnego alarmu. Są to np. hormon pęcherzy-
kowy przysadki, hormon luteinizujący przysadki, gona-
dotropina kosmówkowa, androgeny, estrogeny itd. Może
to brzmieć szokująco dla laika, ale w podręczniku me-
dycznym wyczytamy takie np. zdanie: „Instynkt macie-
rzyński u kobiet jest wywołany przez hormon zwany
luteotropiną”. „Androgeny powodują dojrzewanie dodat-
kowych narządów płciowych”. „Regulując ilość gonado-
tropiny kosmówkowej w organizmie, można oddziaływać
na wielkość męskich organów płciowych” itd. itd.

Więc jak to? Tak wielkie uczucia, opiewane przez sztukę,
jak: miłość, namiętność erotyczna, zazdrość, uczucie
macierzyńskie itp — to wszystko jest sprawą chemii hor-
monów?! I tak, i nie. Miłość i życie płciowe to jest także
(może nawet w bardzo dużym stopniu) sprawa odruchów
sterowanych przez chemizm hormonów, ale nie tylko od-
ruchów i nie tylko chemizmu. Na tym polega różnica mię-
dzy popędownym życiem człowieka i psa, że pies zachowu-

je się w dziedzinie seksualnej wyłącznie odruchowo, jest sterowany jedynie przez chemizm hormonów i odruchy układu nerwowego regulującego ten chemizm. Fakt, że czytelnicy moi mają tyle wahań, obiekcji i przeżyć, świadczy właśnie o tym, że sama chemia hormonów i same odruchy fizjologiczne nie odgrywają u nich roli decydującej. Na decyzję o odbyciu stosunku płciowego u człowieka wpływają bowiem nie tylko bodźce płynące z ośrodka erekcji mieszczącego się w lędźwiowej części rdzenia kręgowego, lecz także sygnały płynące z kory mózgowej, a więc wątpliwości natury moralnej, estetycznej higienicznej, a u wierzących, także natury religijno-moralnej. U młodzieńca w wieku 17—20 lat poziom hormonów sterujących odruchami seksualnymi jest we krwi bardzo wysoki, system nerwowy jest przez nie erotyzowany ciągle i bez przerwy, zarówno na jawie, jak i we śnie. Jeśli zaś mimo to młodzi mężczyźni nie rzucają się jak jaskiniowcy na każdą napotkaną kobietę, a nawet powstrzymują się od „pierwszego razu” w licznych wypadkach, w których mógłby on mieć miejsce, to świadczy to właśnie o tym, iż hamująca i regulująca rola centralnego systemu nerwowego (mózgu) jest u człowieka silniejsza od samego chemizmu i fizjologii seksualnej. Ta właśnie cecha stanowi jedną z tych właściwości gatunku ludzkiego — obok chwytnej ręki, wyprostowanej postawy i zdolności do abstrakcyjnego, pojęciowego myślenia — które w sumie dały człowiekowi wyjątkową pozycję w świecie zwierząt.

Choć — jak pisałem w poprzednim szkicu — wydaje się, że pierwsze doznania chłopców nie zostawiają tak głębokich śladów w ich psychice, jak w psychice dziewcząt, to jednak u chłopców wiążą się z tym jeszcze inne przeżycia. Chodzi o to, że męska aparatura rozrodcza ulega o wiele łatwiej zaburzeniom. Wiąże się to po prostu z budową i funkcjonowaniem męskich narządów płciowych. Nie ma, praktycznie biorąc, zdrowej kobiety, która „technicznie” nie mogłaby odbyć stosunku płciowego (choć są takie, które nie doznają przy tym specyficznych przeżyć seksualnych), jeśli tylko będzie miała na to ochotę.

tę i znajdzie się sprawny seksualnie partner. Tymczasem u mężczyzny jest inaczej: mężczyzna może mieć ochotę, może mieć partnerkę wyrażającą zgodę na odbycie aktu płciowego, a mimo to do aktu może w ogóle nie dojść, gdyż zawiedzie narząd płciowy — nie spełni elementarnych warunków fizycznych (brak wzwodu prącia). Jest to impotencja erektywna mężczyzny i przypadki tej niezdolności płciowej — zarówno przejściowej, jak i stałej — są częste. Stąd też wielu chłopców „pierwszy raz” odczuwa jako egzamin swej sprawności męskiej. Dziewczęta w takiej okazji trapią się głównie problemem: „Czy warto? Czy wypada? Czy już teraz?”. Chłopców przede wszystkim męczy inny, nie znany dziewczętom problem: „Czy się uda? Czy się nie skompromituję?” I powiedzmy prawdę — wypadki niepowodzenia, częściowej lub zupełnej impotencji przy „pierwszym razie”, a jeszcze częściej zakończenie całej rozgrywki na polu przedbramkowym — są bardzo częste. I wtedy otrzymuję takie listy:

„...Byłem w wojsku, chciałem mieć jak najszybciej „pierwszy raz” za sobą. Bardzo łatwo doszło do tego z pierwszą lepszą i... okazało się, że nie jestem do tego zdolny. Kompromitacja! Myślałem: „Co jest?”. Potem poznałem inną dziewczynę, porządną, ładną. Znajomość, przyjaźń, pierwsza miłość. Początkowo było równie źle, ale potem stopniowo poprawiało się. Kiedy wszystko wróciło do normy, skończyła się służba i musieliśmy się rozstać. Dziś jestem znów sam. Wyszedłem z wojska i choć wielokrotnie próbowałem, nic z tego nie wyszło. Zmęczyłem się już tym. Czy warto żyć, pracować, męczyć się bez widoków na uregulowanie tej ważnej dziedziny życia? Dlaczego zawodzę? Co jest przyczyną mojej niezdolności płciowej?”.

(Technik budowlany, lat 24, małe miasteczko)

„...Jestem okazem zdrowia, dobrze zbudowany. Już z drugą poznaną w życiu dziewczyną chciałem przeżyć swój „pierwszy raz”, ale nic z tego nie wyszło. Zdecydowałem się na to, nie będąc ani wystraszony, ani pod-

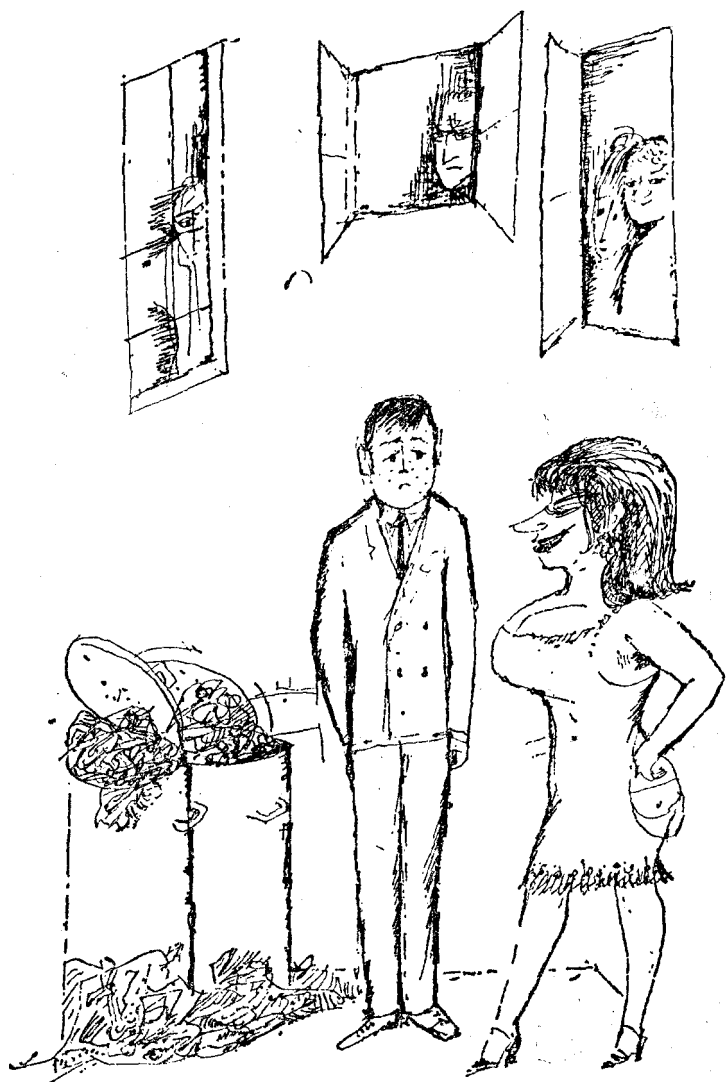
niecony. Ponawiałem próby wielokrotnie i nic z tego nie wyszło. Próbowalem z innymi i też nic — albo w ogóle nie reagowałem na bodźce, albo w stopniu niedostatecznym. Dotychczas wprawdzie nie kochałem się w żadnej dziewczynie, ale nie wyobrażam sobie, co będzie, jak się zakocham. Błagam o szybką radę i ocenę mojej sytuacji...”

(Technik, lat 25, miasto przemysłowe)

Charakterystyczne są dane dotyczące wieku korespondentów: o tym, czy i kiedy zacząć życie płciowe, pisał głównie chłopcy osiemnastoletni, o swych niepowodzeniach i zahamowaniach w wyniku pierwszego razu pisał starsi, bo już 23—25-letni mężczyźni. Większość uskarżających się na impotencję erektywną młodych ludzi stwierdza, że we wszystkich innych okazjach ich aparatura płciowa działa bez zarzutu (masturbacja, samorzutne polucje, marzenia sennie). A więc przyczyn tej przykrej choroby szukać trzeba nie w wadach samej aparatury, nie w fizjologii, lecz w psychice, w urazach, jakich doznali w związku z pierwszymi próbami. Nieraz odzywają się także różnego rodzaju wcześniejsze zahamowania psychiczne, których korzenie tkwić mogą nawet w odległych przeżyciach dzieciństwa. Ale o tym pomówimy w następnym szkicu. Tymczasem podkreślam bardzo dobitnie: aparatura płciowa mężczyzny jest niesłychanie wrażliwa na działanie czynnika nerwowo-psychicznego i zarówno sukces, jak i niepowodzenie przy „pierwszym razie” może posiadać decydujący, a z reguły poważny wpływ na dalszy bieg życia płciowego i późniejszą sprawność seksualną człowieka. Im młody mężczyzna jest wrażliwszy, bardziej nerwowy i pobudliwszy, tym silniejsze bodźce negatywne mogą zostawić bardzo głębokie ślady i powodować poważne zahamowania. Może trochę zbyt brutalny, ale chyba trafny dowcip francuski mówi o męskiej aparaturze seksualnej, że jest to najlżejszy na świecie przedmiot, bo nieraz sama myśl go porusza, a jednocześnie najcięższy, bo w innych przypadkach nie da się ruszyć z miejsca w sto koni.

Zwróćcie uwagę na to, z kim doznawali kompromitujących porażek autorzy listów. Pierwszy pisze, że była to „pierwsza lepsza”. Drugi próbował już z drugą poznaną w życiu dziewczyną, potem z wielu innymi, ale do żadnej z nich nic nie czuł, żadnej nie kochał. Obaj próbowali, bo po prostu chcieli to już mieć poza sobą. Zupełnie jakby chodziło o wyrwanie zęba u dentysty. Mógłbym cytować wiele listów, z których wynika, że najczęściej niepowodzenia „pierwszego razu” występowały wtedy, gdy młody chłopiec podejmował tę próbę z byle kim, byle gdzie i byle jak. Wczujcie się dobrze w sytuację: młody chłopiec, który najczęściej już od wielu miesięcy, a nieraz i lat, myślał z przejęciem o takiej chwili, który oczekiwał jej z biciem serca, z obawą, „czy uda się”, i nadzieją, że okaże się „prawdziwym mężczyzną” przystępuje do tego swoistego egzaminu dojrzałości w warunkach, w których nic mu nie pomaga, a wszystko mu przeszkadza. Jakaś obojętna mu osoba, którą traktuje wyłącznie jako narzędzie, jakaś ławka w parku, ciemne schody czy brudny zakamarek koło sali dansingowej, gdzie grozi im w każdej chwili odkrycie, lub jeszcze gorzej — brudne legowisko prostytutki lub „lekkiej” dziewczyny. W tych wszystkich przypadkach, prócz drażącego mózg pytania: „Jak to będzie?” i „Czy się uda?”, nurtuje jeszcze strach przed zaskoczeniem i spłoszeniem przez przechodnia, lub też w przypadku prostytutek — przed zakażeniem chorobą weneryczną (porównaj list). Dodajcie do tego uczucie wstrętu z powodu brudnego zakątka, plugawej pościeli, brudnej bielizny, czy zapachu potu i tanich perfum bijącego od, pozał się Boże, partnerki.

I w tych warunkach nie ma dojść do szoku, do absolutnego zahamowania? Gwarantuję Wam, że w sytuacji podobnej do opisanej zawiedliby seksualnie doświadczeni, dorośli mężczyźni, tylko że oni — wiedząc o tym — nie przystąpiliby do takiej próby, jeśli nie zmuszałyby ich do tego jakieś zupełnie wyjątkowe okoliczności (długotrwała izolacja, wojna lub zamroczenie alkoholowe). Bo przecież w normalnych warunkach nie zawsze mężczyzna, nawet ten, który już wielokrotnie przekonał się o swej

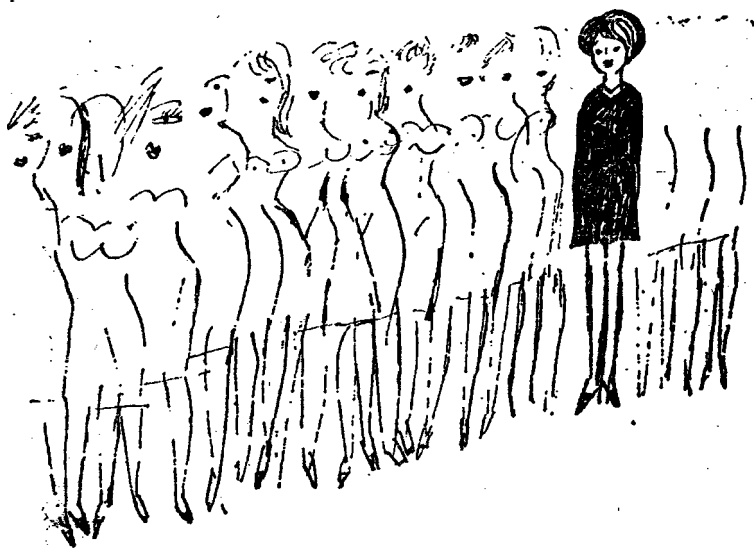


sprawności seksualnej, jest zdolny do współżycia płciowego z dowolną osobą i w dowolnych okolicznościach. Dlaczego? Właśnie dlatego, że człowiek nie jest psem, który może spółkować z każdą suką, jeśli ta jest w okresie rui. Właśnie dlatego, że świat przeżyć płciowych nie zamyka się w granicach odruchów seksualnych człowieka, że nieraz dominującą, a zawsze poważną rolę grają w nim czynniki psychiczne, duchowe. Człowiek, który zechce traktować swoje sprawy seksualne z prostotą psa, nie zbliża się, lecz oddala się od natury — od natury ludzkiej, oczywiście. Naturę bowiem opanowuje ten tylko, kto jej słucha, kto nie łamie jej praw przez głupotę, nieświadomość lub lekkomyślność, lecz postępowanie swoje do niej dostosowuje. Wszyscy moi korespondenci, którzy mając 20 czy 25 lat cierpią już na zaburzenia seksualne, na różne formy impotencji, wymagające nie zawsze, niestety, skutecznej ingerencji lekarza psychiatry i psychologa, najczęściej płacą wysoką cenę za naruszenie praw natury ludzkiej, za postępowanie seksualne sprzeczne z tym, czego oczekiwała ich osobowość, zarówno fizyczna, jak i duchowa.

Jak widzicie, nie nawołuję do tego, abyście trwali w „czystości” aż do małżeństwa, bo i tak byłby to „głos wołającego na puszczy”. Nawołuję jednak do rozwagi i rozsądku przy „pierwszym razie”, żebyście wiedzieli, że to nie to samo co „pierwszy papieros”, czy „pierwszy kieliszek”. Wszystkim, którzy proszą mnie „o szybką i dyskretną radę”, czy mają już szukać „pierwszego razu”, odpisuję z reguły: przede wszystkim nie spiesz się. I jeszcze raz — nie spiesz się. Nikomu jeszcze nie zaszkodziło, że poczekał rok czy dwa na swoją inicjację seksualną, a wielu zaszkodziło to, że doznali szoku i urazu w wyniku niepomysłnej, po bałaganiarsku, byle jak i z byle kim przeprowadzonej próby. Jeśli prawdą jest, że w znacznym stopniu zwalczyłeś masturbację, że ulegasz jej już bardzo rzadko, to widać z tego, że jesteś wartościowym młodzieńcem, o silnej woli i trzymającym się w garści — tym bardziej więc poczekaj z „pierwszym razem”. „Jak długo mam czekać?” — pytasz. Nie potrafię

tego określić w miesiącach czy latach. Powinieneś jednak poczekać tak długo, aż cała sprawa rozwiąże się jakby samoistnie i samorzutnie. Nie przejmuj się przechwałkami kolegów i nie czuj się z tego powodu gorszym czy „opóźnionym w rozwoju”. Przede wszystkim trzy czwarte z tego, co opowiadają, to zwykła blaga. Konfabulują i zmyślają na temat swoich sukcesów seksualnych trochę po to, żeby ci zaimponować i dokuczyć, trochę po to, żeby się wyżyć seksualnie w opowiadaniu różnych tłustych scen i scenek. Przekonasz się sam, że gdy odbędziesz już swój „pierwszy raz”, wtedy nie będziesz rozsyłał o tym fakcie zawiadomień znajomym i nie będziesz miał ochoty wywnętrzać się przed kolegami. Jeśli to będzie „pierwszy raz” piękny, udany i pamiętny (jakim być powinien), zapragniesz go uczynić tajemnicą wiążącą Ciebie i Twoją wybraną. Jeśli zaś będzie to kompromitacja i zawód lub przeżycie brzydkie i napełniające niesmakiem, to tym bardziej nie zechcesz, aby się świat o tym dowiedział.

Im jesteś wrażliwszy, im bardziej trapi Cię ten prob-



lem, im więcej budzi niepokoju — tym bardziej bądź ostrożny. Czy znaczy to, że nie masz szukać? Szukaj, owszem, szukaj, ale nie narzędzia do „pierwszego razu”, tylko dziewczyny przyjaciela, dziewczyny, którą mógłbyś pokochać, z którą mógłbyś się zaprzyjaźnić, do której mógłbyś się zbliżyć duchowo, z którą chciałbyś nie tylko „spać”, ale i żyć, z którą chciałbyś nie tylko dzielić „łóżko”, ale i myśli, i uczucia, dążenia i marzenia, pracę zawodową i społeczną. Zwróć uwagę, że cierpiący na psychicznie uwarunkowaną impotencję autor listu, wtedy kiedy współżył z dziewczyną kochaną, okazał się sprawny i wydolny seksualnie, czego nie było w dziesiątkach innych prób podejmowanych przedtem i potem.

U chłopców, tak samo jak i u dziewcząt, najbezpieczniejszym polem i najpewniejszą okazją do „pierwszego razu” jest głębsze, prawdziwe i szczere uczucie. Jeśli swoje pierwsze porywy ofiarujesz dziewczynie, którą kochasz, którą będziesz dłuższy czas znał, o której będziesz wiedział, że Cię darzy gorącą sympatią i szacunkiem, za to czym jesteś i jakim jesteś w innych dziedzinach życia, wtedy znacznie zmaleje szansa kompromitującego niewypału przy pierwszej próbie, bo sam „pierwszy raz” nastąpi wtedy jakoś niepostrzeżenie, jako naturalna konsekwencja tego wszystkiego, co było przedtem i co będzie potem. Gdyby zaś mimo to wystąpiły jakieś komplikacje (uwarunkowane Twoim niedoświadczeniem czy wzruszeniem), wtedy masz pewność, że ta dziewczyna nie tylko, że Cię nie wyszydzi, nie wyśmiejie i nie rozpowie o tym koleżankom, lecz okaże wyrozumiałość — co uchroni Cię od urazów i kompleksów psychicznych i pozwoli stopniowo także i w tej dziedzinie dojść do równowagi i harmonii.

Tu jedna uwaga: bądź przy tym sprawiedliwy — jeśli sam zdecydujesz się na współżycie przedmałżeńskie, to znaczy, że z góry zakładasz, iż masz moralne prawo do tego. Nie możesz w takim razie odmawiać tego samego prawa dziewczynie i nie wolno Ci pomstować na nią i zatruwać jej życia, gdyby się miało okazać, że i ona wcześniej przyznała sobie to samo prawo. Nikt uczeiwy bowiem

nie wystawia rachunku na sumę przekraczającą wartość oferowanego przez siebie towaru.

Co właściwie trzeba mieć na myśli, mówiąc o swoim „pierwszym razie”? Czy w ogóle jakiegokolwiek rozładowanie dokonane z byle kim i byle jak, przy każdej nadarzającej się okazji? Czy też po raz pierwszy przeżyty stan głębokiego zjednoczenia dwóch osobowości ludzkich, który w akcie płciowym znajduje swój najgłębiej odczuwany i przeżywany wyraz? Chyba nie ma wątpliwości, że tylko drugie znaczenie „pierwszego razu” jest prawdziwe. I tylko tak pojęty „pierwszy raz” wzbogaca świat przeżyć i doznań człowieka.

Z głęboką przykrością przeczytacie zapewne takie słowa:

„...Przez sześć lat nałogowo uprawiałem masturbację (od 15. roku życia), potem na lewo i na prawo starałem się rozładowywać seksualnie z przygodnymi partnerkami. Z wielokrotnych prób tylko nieliczne zostały uwieńczone pełnym sukcesem, widocznie zaszkodziły mi lata nałogowej masturbacji. Z masturbacją zerwałem, gdy przestała mnie ciągnąć. Ale teraz nie ciągną mnie już i kobiety. Wszystkie lekarstwa okazały się bezskuteczne. Więc co? Czy jestem spokojny, skoro mnie już nie ciągnie? Nie, czuję się okropnie, bo czuję się okaleczony, pozbawiony czegoś, co sam lekkomyślnie utraciłem. Żyję w całkowitej seperacji od świata rówieśników. Czy mam żyć wiecznie samotny? Czy nigdy nie będę nikogo mógł pokochać i nie będę kochany? Czy w ogóle można tak żyć?...”

(Lat 22, duże miasto)

Jaka szkoda, że nikt się wcześniej nie zajął nim i jaka szkoda, że on sam zaczyna myśleć i rozpaczać z powodu zagrożenia miłości dopiero teraz, kiedy przez sześć lat nadużył sam zdeorganizował i rozkojarzył swoją psycho-seksualną aparaturę. Iluż dramatów i powikłań można by było uniknąć w dziedzinie seksualnej, gdyby młodzi ludzie rzadziej mówili i myśleli tylko o „rozłado-

waniu", a częściej i z większą odpowiedzialnością myśleli o miłości i uczuciu!

Zdarza się jednak, że także ci młodzi mężczyźni, którzy ani nie wpędzili się w nerwicowe stany przez nadmierną masturbację, ani też nie rozmienili się na drobne w wielu przygodach przeżywanych tylko dla sportu, z byle kim i byle jak, również napotykają trudności przy starcie swojego życia seksualnego. Ci czują się wtedy jak gdyby oszukani: „Dlaczego, skoro trzymałem się w garści, nie nadużywałem możliwości do „wyżycia się”, mam takie same kłopoty jak tamci?”. Rzecz w tym, iż nie są to zupełnie takie same kłopoty, gdyż choć objawy zewnętrzne ich mogą być podobne, nie towarzyszą im zakorzenione kompleksy z powodu lęków przed wyolbrzymionymi skutkami masturbacji, ani też nie są one skojarzone z wyczerpaniem fizycznym i nerwowym, wywołanym przez nadmierną eksploatację swoich sił. Kłopoty wstępne u tych mężczyzn mogą być typowymi trudnościami adaptacyjnymi, związanymi z tremą, nowością samej sytuacji z napięciem towarzyszącym pierwszym próbom, a także nadmierną pobudliwością, nie stępionych przez nadużycia wcześniejsze zmysłów. W ogromnej większości tych przypadków wszystko reguluje się szybko i samoistnie. Jedyne w tych wypadkach, gdy osobnik taki jest znerwicowany z innych powodów, może być potrzebna pomoc lekarza, dla ogólnego uspokojenia i poprawy stanu kondycji psychicznej, co automatycznie działa uzdrawiająco i na seksualną sferę życia.

Kończąc te uwagi na temat „pierwszego razu”, chciałbym pomóc Wam rozróżniać prawdziwy i rzekomy „pierwszy raz”. Są tysiące młodych ludzi, którzy odbyli wiele stosunków seksualnych, nie przeżywając mimo to swego „pierwszego razu” w sensie głębokiego przeżycia i seksualnej inicjacji. Co gorsza, wielu spośród nich utrudnia sobie, a niektórzy — jak cytowani tutaj nieszczęśnicy — uniemożliwiają sobie w przyszłości ten prawdziwy „pierwszy raz”, kiedy uczucie zapuka pewnego dnia do ich serca.

Jak je jednak odróżniać? Jako prymitywny, ale chyba

prawidłowy sprawdzian wartości przeżytego „pierwszego razu” można by wskazać rodzaj uczuć, jakie pozostają po takiej próbie. Jeśli pozostał po niej osad niesmaku i zawstydzenia, żalu do samego siebie i nieuzasadnionej pretensji do tamtej osoby, jeśli na jej widok przechodzisz na drugą stronę ulicy, to wiedz, że to nie był prawdziwy „pierwszy raz”, że to był błąd i omyłka, której nie powinieneś powtórzyć, że zanadto się pośpieszyłeś. I dlatego nie śpiesz się ani z „pierwszym razem”, ani z próbą powtórzenia czy poprawienia.

Na trasie z przeszkodami

We wszystkich swoich szkicach o miłości staram się przekonać młodych czytelników, że co prawda życia seksualnego nie należy traktować z taką prostotą (czy bezmyślnością?) jak wypicie kufła piwa, ale też że — jak mawia Aldous Huxley — nie należy patrzeć na wzgórek łonowy — „Mons Veneris”, jakby to był Mount Everest. Zawsze mam jednak poczucie, że taki punkt widzenia mogą przyjąć tylko niektórzy czytelnicy — prawdopodobnie stanowiący większość — ale nie wszyscy. Są, niestety, młodzi ludzie, na których drodze uczuciowej i erotycznej piętrzą się przeszkody wcale nie mniejsze od Himalajów.

„...Jestem brzydki. Potwornie brzydki. Nawet jestem wysoki i dobrze zbudowany, ale na środku twarzy wystaje nos, okropny nos-karykatura, który zatruwa mi życie. Niejedna dziewczyna mi już mówiła: Ty byłbyś całkiem do rzeczy, gdyby nie ten nos. Ileż razy śniło mi się, że mam mały, zgrabny, prosty nos. Jakiż byłem wtedy szczęśliwy! Ale budziłem się, sen się kończył, a w lustrze oglądałem ten sam okropny kalafior. Niech Pan napisze, czy to prawda, że można zmienić nos, operować...”

(Student, lat 20, wielkie nialasto)

„...Należę do ludzi szczególnie skompleksowanych ... Trwa to już całymi latami i nieraz sędzę, że nie ma już wyjścia. Cierpię na psychozę depresyjną. Psychiatra i psy-

cholog okazali się bezradni. Przeszłam przez leczenie w zakładzie zamkniętym. Żyłam tam myślą o ucieczce lub o samobójstwie. Nie umiem nawiązać kontaktu z żadnym człowiekiem, nawet z żadną koleżanką. Po leczeniu uspokoiłam się, ale żyję typowym życiem neurastenika. Często stoję w oknie i płaczę. Dni płyną ospale i spokojnie, nic się w moim małym miasteczku nie dzieje i nic się nie dzieje w moim życiu...”

(Bez zawodu, lat 22, małe miasteczko)

„Czy słyszał Pan coś o leczeniu skutków paraliżu dziecięcego za pomocą hipnotyzmu? To moja ostatnia nadzieja. Mieć 20 lat i być kaleką to straszna rzecz. Jak żyć i po co żyć? Czy ja mam jakieś perspektywy przed sobą? Czy mogę realnie liczyć na to, że kiedyś wyjdę za mąż, że będę miała normalne życie rodzinne, że ktoś mnie zechce?

(Studentka, lat 19, wielkie miasto)

„...Mam 18 lat i 4 miesiące i od czterech lat leżę w łóżku. Mam nieuleczalną formę gruźlicy stawu biodrowego. Mam blisko 20 lat i podobno całe długie życie przed sobą? Co mnie w tym życiu czeka? Czy przez pozostałe lata życia mam gnić w łóżku, zdany teraz na opiekę starej ciotki, a potem opieki społecznej? Zaczytuję się książkami, płaczę nad cierpieniami miłosnymi bohaterów. Jakże bym chciał choć cierpieć z miłości, ale gdzieżby mnie ktoś w ogóle kochał. Dziewczeta widzę tylko przez okno. Mieszkam w suterenie, więc widzę tylko nogi, dziesiątki nóg dziewczęcych w zwykłych i kolorowych pończochach, ale żadne z nich nigdy nie idą do mojej piwnicy. Może mógłby mi Pan przysłać kilka książek o miłości (idą tytuły)...”

(Inwalida, lat 18, miasto powiatowe)

„...Ten list dyktuję mojemu widzącemu przyjacielowi. Co ja mam robić, proszę Pana? Manipulowałem pociskiem. Wybuchł i zostałem ślepcem. Nauczyłem się czytać

pismo Braille'a, ale co z tego? Czy można żyć tylko książkami? Czy mam prawo się ożenić, czy jakaś dziewczyna kiedyś mnie zechce? Przecież decydując się na to, z góry skazuję ją na to, że będę dla niej ciężarem. A może sądzi Pan, że mam do końca życia być skazany na samotność? I wszystko załatwiać w ramach „samowystarczalności”? Mam już 23 lata i mam już tego dość. Ja chcę żyć jak inni. Czy Bóg może za dziecięcą głupotę skazywać mnie na dożywotnie cierpienia?...”

(Rzemieślnik, lat 23)

Podaliśmy tu — bynajmniej zresztą niepełny — rejestr trudnych spraw ciężko przez los doświadczonych młodych ludzi. Są między nimi ociemniały i sparaliżowana w następstwie choroby Heinego-Medina, garbaci i przykuci do łóżka przez gruźlicę kości, oszpecceni i pozbawieni kończyn przez wybuchy, chorzy psychicznie i upośledzeni umysłowo, epileptycy i głuchoniemi, wreszcie oszpecceni przez różne narośle na twarzy, wielkie znamiona, potworne nosy itd. Nic nikomu nie zawinili, nie popełnili żadnego przestępstwa, czasem najwyżej ulegli dziecięcej bezmyślności (wybuchy) lub młodzieńczemu zadufaniu w sobie (wypadki tramwajowe) i oto na całe życie zostali napiętnowani dotkliwym stygmatem choroby, kalectwa czy ułomności.

„...Jak mamy żyć? Jak my mamy układać swoje sprawy miłosne i seksualne? Przecież poza kalectwem czy ułomnością jesteśmy normalnymi z krwi i kości ludźmi. Czujemy to samo co wszyscy, odczuwamy tak samo i tego samego pragniemy. Nawet ci z nas, którzy chorują na ciężkie psychozy i nerwice, w długich stadiach poprawy wywołanej kuracją mają świadomość własnego stanu i własnego nieszczęścia?...”

Są to listy z kategorii najcięższych i najtrudniejszych do odpowiadania. Co i jak odpisać bowiem człowiekowi, żeby słowa na tle jego prawdziwego cierpienia i praw-



dziwego nieszczęścia nie zabrzmiały jak płaski komunał, jak zdawkowe słowo pociechy czy „dobrej rady” nieprzydatnej dla nikogo ani do niczego? Dlatego nieraz mija miesiąc i więcej, zanim zdecyduję się odpisać na taki list. Nieraz muszę przyznać się do własnej bezradności. Jakże przykre to wyznanie, że nie mogę człowiekowi, który z takim zaufaniem zwrócił się do mnie, w niczym pomóc ani w niczym poradzić, prócz udzielenia rady w jakiejś drugorzędnej dla niego sprawie i przesłania słów pokrzepienia. Ale nawet w tych przypadkach nie zdarzyło mi się jeszcze, aby ciężko przez los doświadczony młody człowiek nie był wdzięczny za kilka życzliwych, współodczuwających i współrozumiejących słów. Są tacy, którzy w odpowiedzi przysyłają pracownice sklezione ze słomek pudełeczka, inni wycinają uroczne scenki z kolorowego papieru na wzór łowieckich wycinanek. I patrząc na te precyzyjne drobiazgi, wykonane nieraz zapewne w ciągu długich dni leżenia w łóżku czy siedzenia w wózku inwalidzkim, czuję zawsze skurcz serca, który składa się nie z samego smutku, ale i z radości, że dane mi było przynieść im choć minimalną ulgę.

Ciężka choroba, kalectwo lub upośledzenie zawsze rodzi w świadomości człowieka konflikt, zawsze grozi zachwianiem równowagi między jednostką i otoczeniem. Istnieje wiele sposobów, za pomocą których zagrożona utratą równowagi psychika stara się ją utrzymać lub przywrócić. Kalectwo i trwała ułomność, odrażająca brzydota, wszelkie potworności zewnętrzne, trwałe schorzenia rodzą jednak nieraz kompleksy tak ciężkie, że odruchy obronne psychiki wykraczają poza granice normy i z kolei same przeradzają się w stany chorobowe, tym razem samej psychiki. Oto niektóre z tych niepomysłnych i niebezpiecznych „wyjść” z konfliktowych sytuacji, z którymi później trzeba walczyć, nieraz przy pomocy psychologa i psychiatry:

Histeria — jest pierwszą chorobliwą formą „reakcji ucieczki” od konfliktowej sytuacji. U historyka napady bólów głowy, drgawek, szczękoscisku, a nawet całkowity paraliż mają wszystkie cechy rzeczywistej choroby, choć

obiektywnie jest on całkiem zdrowy i nieraz „leczy” go z ciężkiego ataku bólów czy drgawek zastrzyk destylowanej wody lub tabletka sody oczyszczonej. Napady hysteryczne występują z reguły w obliczu sytuacji dla chorego nieznośnej, której chce uniknąć. Działają tutaj mechanizmy „ucieczki”, w tym przypadku „ucieczki w chorobę”. Przewlekłe choroby i ludzie trwale okaleczeni są specjalnie zagrożeni histerią (szczególnie kobiety), ale ulegają jej i inni osobnicy w obliczu sytuacji odświeżającej nieznośny konflikt.

Neurastenia — jest podobna do hysterii, z tą różnicą, że cierpienia w niej występujące nie mają charakteru napadowego, lecz raczej ciągły. Neurastenik odczuwa wciąż trwające i narastające cierpienia i dolegliwości fizyczne, dla których nie można doszukać się żadnych obiektywnych przyczyn. Odczucia jego są z reguły nieprzyjemne. Neurastenik skarży się wciąż na różne bóle i dolegliwości i czuje się wiecznie przemęczony. Bardzo często neurastenik dąży tylko do jednego — do ściągania na siebie uwagi otoczenia. Może dojść do stanu, w którym neurastenik wręcz „rozkoszkuje się” swoją chorobą. Ujemnym skutkiem neurastenii jest odosobnianie się i wstręt do wszelakiej aktywności. W leczeniu podstawowe znaczenie ma skłonienie chorego do włączenia się do aktywnego życia społecznego i towarzyskiego i mnożenie kontaktów ze światem zewnętrznym, z innymi ludźmi.

Urojenia i manie — człowiek trapiiony cierpieniami z powodu przewlekłej choroby lub kalectwa może bronić się przed załamaniem wiary w siebie, tworząc różne urojenia na własny temat. Urojenie, to — w gruncie rzeczy — głęboka wiara w coś, co jest sprzeczne z rzeczywistą sytuacją, wiara, która odrzuca wszelkie racje i argumenty logiczne. Urojenia mogą występować z różnym nasileniem, ale zawsze są symptomem jakiegoś rozprężenia w psychice człowieka. W skrajnych przypadkach dochodzi do powstania całych, trwałych kompleksów urojeniowych (np. że się jest Napoleonem lub Chrystusem), mówimy wówczas o paranoi, będącej poważną psychozą, ciężką chorobą psychiczną, wymagającą leczenia psychia-

trycznego. Spośród wielu urojeń należy wymienić urojenia wielkościowe, prześladowcze (że ktoś na nas czyha, chce zabić, zaszkodzić nam), wreszcie bardzo częste wśród upośledzonych i zakompleksionych na tle kalectwa urojenia ksobne polegające na odnoszeniu wszystkiego, co się wokół nas dzieje do siebie (jeśli np. dwoje ludzi rozmawia przyciszonym głosem, to na pewno o mnie) itd. Urojenia, fałszując rzeczywisty obraz sytuacji, utrudniają oczywiście racjonalne zachowanie się, mądre organizowanie sobie życia, przystosowanie siebie samego do sytuacji stworzonej przez chorobę, kalectwo czy inne nieszczęście.

Urojenie jest desperackim chwytem psychiki i leczenie polega w tych przypadkach przede wszystkim na odkryciu przez psychologa czy psychiatrę tej rzeczy czy sprawy, przed którą psychika chorego stara się w ten sposób bronić. Następnym krokiem w leczeniu jest budowanie właściwego stosunku chorego do danej sprawy czy dziedziny życia. Kiedy prawidłowe poglądy i opinie zostaną zasugerowane i przyjęte przez chorego, wtedy urojenie zostaje przezeń samego odrzucone jako broń już niepotrzebna i zbędna.

Regresja albo *stłumienie* jest innym sposobem samoobrony psychiki człowieka ciężko czymś dotkniętego. Regresja polega na tendencji do stłumienia i zdławienia w sobie, do całkowitego wyparcia ze świadomości dręczącego konfliktu. Tak np. nieuleczalnie chory na raka może po okresie cierpień i rozpaczyny nagle wpaść w nastrój beztroski i radosny, i z pełnym przekonaniem twierdzić, że czuje się świetnie i jest na najlepszej drodze do wyzdrowienia. Rezultatem regresji bywa rozszczepienie osobowości, przy którym osobnik pozostaje całkiem normalny i prawidłowo myśli we wszystkich dziedzinach poza dziedziną konfliktową.

Ucieczka w alkoholizm i narkomanie. Jeszcze innym, niebezpiecznym „wyjściem”, kuszącym nieraz ciężko chorego i okaleczonego, jest ucieczka od trudności życia i od cierpień w nierealny świat oparów alkoholu lub zwidów wywołanych użyciem rozmaitych narkotyków (czasem nie-

które lekarstwa, jak np. zwykłe proszki od bólu głowy lub mocna kawa mogą stać się narkotykiem). Zapamiętajcie: za każdym przypadkiem alkoholizmu i narkomanii (na szczęście rzadkiej w naszym kraju) kryje się nie potrzeba ciała („wódka dobrze mi robi”), ale psychiczna potrzeba ucieczki od realnego obrazu i warunków własnego życia. Dlatego też alkoholizm jest nie tylko problemem medycznym (szkody zdrowotne), ale i psychologicznym (objawy rozprzężenia psychicznego i zakłócenia równowagi psychicznej).

Nie jest to pełny rejestr niebezpiecznych, szkodliwych „wyjść” z konfliktowej sytuacji, wywołanej kalectwem, oszpecceniem, upośledzeniem fizycznym lub ułomnością. Wystarczy jednak tych kilka, które przykładowo wymieniłem, aby uświadomić sobie, że znalazłszy się w ciężkiej sytuacji należy szukać wyjść innych, bezpiecznych i słuszych, rokujących wygranie życia, a nie będących uzupełnieniem choroby czy kalectwa fizycznego — jeszcze jedną chorobą — dla odmiany psychiczną. Czy takie wyjście w ogóle istnieje? Tak!

Przede wszystkim — skrócenie frontu

Kiedy w czasie wojny hitlerowcom udawało się dokonać groźnego przełamania frontu, gdy padały ważne punkty oporu, a liczne ośrodki przemysłowe znalazły się pod kontrolą wroga, wtedy w sztabach alianckich — radzieckich, angielskich i amerykańskich — przygotowywana była operacja, która w języku fachowym nazywa się „skróceniem frontu”. Celem jest bowiem wygranie wojny jako całości, a nie wygranie za wszelką cenę poszczegółnej bitwy czy kampanii. Każda pojedyncza klęska jest natychmiast oceniana z punktu widzenia tego najwyższego celu, wielkiej strategii. Umiejętnie dokonane „skrócenie frontu” jest najskuteczniejszym sposobem ograniczenia rozmiarów poniesionej klęski i jej skutków. Sprawa jest bowiem prosta: oto ze stanu armii ubyło ileś tam rozbi-

tych dywizji, wróg znalazł się głęboko na tyłach, cały front uległ zagrożeniu. Cóż zatem musi być celem najpilniejszym: czy utrzymanie za wszelką cenę poprzedniej linii frontu? Nie, to byłoby samobójstwo, skoro wojsk jest znacznie mniej, a ogólna sytuacja i układ sił czyni dawną linię nieprzydatną do obrony, a nawet kryje w sobie załazek ostatecznej klęski. Wtedy nie trzeba upierać się przy starej linii, tylko wycofać się na nową, krótszą linię, do której obsadzenia mamy dość żołnierzy i która stwarzałaby warunki pomyślne dla obrońców, zaś niepomyślne — dla napastników. Pamiętamy, jak w takich manewrach armia radziecka wycofywała się aż do wrót Moskwy i jak każdy udany manewr „skrócenia frontu” niepokoił niemieckich sztabowców w tym samym stopniu, w jakim cieszyły ich własne przejęciowe ofensywne sukcesy.

Jest to tylko pozorna dygresja od naszego tematu. Każdy człowiek, który uległ ciężkiemu kalectwu czy ułomności, czy to w wyniku choroby, czy nieszczęśliwego wypadku, znajduje się w sytuacji bardzo przypominającej sytuację armii, która poniosła wielką klęskę w pojedynczej bitwie czy kampanii. Człowiek ciężko poszkodowany bezwzględnie musi „skrócić front” życiowy, im szybciej tę konieczność zrozumie i uwzględni ją, tym szybciej zacznie łagodzić skutki nieszczęścia, które go dotknęło. W niektórych przypadkach „skrócenie frontu” dokonuje się zresztą automatycznie. Niewidomy wie, że wypada mu z życia wszystko, do przeżywania i wykonywania czego niezbędny jest wzrok. Głuchy wykreśla ze swego życia muzykę i uroki konwersacji słownej. Pozbawiony nóg nie może marzyć o sportach ruchowych. Jeśli jego cała uwaga skupi się głównie na tym, co stracił, a nie na tym, co pozostało, wtedy popełni błąd, jaki popełniliby dowódcy, gdyby po klęsce liczyli jednostki zniszczone, a nie ocalałe. Dla dalszego prowadzenia wojny mają znaczenie przecież oddziały ocalałe. Również dla dalszego organizowania i wygrania życia (a każde życie można i trzeba wygrać!) mają znaczenie tylko te władze, zdolności i cechy, które ocalały. Nikt nie potrafi wygrać życia trawiając je w całości na opłaki-

waniu tego, co stracił, każdy może je jednak wygrać w odpowiedni sposób — wyzyskując to, co pozostało. Ogólna reguła, że każdy człowiek ma prawo i obowiązek być szczęśliwym, dotyczy także ludzi ciężko upośledzonych przez los. Tylko ich walka o własne szczęście jest szczególnie trudna, a ilość środków do toczenia jej mniejsza niż u większości ludzi.

Czasami zresztą jednostki wyjątkowo odporne psychicznie, zdyscyplinowane wewnętrznie potrafią pokonać skutki kalectwa i osiągnąć cele, które na „zdrowy rozum” powinny były ulec nieubłaganemu „skróceniu frontu”. Tak sepleniący Demostenes został największym mówcą starożytności. Słynny radziecki lotnik Mieresjew, straciwszy w walce obie nogi, potrafił ogromnym wysiłkiem woli tak wyćwiczyć się w posługiwaniu się protezami, że latał dalej i lata do dzisiaj jako nauczyciel lotnictwa w szkole wojskowej. Tak całkowicie ogłuchły Ludwik van Beethoven potrafił napisać dziesiątki utworów, których nigdy nie słyszał inaczej, jak za pomocą wyobraźni muzycznej, którą rozwinął w sobie w okresie poprzedzającym kompletną głuchotę. Tak znana na całym świecie Amerykanka — Helena Keller, która straciła wzrok i słuch mając 19 miesięcy, potrafiła (przy pomocy psychologów) nie tylko nawiązać kontakt ze światem, lecz również opanować przez długoletnie ćwiczenie w specjalnie dla niej stworzonym „języku” złożonym z dotknięć ręki język angielski, ukończyć szkołę podstawową i średnią, wreszcie samodzielnie napisać tłumaczoną na większość języków świata książkę o swym przedziwnym, bohaterskim życiu.

Częściej i łatwiej można uciec do zabiegu zwanego substytucją. Porażony chorobą Heinego-Medina (paraliżem dziecięcym) młodzieniec, który marzył przedtem o karierze filmowej, może stać się wspaniałym recytatorem lub spikerem radiowym, animatorem kukiełek w teatrzyku dziecięcym lub projektantem wnętrz i dekoracji, kostiumów, wreszcie reżyserem filmów animowanych (kreskówek). Pozbawiony nóg lub sparaliżowany na pewno musi zrezygnować z uroków wspinaczki górskiej, ale nie z tury-

styki w ogóle, którą może uprawiać i to nawet intensywnie, posługując się dostępnymi u nas inwalidzkimi samochodzikami „Isetta” lub Velorex”. Przykłady takie można mnożyć. Najważniejsze jest to, żeby okaleczonemu czy dotkniętemu ułomnością chciało się i aby znalazł w sobie dość woli i wytrzymałości, aby na przekór chorobie szukać i realizować różne środki obejścia skutków swego kalectwa czy upośledzenia fizycznego. Będzie dla niego to tym łatwiejsze, im więcej osób (rodziców, krewnych, kolegów i koleżanek) pomoże mu w tym, nie zostawiając go samemu sobie z jego ciężkim cierpieniem i urazem.

Sprawy erotyki i życia seksualnego u osób poważnie poszkodowanych fizycznie lub zdrowotnie są, oczywiście, o wiele bardziej skomplikowane niż u osobników zdrowych, normalnych. Wszystkich młodych ludzi przestrzegam przed odrywaniem spraw płci i miłości od całokształtu życia i nawołuję, aby je zawsze widzieli w ogólnym projekcie planu wszystkich dziedzin życia. U osób kalekich, ułomnych lub w inny sposób ciężko upośledzonych spełnienie tego warunku staje się absolutnym nakazem. Oto jest przyczyna, dla której tak wiele uwagi poświęcam tutaj sprawie całości życia ułomnego, czy kalekiego człowieka, właściwemu ustosunkowaniu się do swego nieszczęścia, które wcale nie musi być czymś ostatecznym i czyniącym daremną każdą myśl o twórczym, bogatym i na swój sposób szczęśliwym życiu.

Operacja „skrócenia frontu” musi być dokonana możliwie jak najszybciej i trzeba w niej zrezygnować z tego wszystkiego, czego naprawdę już w zmienionych przez chorobę czy kalectwo warunkach utrzymać się nie da (jak muzyka u głuchoniemego czy malarstwo u niewidomego). I nie tylko trzeba „skrócić front”, ale w miarę możliwości szybko pogodzić się z nową linią frontu. Gdyby z biegiem czasu okazać się miało, że w pośpiechu czy rozgardiaszu klęski „skróciliśmy” go o takie sprawy, które można jednak włączyć do planu życiowego, to zawsze będzie można dokonać korekty tego skróconego frontu. A poza tym, co jest najważniejsze: na ocalałej, skróconej linii frontu ży-

ciowego, trzeba żyć jak najpełniej, najintensywniej, zupełnie tak samo jak wszyscy inni, tzw. normalni ludzie. Amerykański autor, dr medycyny Arthur Roth w swej książce „A medical guide for young people and their parents... (New York 1960) pisze na stronie 227 w rozdziale „Living with handicaps” (Życie z ułomnościami):

„Każdy jest pod jakimś względem upośledzony, nikt nie jest doskonały. Jakakolwiek jest Twoja ułomność czy upośledzenie, znaczenie decydujące ma Twój stosunek do niego. Możesz uznać, że nie masz żadnych ułomności ani upośledzeń i spróbować powstrzymać się od wszelkiej myśli o swym upośledzeniu. Możesz — na odwrót — skoncentrować się całkowicie na swojej ułomności i tracić niemal cały czas na gryzienie się tym, jakie wrażenie wywiera ona na innych ludziach. Możesz spróbować przeklinać swą ułomność, możesz też przeklinać siebie za swą ułomność, możesz wreszcie przeklinać za nią cały świat. Albo wreszcie możesz uczynić rzecz najlepszą z możliwych — żyć jak normalna ludzka istota, na przekór swoim ułomnościom i kalectwom — a jeśli się da — nawet uczynić z nich narzędzie osiągnięć, wyrabiając w sobie nowe, rzadkie u innych ludzi uzdolnienia, po to, aby przeciwstawić się swojemu kalectwu i zniwelować jego skutki.”

I to jest sprawa najistotniejsza: żyć jak normalna ludzka istota! Odpowiedź — to łatwo napisać, ale trudniej zrobić. Oczywiście, to sprawa niełatwa, ale przecież napisałem już, że walka człowieka upośledzonego o swe szczęście jest trudniejsza niż walka innych. Zbyt wielu jednak upośledzonych, ułomnych i kalekich (także w listach do mnie) sądzi, że jest to walka beznadziejna, a taki sąd równa się przekreśleniu własnego życia, kapitulacji w sytuacji, która kapitulacji jeszcze nie wymagała. A stawka jest przecież bardzo wysoka, cóż tu ukrywać — najwyższa — i dlatego błędna ocena sytuacji jest tak bardzo niebezpieczna.

Słyszę już w tym miejscu, jak zniecierpliwieni czytelnicy

nicy pytają autora: Wszystko to piękne, ale jak mamy układać swoje życie uczuciowe, swoje sprawy seksualne, jakie perspektywy możesz nam ukazać w tej, tak ważnej dla młodego człowieka, dziedzinie? Tego przecież żadnym wózkiem ani samochodzikiem ortopedycznym nie da się załatwić!"

To prawda. I twierdząc, że powinienes starać się za wszelką cenę ratować całość życia, rezygnując z części zniszczonej przez kalectwo czy upośledzenie, nie przeoczam tej ważnej dziedziny życia, która stanowi główny temat tej książki. Na razie powiem tylko tyle: w haśle „staraj się żyć na przekór swemu kalectwu, jak zupełnie normalny człowiek” kryje się również przekonanie, że winienes starać się żyć normalnie i w tej tak ważnej w Twoim wieku dziedzinie — w dziedzinie miłości i życia płciowego. To nie będzie łatwe, czasami będzie bardzo trudne, w niektórych pojedynczych wypadkach wręcz niemożliwe i tylko w tych sporadycznych wypadkach także sprawy normalnego układania swych spraw uczuciowych mogą ulec nieubłaganej konieczności „skrócenia frontu”. O bliższych szczegółach dotyczących spraw seksualnych ludzi z „handicapem” * pomówimy za chwilę. Obecnie rysujemy generalny plan życia, w który sprawy płci i miłości mają dopiero być wmontowane. Jedno nie ulega wątpliwości: upośledzeni, ułomni i kalecy muszą w porę i mądrze „skrócić front”, nie poddać się chorobie, lecz stanąć ponad nią. Ci, którzy wytestują swe siły, aby pokonując ujemne skutki kalectwa czy ułomności żyć we wszystkich dziedzinach możliwie najlepiej, żyć jak zdrowi ludzie, mają największe szanse pomyślnego ułożenia także swych spraw uczuciowych i seksualnych.

* Określenia „handicap” użyłem w znaczeniu dodatkowego obciążenia (autor).

Życie z handicapem

W szkicach o „pierwszym razie” zajmowałem się osobnikami płci obojga, jeśli tak można powiedzieć „normalnymi”, czyli takimi, których inicjacja seksualna nie napotyka innych przeszkód, poza brakiem doświadczenia i brakiem wiedzy o tej dziedzinie życia. Jest jednak jeszcze część młodych ludzi, których inicjacja seksualna utrudniona jest przez bardzo nieraz poważne przeszkody od nich niezależne albo mało zależne. Mam na myśli osoby cierpiące na różne kompleksy psychiczne (np. na tle kalectwa, ubóstwa, brzydoty), osoby upośledzone nerwowo (np. chorobliwa nieśmiałość), wreszcie osoby odczuwające popęd płciowy w formach i kierunkach odmiennych, niż większość ludzi. Stanowią oni na pewno mniejszość, ale jest to mniejszość dość znaczna, skoro wśród listów kierowanych do mnie ta problematyka stanowiła mniej więcej jedną piątą wszystkich problemów. Jest to wreszcie mniejszość, która boryka się z największymi trudnościami i często bardzo boleśnie przeżywa swoją odmienność lub upośledzenie.

Jadąc samochodem gładką aż do znudzenia autostradą, można lekko dotykać kierownicy. Na pełnej serpentynie, wyboistej, górskiej drodze trzeba bardzo mocno trzymać koło kierownicy w rękę i nieraz aż do zmęczenia mięśni pracować nad utrzymaniem wozu w równowadze. Ludzie dotknięci kalectwem, nieuleczalną chorobą lub ułomnością, częściej jeżdżą góorskimi, trudnymi drogami niż wy-

godnymi autostradami. Zawsze jednak przypomina mi się pytanie Ernesta Renana, postawione w „Życiu Jezusa Chrystusa”: „Czy znajdzie się ktoś, kto by nie wolał być chorym jak Pascal niż zdrowym jak prostak?”.

Podobny pogląd miał Henryk Heine, któremu wypadło ciężko chorować: „Ludzie chorzy są zawsze bardziej *wytworni od zdrowych; tylko chory człowiek jest naprawdę człowiekiem, jako że jego członki posiadają własną historię cierpienia, są uduchowione*” („Reisebilder”, II, Italien, I rozdz. 27).

Tak, to wszystko prawda. Ale przecież po pierwsze: nie każdy w wyniku choroby staje się Pascalem lub Heinem, a i oni sami nieraz chętnie ustąpiliby innym swego geniuszu w zamian za zdrowe płuca czy pozbycie się kalectwa. Po drugie: człowiek, którego wizerunek duchowy wyrzeźbiony został przez cierpienie fizyczne i psychiczne, może wydawać się „wytwornym”, pięknym czy interesującym komuś z zewnątrz, sam siebie traktuje jednak najczęściej z niechęcią jako źródło wiecznych trosk i kłopotów, wiecznych cierpień i bólów. Człowiek trwale okaleczony nieraz zastanawia się, czy wobec tego kalectwa jego egzystencja jest w ogóle celowa i uzasadniona, czy nie słuszniej byłoby jej położyć kres. W listach, które otrzymuję od ludzi kalekich, chorych nieuleczalnie i ciężko upośledzonych fizycznie lub psychicznie, bardzo często powtarza się motyw samobójstwa. Oczywiście najczęściej jest to na szczęście teoretyczne rozpatrywanie tej alternatywy, jednak dowodzi ono, jak bardzo jest im ciężko i jak dalece nie widzą dla siebie żadnej nadziei na poprawę i usensowienie swego życia. Szczególnie wiele żalu i rozpacz budzą w nich nie uregulowane sprawy uczuć i płci.

Długotrwałe cierpienia i przeciwności życiowe czynią ludzi mądrymi, ale nie czynią ich szczęśliwymi. Wręcz przeciwnie, bardzo często rodzą równie trwałą postawę pesymizmu i życiowej kapitulacji. Większość nieuleczalnych chorób, a także kalectw i upośledzeń oszpeca człowieka. „Jestem brzydka”, „nikomu nie mogę się podobać”, „nikt nie weźmie mnie w rachubę jako obiektu zaintere-

sowań uczuciowych z powodu mego wyglądu" — takie, pełne goryczy wyznania młodzieży okaleczonej i upośledzonej są częstsze od narzekan na obiektywne utrudnienie życia z powodu kalectwa czy upośledzenia jakiejś funkcji.

Cóż tu ukrywać: wygląd zewnętrzny twarzy, całego korpusu, nóg, ramion itd. odgrywa wielką rolę w doborze seksualnym ludzi i ludzie brzydcy fizycznie mają mniej szans „na licytacji” walorów estetycznych niż ludzie fizycznie piękni. „Mniej szans” nie oznacza tutaj jeszcze „żadnych szans”.

Ale o tym za chwilę. Na razie trzeba wyraźnie rozróżnić dwa rodzaje „brzydoty”, które często są mieszane, przez młodych ludzi i budzą niepotrzebne zmartwienia.

Pierwszy rodzaj brzydoty polega na braku piękna i w tym sensie brzydkimi jest większość kobiet i mężczyzn, zarówno zdrowych, jak i upośledzonych. To są ludzie o wyglądzie „nijakim”, w których twarzy i całej postaci nie ma nic, co by zatrzymywało wzrok obserwatora z podziwu dla ich urody, ale też nie ma nic, co by działało odpychająco, odstręczająco.

Drugi rodzaj brzydoty jest już nie brakiem piękna, ale obecnością cech szpetnych, odrażających przez dysproporcję wielkości, zniekształcenia formy, odstręczającą barwę itd. Ten drugi rodzaj brzydoty, którą można by było nazwać brzydotą właściwą, bardzo często bywa rezultatem chorobliwej deformacji kośćca, zaniku mięśni lub nerwów, wreszcie rezultatem zaburzeń hormonalnych. W niektórych przypadkach, jak np. przerost nosa (nos „kalfior”), wielkie szpecące znamiona, rozdwojenie wargi i rozszczepienie podniebienia, zniszczone przez wybuchy i działanie ciepła powierzchnie skóry można i należy ingerować operacyjnie. Nie brak jednak takich oszpeczeń, jak zniekształcenie postawy, wyraźne deformacje kręgosłupa i klatki piersiowej, w rezultacie zaniku mięśni i nerwów czy zniszczeniu kręgosłupa przez gruźlicę, których nie da się usunąć. Co robić wtedy?

Czy tego rodzaju brzydota uniemożliwia wszelki dobór seksualny i przekreśla wszelkie perspektywy na pomyślne ułożenie swoich spraw miłosnych? Bynajmniej. A pisząc

tak, wcale nie zamierzam „pocieszać” cierpiących nad własną brzydotą. To prawda, że miłość seksualna zakłada wzajemne upodobania także w wyglądzie zewnętrznym, fizycznym, ale to, co się ludziom tutaj podoba, jest bardzo różnorodne, a nieraz wręcz zaskakujące. Tak jak w malarstwie, jednym podobają się rzewne i cikliwe obrazki, na których wszystko jest „jak żywe”, inni lubują się w ponurych obrazach surrealistów, jeszcze inni przedkładają ponad wszystko kompozycje z zardzewiałego drutu i starych mechanizmów zegarowych — tak też w sprawach erotycznych nigdy przewidzieć się nie da tego, co może w kimś obudzić pociąg płciowy.

Dlatego też każda cecha drugiej osoby, nawet ta, która u większości budzi niechęć czy zahamowanie erotyczne, może u osoby o pewnym szczególnym zabarwieniu seksualnym wywołać stan pobudzenia i zainteresowania. Jednych ostry zapach czyjegoś potu odstręcza i napędnia wstrętem, innych ogromnie podnieca i przyciąga. Wiąże się to z faktem, że jeden człowiek w dziedzinie seksualnej nie jest podobny do drugiego, że każdy ma pewne indywidualne skłonności i upodobania, czasem lekko perwersyjne, których sam sobie często nie uświadamia, a uświadomiwszy, nie potrafi wyjaśnić. I nic w tej dziedzinie nie jest „śmieszne” ani „nienormalne”.

Nie są to, oczywiście, w żadnym przypadku pełne perwersje, które zalicza się do patologii seksualnej, tylko jakby lekkie zabarwienia i półtony całkiem normalnego popędu płciowego, ale to one właśnie sprawiają, że kształt uczuciowego i popędowego życia każdej jednostki jest niepowtarzalny, indywidualny i osobisty. A oto dwa najprostsze przykłady.

Dla większości ludzi nadmierna otyłość kobiet, kształty „przelewające się” są nieprzyjemne i działają odstręcająco. Tymczasem nie brak osobników płci męskiej, którzy odczuwają najwyższy pociąg fizyczny właśnie do kobiet bardzo otyłych. W tym przypadku nauka mówi o tzw. „fetyszystycznym nastawieniu do tłuszczu”. Taki „fetyszysta tłuszczu” przejdzie obojętnie wobec setki zgrabnych, wysportowanych, smukłych dziewcząt, ale obejrzy

się za tą jedną, która z trudem opina nadmiar swego ciała w suknię. I nie tylko obejrzy się, lecz będzie starał się ją poznać i zbliżyć do niej.

Podobnie jest z dziewczętami, które często cierpią z powodu zbyt chłopięcej figury, małych piersi, wąskich bioder itd. Ich wizerunek odbiega od kanonu piękna w pełni rozwiniętego ciała kobiecego, ale czy to znaczy, że nikomu, nigdy się nie będą podobały? Nic podobnego. Są mężczyźni, i to liczni, którym podobają się właśnie takie „chłopczyce”, którym nadmiar kobiecości w wyglądzie przeszkadza, którzy lubują się w widoku bardzo szczupłych dziewcząt, noszących spodnie, umiejętnie podkreślających swój chłopięcy typ urody, nie używających szmink, swym sposobem bycia pozujących nie na Brigitte Bardot, ale na „swawolnego Dyzia” czy paryskiego „Gavroche’a”.

Pięknie, pięknie — mogą mi powiedzieć czytelnicy — ale ani nadmierna otyłość, ani nadmierna chudość i „deskowata” figura, to jeszcze nie kalectwo. Zgoda, choć z drugiej strony nadmierna otyłość i chudość często bywają wynikiem choroby i nieraz bywają odczuwane jako kalectwo przez osoby zainteresowane. Posłużyłem się przykładem otyłości i nadmiernej chudości jako najprostszy. Ale nie ma dosłownie ani jednej cechy przeciętnie i na ogół odczuwanej jako seksualnie odstręczającej, która by u określonych osobników nie grała roli przyciągającej, atrakcyjnej, budzącej upodobania. Wiąże się to — jak pisałem — z nieskończoną liczbą wariacji i odmian ogólnych struktur psychoseksualnych człowieka. Tak np. osobnicy o lekkim zabarwieniu masochistycznym czują wielki pociąg i upodobanie do kobiet zdecydowanie brzydkich, nierzadko upośledzonych fizycznie, kalekich. Głośny poeta francuski Charles Baudelaire, autor sławnych i budzących skandal przed pół wiekiem „Kwiatów zła” („Fleurs du Mal”) znany był ze swego upodobania do kobiet zdecydowanie nieładnych, ułomnych, karłowatych itd.

Masochizm, który polega na szukaniu zadowolenia seksualnego w samoudręczaniu (nieraz połączonym z biciem, chłostaniem itd.) w tym przypadku znajdował lżejszy śro-

dek zastępczy: zainteresowanemu wystarczał fakt, że jego wybrana była nieponętna, nawet odstrasżająca, a to — mówiąc paradoksalnie — sprawiało mu przykrość, która była źródłem zadowolenia. Stąd też w wielu przypadkach, w których tzw. przeciętny młody człowiek patrząc na jakąś parę dziwi się: „Jak on mógł się z nią ożenić?! Ja bym przecież z nią nawet na bezludnej wyspie...” — mamy właśnie nieraz do czynienia z instynktownym doborem żony czy ukochanej pod kątem ukrytej tendencji masochistycznej, której znajomi nie znają i dlatego bywają zaszokowani wyborem.

Również ludzie o lekkim zabarwieniu sadystycznym swego popędu płciowego mogą nieraz pociągać kobiety porażone, przykute do wózka czy łóżka. Stuprocentowy sadysta naprawdę obezwładnia, bije i zabija swoje ofiary. Człowiek normalny o nieznacznym podkładzie sadyzmu w swej sferze psychoseksualnej znajduje jedynie upodobanie w energicznych pieszczotach (np. lekkie kłusanie, szczypanie itd), jak również nieraz znajduje zadowolenie w bierności, bezwładności i bezbronności kobiety, co jest dlań jak gdyby środkiem zastępczym sadystycznych praktyk, którymi pogardza, lecz których nieświadomie pragnie. Stąd też kobieta bezbronna, bezwładna i bierna z powodu choroby czy kalectwa może mu się nieraz wydawać szczególnie ponętna i pociągająca. I znów ludzie będą się dziwić, słysząc czy widząc jak dwoje osób: całkowicie zdrowego i przystojnego i ciężko okaleczoną i przykuta do łóżka, łączy prawdziwa, namiętna miłość. Tylko niewielu domyśla się, że ta chora, sparaliżowana i przykuta do łóżka czy wózka kobieta może mu dać tyle i takiego zadowolenia w sferze erotyczno-seksualnej, jakiego nie jest w stanie dać żadna inna, zdrowa i wysportowana.

Gdyby przejrzeć biografie wybitnych twórców, pisarzy, poetów, muzyków i rzeźbiarzy, znaleźlibyśmy moc takich małżeństw i związków miłosnych, które na pierwszy rzut oka wydają się „dziwne” lub „niezrozumiałe”. Dlaczego subtelny i piękny Chopin oraz liryczny de Musset kochali się we władczej, „wąsatej”, palącej fajkę pani Sand? Dlaczego Jan Jakub Rousseau dobierał sobie wcale nieuro-

dziwe i zawsze o kilkanaście lat starsze od siebie ukochane, jak np. znana pani de Warens? Czy tylko sława ważącej 120 kg śpiewaczki operowej Tetrzzini zaprowadziła na ślubny kobierzec jej o 25 lat młodszego męża? Dlaczego kilkunastoletni, wrażliwy na piękno Sergiusz Jesienin związał swe życie uczuciowe z Elżbietą Styrską, która mogłaby być jego matką, a zewnętrznie niczym nie przypominała piękności opisywanych przezeń w wierszach.

Przytaczam te przykłady, których w historii sztuki i literatury można znaleźć o wiele więcej, gdyż nie chciałbym, aby ci czytelnicy, którzy sami dotknęli jakimś upośledzeniem fizycznym lub kalectwem, odczytali moje słowa w ten sposób, że traktuję ich jako „braki”, które mogą mieć nadzieję na zainteresowanie sobą wyłącznie osób trochę zbakierowanych, niezbyt normalnych lub z wyraźnie perwersyjnymi skłonnościami.

W dziedzinie płci i miłości nic, ale to naprawdę nic, nie może uchodzić za stuprocentową normę ani za stuprocentowe odchylenie od tej normy. Normą jest tutaj bowiem tylko pewien typ zachowania się seksualnego, do którego najbardziej upodabnia się postępowanie większości ludzi, ale bynajmniej nie wszystkich i każdy człowiek posiada pewne własne, swoiste urozmaïcenia i odmiany tego postępowania, które określają jego osobowość seksualną w podobny sposób, jak nieco większy nos lub mniejsze usta określają jego indywidualny wygląd twarzy.

A przecież sama budowa ciała, jego wygląd u nikogo nie stanowią jeszcze wystarczającej gwarancji tzw. powodzenia. Dla powodzenia w miłości olbrzymią rolę gra ten nieuchwytny zespół cech psychicznych, które młodzież współczesna określa mianem „seksu”.

Co to jest „seks”, trudno powiedzieć! Składają się nań i sposób patrzenia, i uśmiechania się, i gesty, i sposób mówienia, brzmienie głosu, sposób poruszania się itd. Są dziewczęta wybitnie ładne, niemal piękne, pozbawione jednak tego nieuchwytnego wdzięku kobiecości, tego zagadkowego „seksu” i nie budzą mimo urody zainteresowań rówieśników. „Ona nie jest ładna, ale ma dużo seksu”. „On jest brzydki, ale ma dużo seksu”. Te częste zdania

w ustach młodzieży oznaczają wyraźnie, że przy doborze erotycznym nie chodzi tylko o wygląd fizyczny. Rozmawiając z młodymi ludźmi, wielokrotnie przekonywałem się, że „seksem” nazywają oni wiele cech z samym seksualizmem nie mających nic wspólnego. Chodzi tutaj raczej o swoisty zespół cech charakteru woli, typ nastroju, uczuciowości, który dopiero w ich odczuciu czyni kobietę „kobiecą”, a mężczyznę „męskim” i to niezależnie od tego, jakie są ich walory zewnętrzne.

Wydaje się, że ponieważ składniki tego, co odczuwa się jako „męskość” człowieka, są luźniej związane z jego wyglądem, dlatego też łatwiej o „seks” wybitnie brzydkim mężczyznom niż wybitnie brzydkim kobietom. Na „seks” męski zdaje się składać przede wszystkim siła i to zarówno siła i sprawność fizyczna, jak i duchowa. Dlatego też ładny, gogusiowaty „mięczak” dla większości dziewcząt współczesnych jest mniej atrakcyjny niż nie grzeszący pięknnością, ale „męski” chłopiec, tzn. silny, wytrwały, trochę nawet szorstki, wiedzący czego chce, umiejący stawiać czoła przeciwnościom, łamiący trudności, umiejący w potrzebie bronić i otoczyć opieką. Tym można chyba tłumaczyć, że tak wiele zdecydowanie brzydkich, nawet bardzo szpetnych mężczyzn miewa większe powodzenie u kobiet niż „mięczaki bez ikry”, nawet jeśli mają buzie piękne jak z żurnala fryzjerskiego. Dlatego też, o ile szczerze współczują dziewczętom, którym los lub choroba odmówiły minimum urody, o tyle chłopcom żalącym się na kształt swoich nóg czy nosów, odpisują najczęściej: „nie zawracaj sobie głowy swoimi nogami czy nosem. Nie masz być modelem u Diora czy manekinem w „Adamie”, tylko mężczyzną. A to już nie zależy od długości Twoich kości goleniowych czy kształtu nosa, ale od cech charakteru i siły objawianej w życiu”. Największy skrzypek świata Paganini był garbaty i brzydki jak diabeł, a tak czarował swą grą na skrzypcach, że najpiękniejsze damy dworów europejskich uważały się za szczęśliwe, jeśli przyjął ich zaproszenie na randez-vous. Beniamino Gigli był podobny do beczułki tłuszczu, a jego wspaniały aksamitny głos rzucał mu do stóp największe gwiazdy sceny i ekranu.

Bo talent jest odczuwany jako siła człowieka, a siła jest głównym składnikiem męskości. To jest przyczyna powodzenia wielkich bokserów, mających nosy i uszy w kształcie kalafiorów, gdyż już samo uprawianie boksu, sportu bardzo twardego i męskiego przydaje championom w oczach wielu kobiet blasku najatrakcyjniejszego „seksu” męskiego, dla którego przebaczą im wygląd niczym nie przypominający Apollinów. To jest wreszcie powód wielkiego powodzenia wybitnych malarzy, pisarzy, muzyków itd. — niezależnie od ich wyglądu fizycznego, gdyż każdy wybitny sukces jest odczuwany jako dowód ich siły, a blask sławy przyćmi wszelkie fizyczne braki mężczyzny. Powiedzmy prawdę, że takie samo działanie ma i wybitna zamożność, duże możliwości finansowe, przy czym wcale nie musi tutaj chodzić o „wyrachowanie” kobiety, tylko o aureolę sukcesu, powodzenia, jaką bogactwo otacza w jej oczach tego mężczyznę. Choć oczywiście w tym przypadku odróżnić wyrachowanie od bezinteresowności zachwytu jest o wiele trudniej.

Dlatego też drugie wskazanie dla ludzi z jakimś brakiem fizycznym byłoby: staraj się w jakiejś dziedzinie zostać kimś wybitnym. Jeśli masz głos i słuch, ćwicz je i rozwijaj. Może nie zostaniesz Beniaminem Gigli czy Bernardem Ładyszem, ale możesz zostać najlepszym śpiewakiem w miasteczku czy na uczelni. Jeśli masz zdolności szachowe — rozwijaj je. Może zostaniesz mistrzem województwa lub nawet członkiem kadry. Jeśli masz piękny głos — recytuj. Jeśli umiesz grać na fortepianie — staraj się grać po mistrzowsku. Jeśli malujesz — rozwijaj swój talent plastyczny. Nie tylko zyskasz jakiś cel w życiu i nie tylko zapewnisz sobie niezbędne dla każdego człowieka sukcesy, ale i znacznie podniesiesz swój „seks” męski, swoją zdolność do podobania się i budzenia podziwu u innych.

A kobiety? Dziewczęta pod jakimś względem upośledzone także nie powinny sprowadzać całej sprawy miłości do podobania się czysto fizycznego. I one także mogą i powinny starać się o rozwijanie w sobie tego, co chłopcy nazywają „seksem” u dziewcząt. Łagodność usposobienia,

wrażliwość i takt, serdeczność i pełna dobrego smaku kokieteria, skłonność do otaczania opieką i spełniania funkcji wiernej powiernicy, lekka zalotność pomieszana z powściągliwością i zdolnością do współodczuwania, oto tylko niektóre składniki tego, co się nazywa „seksem” kobiecym, a nad czym można pracować i co potrzeba rozwijać w sobie, nawet wtedy, gdy los nazначzył nas piętnem kalectwa lub choroby. Ileż razy słyszałem od moich młodszych przyjaciół westchnienie rozczarowania: „Cóż z tego, że ładna, kiedy z nią nie ma o czym rozmawiać! Już na czwartym czy piątym spotkaniu nudziłem się z nią jak mops, a ostatecznie wiesz tylko „czulić się” nie można...”. Bo i rzeczywiście nie można. Nudne.

Oczywiście te wszystkie walory będą dziewczynie upośledzonej lub kalekiej pozyskiwały przede wszystkim przyjaciół i kolegów. I tutaj jedna uwaga: nie starajcie się od razu każdego, który pociągnięty Waszym urokiem, rozumem czy taktem zbliży się do Was, złapać „na sympatię” czy, nie daj Boże, „na męża”. Być może, wypadnie Wam długo czekać, zanim spośród grona przyjaciół i kolegów, których sobie mimo Waszego upośledzenia pozyskacie, wyłoni się ten „jeden jedyny”, który na zasadzie czynników i bodźców, o których mówiłem poprzednio, zechce być Wam czymś więcej niż kolegą. Nieraz także i dziewczęta nie upośledzone fizycznie czekają na to długo, musicie być też cierpliwe. Owoce miłości na pewno są słodsze od owoców przyjaźni i koleżeństwa, nie należy jednak zbytnią niecierpliwością czy zachłannością warzyć kwiatów, które ledwo rozwinęły się z pąków, bo ze zwierzonych mrozem kwiatów owoców nie będzie. Dobór seksualny osób upośledzonych fizycznie jest trudniejszy niż u osób zdrowych, musi spełnić więcej warunków, dlatego też nic dziwnego, że musi trwać dłużej i trwa zazwyczaj dłużej.

Można też z góry założyć, że u osób z poważnymi brakami fizycznymi okres trwania różnych surogatów życia seksualnego będzie trwał dłużej i nie ma powodów załamywać rąk.

Najważniejsze jest, jak pisałem już w szkicu poprzed-

nim, aby za wszelką cenę starać się żyć jak inni ludzie na wszystkich odcinkach życia, na których jest to możliwe. Trzeba dużo przebywać z rówieśnikami, nie dopuszczać do izolowania i odosobnienia się. Tylko obcując z młodymi ludźmi w swoim wieku, mimo kalectwa czy upośledzenia możesz rozwijać się umysłowo i uczuciowo, tylko w kontakcie z innymi możesz znajdować przyjaciół, tylko zwiększając liczbę tych kontaktów możesz przyspieszać tempo, w jakim trafisz na człowieka, który Cię szczerze pokocha — mimo Twego kalectwa i upośledzenia. Także tylko w obcowaniu z ludźmi możesz rozwijać swoje zdolności, uzyskiwać sukcesy, pogłębiać talenty towarzyskie, urok osobisty — to wszystko, co nazywa się wdziękiem, seksem i powabem osobowości.

Wielką pomoc wreszcie okazać mogą młodzieńcowi lub dziewczynie ciężko przez los dotkniętym jego rówieśnicy znajdujący się w podobnej lub analogicznej sytuacji. Trzeba bowiem wiedzieć, że różne upośledzenia i kalectwa w różnym stopniu utrudniają uczuciowy i seksualny dobór ludzi nimi dotkniętych. Przy czym nie zawsze stopień trudności w tej dziedzinie jest wprost proporcjonalny do ciężkości samego okaleczenia czy upośledzenia, do jego obiektywnie określonej wagi i zakresu. Bardzo ciężko chore na gruźlicę chłopiec, którego życie liczy się na parę lat czy nawet miesięcy, może łatwiej (co wcale nie oznacza, że powinien) zdobyć uczucia jakiejś dziewczyny, niż młodzieniec całkowicie zdrowy, ale straszliwie oszpecony w wypadku z niewypałem czy w katastrofie samochodowej. Choć jeden już kończy życie, drugi jest zaś zdolny do długiego i twórczego życia przez długie dziesiątki lat. Łatwiej również miłemu i przystojnemu niewidomemu nawiązać kontakt i związać się uczuciowo z jakąś dziewczyną, niż znaleźć sympatię czy męża dziewczynie pozbawionej nóg, choć na pewno stopień kalectwa niewidomego, jego bezradność życiowa jest większa.

Wydaje się, że nawiązywanie przyjaźni i koleżeństwa między osobami dotkniętymi różnymi, niejako „uzupełniającymi się” ułomnościami i kalectwami, może być również bardzo krzepiące życiowo i pożyteczne, pod warun-

kiem, że zbratani w kalectwie nie będą uciekać i odosabniać się od ludzi zdrowych, że nie zechcą tworzyć jakiegś „ligi ułomnych i upośledzonych”, co odbiłoby się niekorzystnie na ich samopoczuciu i dalszym rozwoju uczuciowym i społecznym. Ilekroć publikowałem listy osób dotkniętych jakimś upośledzeniem czy kalectwem, tylekroć spontanicznie napływały dla nich listy od „bratnich dusz”, które zawsze przekazywałem adresatom, widząc w tym ważny środek łagodzenia opuszczenia autorów listów, organizowania wokół nich grona osób dobrze ich rozumiejących, gdyż równie dotkniętych przez zły los. Jest to szczególnie ważne dla tych młodych ludzi, którzy świeżo przeżyli katastrofę i znajdują się na bolesnym etapie „skracania frontu”, o którym pisałem w poprzednim szkicu. Wtedy słowa otuchy i pocieszenia, a nieraz i wyrosła z korespondencji bliższa więź z osobą, która to samo przeszła wcześniej, może pomóc znaleźć odpowiedź na pytanie: „Jak sobie układać życie?” i przez to samo wydatnie podtrzymać na duchu.

Konieczność i pragnienie znalezienia takich osób bliskich znajdujących się w podobnej sytuacji powinna skłaniać także upośledzonych fizycznie młodych ludzi do szukania kontaktów różnymi dostępnymi drogami, bez osobistego kontaktu (o który nieraz upośledzonemu jest trudno). Nie trzeba wahać się ani wstydzić pisać do redakcji z prośbą o zamieszczenie adresu i nazwiska w „Kąciku Przyjaciół”, zaznaczając w anonsie fakt swojego kalectwa, bo to automatycznie dobierze krąg odpowiadających. Nie trzeba się wstydzić także korzystać z usług Biur Matrymonialnych, z tym, że w anonsie należy także uczciwie określić stopień swojego upośledzenia czy kalectwa, aby nawiązujący kontakt listowny wiedział, z kim ma do czynienia i nie był potem niczym zaskoczony.

Byłoby jednak niesłuszne, gdyby problem solidarności z człowiekiem kalekim czy upośledzonym widzieć wyłącznie jako sprawę obowiązującą w łonie społeczności samych upośledzonych. Solidarni musimy być z nimi wszyscy, dlatego po prostu, że oni są ludźmi i my jesteśmy ludźmi. I to nie tylko dlatego, że nikt z nas nie może być



pevien, czy za rok lub dwa nie znajdzie się sam w ich sytuacji, lecz przede wszystkim dlatego, że każdy z nas chce być szczęśliwy, a nie można być naprawdę szczęśliwy, dopóki wokół nas będą ludzie cierpiący i nieszczęśliwi.



Falstarty

To bardzo przykry widok, gdy dobry zawodnik zrywa sobie ścięgno już przy pierwszym kroku poza dołek startowy. „Falstart”, czyli „start nieudany” zdarza się nie tylko w sporcie, ale i w życiu w ogóle, w tym często, niestety, w życiu uczuciowym i seksualnym młodzieży. „Falstart” może być różny: czasem kończy się zerwaniem ścięgna i wymaga pomocy lekarskiej, a czasem wystarczy tylko mądrzej i w sposób bardziej przemyślany wystartować powtórnie. Jeśli nerwy nie poniosą, a kondycja psychiczna i fizyczna jest dobra, bieg się uda i o nieudanym pierwszym starcie można spokojnie zapomnieć.

„...Mam duże zmartwienie. Czytałem pańskie szkice i wynika z nich, że większość chłopców przeżywa sprawy seksualne bardzo intensywnie. Mają też wiele kłopotów z masturbacją itp. Otóż, drogi panie, muszę panu wyznać, że nigdy nie miałem kłopotów z masturbacją, ba, nigdy nawet nie próbowałem. I to jest moje ogromne zmartwienie, że to wszystko mnie nie ciągnie. Nie miałem i nie mam w ogóle żadnych doznań ani przeżyć seksualnych. Co gorsza, mam wyraźne defekty w budowie ciała: piersi podobne do kobiecych, słabo rozwinięte części płciowe. Na komisji wojskowej lekarze popatrzyli na siebie znacząco, na balu maskowym wzięto mnie za kobietę... Co mam robić?...”

(Pracownik umysłowy, lat 20, wielkie miasto)

„...Jestem w wojsku i mam straszny kłopot. Tu na różnych przeglądach i w łaźni musimy się rozbierać. Widzę wtedy, że mam najmniejszy narząd płciowy w całej kompanii. Okropnie się tego wstydzę. Czy jest jakaś możliwość leczenia lub operacji? Życie płciowe prowadzę normalnie i bez przeszkód. Jestem zbudowany proporcjonalnie. Podobno nawet przystojny...”

(Żołnierz, lat 21, jednostka wojskowa)

„...Co ja mam robić, proszę pana, kiedy wystarczy, że bym wszedł do cieplejszej wody albo znalazł się w tłoku w tramwaju, a natychmiast następuje u mnie wydalenie nasienia. Czasem w kinie jestem z dziewczyną i wystarczy, że bym złapał ją za kolano, to już wysiadka. Przy czym nie mam absolutnie żadnego przeżycia rozkoszy, po prostu nasienie wycieknie i koniec. Nie ma prawie żadnej erekcji przy tym. Żeby pan wiedział, jaki ja chodzę zmartwiony i przygnębiony tym wszystkim. Myślę sobie, przeżyłem lat 21, a poza pracą nic dobrego nie użyłem i chwilami dumam i myślę, czy wobec tego mego kalectwa w ogóle warto żyć...”

(Górnik, lat 21, ośrodek przemysłowy)

„...Od dwóch lat lecę się i nie ma żadnego rezultatu. Byłem wychowany w atmosferze srogiej dyscypliny, której jednak nie będę opisywał, bo to chyba nie decyduje. Z tego okresu jednak zostało to, że jestem chorobliwie nieśmiały. Do dziś nie poznałem żadnej dziewczyny. Do 25 roku życia nie byłem ani razu na spotkaniu z dziewczyną, nie miałem również żadnych kolegów. Przez cały czas uprawiałem niestęchanie intensywną masturbację. W 25 roku życia zachorowałem na ogólną nerwicę i znalazłem się u psychiatry. Cierpiałem na bóle głowy, bezsenność i nadciśnienie krwi. Lekarz zaleca zmianę trybu życia i nawiązanie kontaktu z ludźmi, między innymi z kobietami. Próbowałem, ale okazało się, że jestem 100-procentowym impotentem. Ostatnio nawet przy masturbacji nie jestem tak wydolny, jak przedtem. Jestem

w okropnej rozterce. Co robić? Czyżby, mając 27 lat, miałbym zrezygnować na zawsze z wszelkiego życia seksualnego?..."

(Pracownik umysłowy, lat 27, wielkie miasto)

„...Nigdy nie uprawiałem zbyt intensywnej masturbacji, były długie okresy, kiedy nie uprawiałem jej w ogóle. Mam 25 lat. A jednak nie mogę rozpocząć normalnego życia płciowego, gdyż wszystko kończy się u mnie zbyt szybko. Dosłownie jeszcze „przed bramą”. Czy świadczy to o mojej nadmiernej pobudliwości i temperamencie, czy też jest to forma impotencji? Ostatnio zresztą zauważam, że także w marzeniach sennych i przy polucjach nocnych nie ma pełnowartościowej erekcji. Co się ze mną dzieje? Czyżby dla mego organizmu wystarczyła nawet nieznaczna ilość aktów masturbacyjnych?...”

(Student, lat 24, wielkie miasto)

Są to listy od młodych ludzi, których start seksualny zakończył się falstartem, nie udał się. Listów takich jest bardzo dużo, powiedziałbym, zastraszająco dużo. Dobrane przeze mnie fragmenty dotyczą w większości wyraźnie chorobowych spraw, które wymagają wkroczenia lekarza. List pierwszy dotyczy ogólnego niedorozwoju płciowego, zwanego w medycynie hipogenitalizmem lub też, jeśli towarzyszy temu niedorozwój jąder — hipogonadyzmem. Ilość przyczyn, które mogą powodować niedorozwój płciowy, jest bardzo duża i — żeby nie przytłaczać czytelnika — nie zamierzam tutaj ich wymieniać. Powiem ogólnie, że przyczyny hipogenitalizmu mogą tkwić w niedoczynności lub nadczynności różnych gruczołów wydzielania dokrewnego (tarczyca, przysadka mózgowa, jądra itp) i wtedy rzeczą lekarza specjalisty jest wprowadzić do ustroju brakujące hormony lub ograniczyć ich nadmiar. Kiedy indziej hipogenitalizm i hipogonadyzm jest wynikiem pewnych procesów chorobowych, wtórnie odbijających się na rozwoju płciowym człowieka i wtedy lekarz stara się leczyć chorobę, która zahamowała rozwój płcio-

wy. Czasami przyczyną bywa przeżyty wstrząs lub uraz mózgu, a także silne wstrząsy psychiczne, wywołujące np. u dziewcząt brak miesiączkowania itd. Nie piszę podręcznika lekarskiego, tylko „poradnik życiowy”, dlatego też więcej na ten temat nie zamierzam mówić. Każde istotne zaburzenie w rozwoju płciowym musi być natychmiast sygnalizowane lekarzowi i to nie lekarzowi „omnibusowi” z przychodni szkolnej czy fabrycznej, tylko specjaliście od gruczołów wydzielania dokrewnego (endokrynologowi) i specjaliście od chorób seksualnych (psychiatrze-seksuologowi). Tylko tutaj jedna uwaga zasadnicza: nie wpadajcie jak żołnierz, którego list cytowałem uprzednio, w panikę z byle powodu, nie uważajcie się za „niedorozwiniętych seksualnie” tylko dlatego, że — jak Wam się zdaje — macie zbyt małe narządy płciowe lub zbyt skąpe owłosienie ciała. Nie ma też powodu do rozpacz, jeśli stwierdzicie, że rozwój płciowy dokonuje się u Was wolniej niż u kolegów i koleżanek. Tempo dojrzewania płciowego, czas pojawiania się włosów na ciele (u kobiet i mężczyzn) i twarzy (u mężczyzn), jak również czas pojawienia się pierwszej polucji i pierwszej menstruacji może być bardzo różny. Różnice mogą wynosić 2 — 4 lata i to zupełnie nie świadczy o jakimkolwiek procesie chorobowym. Istnieją też między ludźmi ogromne różnice siły napięcia popędu płciowego. Są tacy, których potrafi wzburzyć byle co i z byle powodu, i są inni, którzy dość rzadko i dość trudno przeżywają stan podniecenia seksualnego. To wcale nie znaczy, że ci drudzy są „niedorozwinięci seksualnie”. Tak jak na przykład wytrzymałość na ból nie świadczy o niedorozwoju nerwów czuciowych.

W jakich przypadkach trzeba jednak zwrócić na siebie uwagę i poszukać pomocy lekarza specjalisty? Przede wszystkim, jeśli w wyraźny sposób zahamowany jest wzrost osobnika lub jeśli rozrost jego ciała dokonuje się nieproporcjonalnie. Szczególnie ważnym szczegółem może być nadmierna otyłość w wieku dojrzewania, zatrzymanie się wzrostu i wyglądu twarzy i ciała na poziomie wyglądu 9 — 10 letniego chłopca, mimo że przekracza się 14. rok życia. Poza tym — nadmierny rozrost kończyn dolnych,

stóp i dłoni (tzw. „małe olbrzymy”), a także utrzymujące się dłużej niż rok, półtora obrzmienie sutków piersiowych, nadające piersiom chłopca wygląd piersi kobiecych.

Ponadto we wszystkich przypadkach, kiedy kształt i wygląd zewnętrzny organów płciowych bardzo wyraźnie odbiega od przeciętnego, np. jeśli organy chłopca podobne są do kobiecych, a zewnętrzne organy dziewczyny przypominają chłopięce — w tych wszystkich wypadkach pomoc lekarza jest niezbędna. Im szybciej to nastąpi, tym lepsze efekty leczenia.

Ponieważ najwięcej skarg na „niedorozwój płciowy” otrzymuję od młodych mężczyzn, najczęściej od przebywających w wojsku (gdyż tam mogą dokonać porównania własnego ciała z ciałami kolegów), im też odpowiadam przede wszystkim i z wielkim naciskiem: możecie uznać, że wszystko jest w porządku, jeśli jądra Wasze są — w przybliżeniu — wielkości śliwki, jeśli narząd Wasz posiada dobrze ukształtowaną żołądź, jeśli jesteście zdolni przeżywać pełnowartościowe erekcje i nocne polucje lub dzienne ejakulacje, którym towarzyszy doznanie specyficznej rozkoszy płciowej — i to niezależnie od tego, jakie są wymiary Waszego narządu płciowego. (Przeciętna długość członka w stanie wzwodu wynosi 13—15 cm). Ani stopień Waszego zadowolenia płciowego, ani Wasza potencja, ani zdolność zaspokojenia seksualnego partnerki nie zależy wyłącznie ani głównie od wielkości narządu. Choć, oczywiście, bardzo mały narząd męski może w niektórych okolicznościach sprawiać kłopoty, ale podobne kłopoty sprawiać może i narząd nienormalnie duży.

Tym wszystkim, którzy zasypują mnie listami z pytaniami, czy można za pomocą środków leczniczych lub operacji powiększyć wymiary narządu płciowego mężczyzny, odpowiadam: żaden lekarz nie podejmie się takiego leczenia, jeśli wielkość narządu jest w normie, a tylko nie zadowala zainteresowanego. Medycyna wpływa między innymi na rozrost członka za pomocą specjalnej terapii hormonalnej, jednak wyłącznie do 18. — 19. roku życia i wyłącznie w tych przypadkach, kiedy następuje rzeczywiście zahamowanie ogólnego rozwoju płciowego, przy którym

narząd zatrzymuje się w rozwoju na poziomie narządu dziecka w wieku przedpubertalnym.

Niemal we wszystkich przypadkach, które trafiły do mnie, a dotyczyły tego właśnie upośledzenia wielkości, okazało się, że rzecz polega na nieporozumieniu, a ściślej mówiąc na fantastycznie wyolbrzymionym pojęciu o wielkości narządu płciowego mężczyzny. Trzeba jednak, aby zainteresowany jak najszybciej przestał wymierzać swą zdolność do życia płciowego miarką centymetrową, gdyż — trapiiony kompleksem niższości z tego powodu — może doprowadzić się naprawdę do impotencji. Zaś korzenie tej impotencji tkwić będą w jego psychice i poczuciu fizycznego upośledzenia.

Jeśli jedni zamartwiają się tym, że natura dała im „za mało”, to inni znowu mają moc kłopotów z tym, że wszystko u nich przebiega i kończy się „zbyt szybko”. Powiedzmy szczerze, że ten drugi kłopot o wiele częściej bywa uzasadniony niż pierwszy, pod warunkiem, że w tej sprawie młody człowiek nie ma na podstawie przechwałek kolegów zbyt wygórowanego pojęcia o czasie, w jakim „powinien” trwać normalny stosunek płciowy. I tutaj różnice indywidualne są ogromne — średnio czas jego wynosi jedną do trzech minut, ale i kwadrans, i więcej także. Przy czym nie można powiedzieć, że „krótkodystansowcy” są gorsi od „długodystansowców”, że są jakoś biologicznie upośledzeni.

Kiedy można podejrzewać, że rzecz przekracza już te normalne granice różnic indywidualnych i wkracza w dziedzinę patologii, wymagającej leczenia? Wtedy, kiedy wszystko przebiega i kończy się tak szybko, że nie można dojść w ogóle do zjednoczenia fizycznego mężczyzny i kobiety, lub też kończy się, gdy ledwo to zjednoczenie się zaczęło. Wtedy istnieją podstawy do przypuszczeń, że mamy do czynienia z pewnym zjawiskiem chorobowym zwanym w medycynie „*ejaculatio praecox*”, czyli „wytryskiem przedwczesnym”. Liczba czytelników uskarżających się na tę właśnie dolegliwość jest bardzo duża. Odczuwają ją najboleśniej ci młodzi mężczyźni, którym „*ejaculatio praecox*” uniemożliwia dokonanie inicjacji sek-

sualnej, odbycie swego „pierwszego razu” z ukochaną osobą. Ponieważ bardzo często młodzieńcy ci marzą o małżeństwie z wybranymi osobami, nieraz stają na pograniczu depresji psychicznej i zadają sobie pytanie, czy mają w ogóle prawo marzyć o małżeństwie, skoro „wysiadają” już na polu przedbramkowym.

Oczywiście, żeby ustalić, czy wytrysk przedwczesny jest stałą wadą, czy zaburzeniem przejściowym, trzeba rozważyć okoliczności, w jakich go się obserwuje. Jeśli młody mężczyzna, wygłodzony seksualnie (tzn. od dłuższego czasu „nie rozładowujący” się seksualnie) przystąpi do współżycia z gorąco pożądaną kobietą, wtedy prawie z reguły wystąpi u niego wytrysk przedwczesny, który jest tylko wyrazem siły podniecenia i pobudzenia seksualnego. W miarę uspokajania się i kontynuowania współżycia, ten mankament powinien jednak sam ustępować, aż wszystko się usprawni, co będzie polegało na samoregulacji i obniżeniu poziomu pobudliwości. Niepokój budzić może tylko taki wytrysk przedwczesny, który niezależnie od okoliczności występuje stale i ciągle i uniemożliwia samo fizyczne połączenie narządów płciowych.

Sprawa wtedy nie jest błaża, bo jeśli wszystko zawsze kończy się, zanim się jeszcze naprawdę zaczęło, wtedy zdolność do współżycia płciowego staje rzeczywiście pod znakiem zapytania. Dlatego też seksuologia rozpatruje „*ejaculatio praecox*” jako jedną z najpowszechniejszych form częściowej, a czasem i całkowitej impotencji męskiej. Czy leczenie tego schorzenia jest możliwe? — zapytują mnie dotknięci nim młodzi ludzie. Owszem, jest możliwe. Rokowanie jest różne, w zależności od stopnia przedwczesności i od przyczyn powodujących samo zjawisko. W każdym razie prawdziwy „*ejaculatio praecox*” nigdy nie jest objawem „siły męskiej” i „gorącości temperamentu”, lecz przeciwnie — słabości systemu nerwowego lub pewnych zakłóceń psychicznych.

Najcięższa forma „*ejaculatio praecox*” polega na tym, że już sama myśl o działaniu seksualnym wywołuje wytrysk substancji płciowej. Najłżejsza — gdy proces kończy się w ciągu kilkunastu sekund po fizycznym zjedno-

czeniu partnerów. Leczenie polega na stosowaniu leków poprawiających ogólny tonus psychiczny i nerwowy pacjenta, oraz na stosowaniu pewnych leków znieczulających miejscowo, obniżających wrażliwość nerwowych zakończeń narządu płciowego mężczyzny, na którym sumują się dotykowe doznania i które właśnie doprowadzają do wyzwolenia odruchu ejakulacji. Wielką rolę przywiązuje się również do umiejętności postępowania seksualnego, do właściwego rozkładania w czasie i stopniowania bodźców, aby nie dopuszczać do nadmiernego podniecenia i napięcia w fazie na długo wyprzedzającej zjednoczenie fizyczne. Doradza się również powtarzanie stosunku tego samego dnia, gdyż każdy następny trwa dłużej. Stosowanie męskich środków antykoncepcyjnych (w postaci prezerwatywy) obniża wrażliwość zakończeń nerwów czuciowych żołędzi członka i przedłuża czas stosunku.

„Eiaculatio praecox” dlatego tak martwi młodych mężczyzn, że przy bardzo krótkim czasie trwania stosunku trudno jest (a czasem jest to wręcz niemożliwe) doprowadzić do przeżycia orgazmu kobietę. Dlatego też w fazie wstępnych pieszczot seksualnych cały przebieg musi być tak organizowany, aby oszczędzać maksymalnie pobudliwość mężczyzny, nie podrażniać go nadmiernie, aby nie przybliżyć momentu finału, a jednocześnie, aby pieszczoty wobec kobiety maksymalnie przybliżały ją do finału na który przy krótkim czasie trwania stosunku zostaje już bardzo niewiele czasu. Najczęściej zresztą mężczyźni takiemu nie udaje się osiągnąć tego celu przed własnym finałem i wtedy musi on kontynuować stosunek, mimo że sam już dobił do mety, aby umożliwić to samo i swojej partnerce. Jak więc widać, „wytrysk przedwczesny” jest zaburzeniem rzeczywiście komplikującym młodym ludziom życie seksualne. Jednak każdy udany stosunek, mimo tej wady i tego zaburzenia, umacnia poczucie siły mężczyzny i skutecznie chroni go od kompleksów, który by pogłębiał samo schorzenie, dlatego też warto zadać sobie trudu w celu pokonywania ujemnych skutków tej niewygodnej skłonności swego organizmu. Ogromną rolę grają też warunki, w których podejmuje się próbę sto-

sunku i osoba partnerki. Wszystkie uczucia lękowe (np. lęk przed „nakryciem”, przed spłoszeniem) a także nieraz nie uświadomione postawy niechęci i wstrętu (np. do przypadkowej, nieatrakcyjnej lub niechłujnej partnerki) przyspieszają odruch wytrysku, jakby cały nasz organizm — mówiąc obrazowo — chciał to wszystko jak najszybciej zakończyć i miał dość lęku, niepokoju i przykrew sytuacji. Stąd nawet całkiem zdrowi ludzie przy pierwszych, po bałaganiarsku podejmowanych próbach bardzo często przeżywają coś, co mając przebieg dość szybki, bynajmniej nie jest jeszcze „ejaculatio praecox”.

Wreszcie warto zapoznać się z opinią znanego seksuologa szwajcarskiego dra medycyny W. Morgenthalera, który w swym dziele „Der Mensch in Geschlecht, Liebe und Ehe” (Zurich 1956) pisze (str. 287): „W wypadku gdy „ejaculatio praecox” jest wynikiem zaburzeń regulacji, które najczęściej są spowodowane przez cielesno-duchowe niedyscyplinowanie jednostki, wtedy przede wszystkim należy uregulować swój cały sposób życia i nastawić je na uspokojenie i wzmocnienie, usiłować przekształcić cały przebieg sprawy. Bardzo często wysiłkiem woli można powstrzymać ejakulację, w podobny sposób jak opanowujemy oddanie stolca i moczu”. Dopiero, gdy to się nie uda, potrzebna jest — według dr Morgenthalera — pomoc lekarza. Raz jeszcze potwierdza się tutaj związek życia płciowego z całokształtem osobowości i stylu życia jednostki oraz związek zdolności płciowej ze zdolnością do panowania nad sobą i nad swoimi odruchami.

Dwudziestojednoletni górnik, z którego listem zapoznałem czytelników poprzednio, cierpi na inne, o wiele, na szczęście, rzadsze schorzenie, tylko pozornie podobne do „ejaculatio praecox”. Różni się ono od przedwczesnego wytrysku tym, że jest to ściślej biorąc wyciek, a nie wytrysk, gdyż nie towarzyszy temu żadne napięcie członka, ani żadne przeżycie przyjemności. Jeśli jest to zjawisko stałe i zachodzi we wszystkich okolicznościach, potrzebna jest bezwzględnie pomoc lekarza seksuologa, gdyż tłem tego schorzenia bywają najczęściej różne stany psy-

chonerwicowe (nieraz na tle wieloletniego lęku o skutki masturbacji). Leczenie musi być gruntowne.

Następny rodzaj „falstartów” spowodowany jest odmówieniem posłuszeństwa przez narząd płciowy w decydującym momencie. Są to przypadki „niezdolności płciowej”, która to nazwa kryje wspólnym mianem wiele i bardzo rozmaicie uwarunkowanych zjawisk. Wspólne im jest to, że w decydującym momencie napięcia narząd męczyzny nie spełnia elementarnego warunku fizycznego, bez którego samo zjednoczenie dwojga osób staje się niemożliwe.

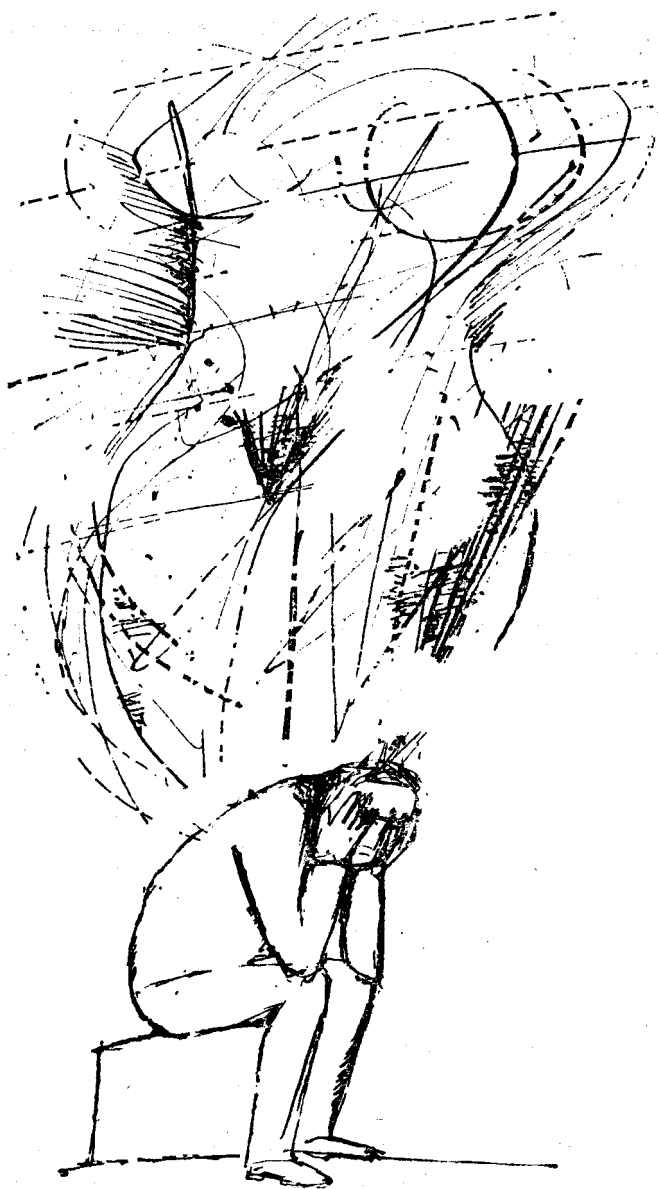
Jest co najmniej kilkanaście odmian impotencji męskiej, ale dla nas wystarczy podział na zaburzenia potencji pierwotne (już przy „pierwszym razie”) i wtórne (kiedy potencja słabnie po pewnym czasie, w którym stosunki płciowe były odbywane pomyślnie). Ponieważ rozmawiamy o „falstarcie”, będziemy się tutaj zajmowali przede wszystkim impotencją pierwotną, która najczęściej jest przemijająca, jeśli dotknięty nią będzie właściwie postępował. Amerykański seksuolog L. H. Levie przebadał 1200 osób dotkniętych impotencją i stwierdził, że tylko u 9 spośród nich impotencja spowodowana była zmianami organicznymi (zniekształcenia narządu, cukrzyca, wiał rdzenia itd). Pozostałe 1191 przypadków miało u swego podłoża wszelkiego rodzaju zahamowania psychiczne. Radzę Wam dobrze zapamiętać tę cyfrę i wniosek, który się z tego nasuwa. A mianowicie, że do życia płciowego trzeba podchodzić z powagą, przejawiać ostrożność w jego rozwijaniu, żeby nie nabawić się jakiegoś urazu lub kompleksu psychicznego, który później uniemożliwi współzycie płciowe, mimo że cała aparatura będzie anatomicznie i fizycznie w porządku. W tych wszystkich przypadkach, w których aparat płciowy męczyzny funkcjonuje bez zarzutu w czasie samorzutnych zmasz nocnych, w czasie marzeń na jawie i we śnie lub w trakcie praktyk masturbacyjnych, odmawia zaś posłuszeństwa przy współzyciu z kobietą, mamy na pewno do czynienia z impotencją pochodzenia psychicznego. Jak głęboko ukryte są nieraz przyczyny i źródła takiego zahamowania, niech świadczą przykłady zaczerpnięte z Waszych listów.

Oto pewien 21-letni górnik w czasie pierwszej próby odbycia stosunku płciowego podjętej w hotelu robotniczym został zaskoczony przez „dowcipnych” kolegów, którzy wyważyli drzwi i wdarli się z drwinami do pokoju. Skutek taki, że ten dwudziestojednoletni mężczyzna przez dłuższy czas nie mógł dać sobie rady, gdyż „nic nie wychodziło”. Inny czytelnik, bawiąc się w dzieciństwie „w tatę i mamę” ze swoją koleżanką został nakryty w tej sytuacji przez ojca, który mu na miejscu spuścił łanie. Od tego czasu minęło lat kilkanaście, ale uraz pozostał. Jest on tak głęboko zakorzeniony, że choć w fazie wstępnej wszystko „gra” jak należy, z chwilą gdy powtórzy się sytuacja z dzieciństwa, potencia jego natychmiast załamuje się.

Podaję te przykłady dla wykazania czytelnikom, iż w bardzo wielu przypadkach impotencji występującej nie wiadomo czemu w wieku młodym, przy pełnej sprawności i zdrowiu psychicznym i fizycznym potrzebna jest pomoc i porada wytrawnego lekarza i psychologa, który może pomóc człowiekowi odkryć uraz i kompleks, zatajony w nim nieraz z lat dziecięcych i stanowiący podłoże jego impotencji.

Prócz impotencji bezwzględnej (występującej zawsze i z każdą partnerką) jest wiele przypadków impotencji względnej i z nią mamy najczęściej do czynienia przy „pierwszym razie”.

Może to być impotencja zależna od sytuacji (park — ławka, obawa odkrycia), o czym pisałem w rozdziale poprzednim. Wspomniałem również o zaburzeniu potencji ze względu na to, że osoba partnerki jest mało znana, przypadkowa, nieatrakcyjna. Są to impotencje przejściowe, które przechodzą, jeśli tylko zmieni się okoliczności współżycia na bardziej sprzyjające i partnerkę na osobę naprawdę bliską i kochaną. U osób religijnych hamująco działa poczucie grzeszności podejmowanego czynu, u osób żoniatych — w stosunkach pozamałżeńskich — poczucie winy z powodu naruszenia wierności małżeńskiej. U wielu chłopców zaburzenia potencji jest wynikiem przesadnych lęków o skutki uprawiania masturbacji. Cokolwiek



działa bowiem w mózgu mężczyzny jako hamulec: powścią, lęk, wstręt, obawa, odbija się na sprawności funkcjonowania narządu płciowego. Stąd nie można zrobić większego głupstwa niż chcieć „zmusić się” do odbycia pierwszego stosunku. Inicjacja seksualna nie jest tym samym co pierwszy bal i nie można jej planować na zimno i z wyrachowaniem („trzeba to już mieć za sobą”), bo łatwo o pudło i całkowitą klapę. A choć jedno czy dwa niepowodzenia nie są jeszcze czymś groźnym, jednak szkodliwy jest lęk i uczucie niepewności, utrata wiary we własne możliwości, które mogą znaleźć swój wyraz w postaci trwałej impotencji względnej. A te wyleczyć będzie o wiele trudniej. Najskuteczniejszym zaś środkiem zapobiegawczym jest w tych sprawach przestrzeganie zasady, że życie płciowe nigdy nie powinno być oddzielane od więzi uczuciowej, od serdecznej przyjaźni i miłości (choćby nawet nie tej największej). Wtedy bowiem samo zjednoczenie fizyczne partnerów jest naturalnym wynikiem łączących ich uczuć i prawdopodobieństwo zahamowań i zaburzeń potencji spada do minimum.

Etapy miłości

„...Piszę do pana w zaufaniu w sprawie bardzo dla mnie ważnej i poufnej. Chodzi mi o to, jak powinna się zachować niewiasta w czasie pocałunku. Proszę mi napisać, co o pocałunku wiedzieć należy. Ponieważ sprawa jest bardzo pilna, proszę o odpowiedź poza kolejką...”

(Uczennica, lat 16, wielkie miasto)

„...Pewno zna pan mnie za niemoralną ... Ja też należę do tych, które notują w kalendarzyku swoje sukcesy seksualne. W ciągu ostatniego roku miałam X (wysoka liczba, której nie podaję — MK) chłopców. I czy myśli pan, że jestem zadowolona? Broń Boże! Jakże różne jest to, co w naturze, od tego co nieraz śnię i wyobrażam sobie w marzeniach. Właściwie to gardzę tymi swoimi „bykami” i gardzę sobą, ale gdy mi ktoś zaproponuje, nie odmawiam. Jest mi wszystko jedno. Dlaczego każdy od razu prze tylko do tego? Mam żal do chłopca nawet za to, że od razu chce mnie całować w usta. Chciałabym być pieszczona delikatnie, subtelnie (tu następuje opis wymarzonych pieszczot, który opuszczam — M.K.). Czy dzisiaj nie ma już takich artystów miłości? A przecież mogą być, przecież w marzeniach widzę takiego idealnego kochanka wyrażnie, tylko nigdzie nie mogę spotkać, choć niby starań nie szczędzę...”

(Studentka, lat 22, wielkie miasto)

„...Jestem specem w tej dziedzinie. Myślę, że cyniczne i wyrachowane traktowanie babek (nieraz po dwie dniennie) jest moją podświadomą zemstą za kosza, jakiego dostałem w mojej pierwszej, niewinnej miłości. Zapyta pan, czy miałem wielką przyjemność za „pierwszym razem”? Nieszczególną. A za następnymi razami coraz mniejszą. To jest sport, może nałóg, ale żadna wielka frajda. Teraz czuję, że tak dłużej być nie może. Zaszedłem na jakąś pustynię, w której wszystko mnie mierzi, a ja siebie najbardziej. Co pan myśli o moim przypadku?...”

(Student, lat 20, wielkie miasto)

„...Niech pan mnie ratuje. Dopóki miałem do czynienia z babkami, na których mi nic nie zależało, było wszystko w porządku, „szafa grała”. Teraz zakochałem się po raz pierwszy naprawdę i... kłapa. Absolutna kłapa, jak bym był pełnym impotentem. Jak ja wyglądam przed najdroższą dziewczyną? Co się stało? Sprawa naprawdę pilna. Znaczek na ekspres polecony załączam”.

(Pracownik umysłowy, lat 25, miasto)

„...Pod względem miłosnym mam żółto w dziobku. Proszę napisać szczegółowo: Jak poznać, że podobamy się dziewczynie? Jak dać jej znać, że ona nam się podoba? O czym rozmawiać: a) na randce, b) w domu jej rodziców, c) kiedy jest sama, d) kiedy jest z koleżanką. Czy, jak odprowadzam ją po kinie, to mogę pocałować i jak jej to zaproponować?...”

(Uczeń, lat 17, małe miasteczko)

„...Miałem już wiele miłości, ale tak naprawdę to kochałem tylko Jasię. Jest to już stara miłość, bo trwa od poprzedniego okresu. Kiedyś, niedawno, ośmieliłem się ją pocałować (w usta), odwzajemniła mi pocałunek i wydawało mi się, że była zadowolona. Kiedy jednak na następnym spotkaniu próbowałem pocałować ją — odmówiła. Powiedziała, że wystarczy, jeśli będę ją trzymał za rękę. Proszę Pana, czy Jasia przestała mnie kochać? Dlaczego przedtem zgodziła się, a teraz nie chce?...”

(Uczeń, lat 17, małe miasteczko)

Oto nowa porcja listów, a każdy list to problem. Kiedy na spotkaniu ze studentkami Krakowa i studentami Torunia przeczytałem pierwszy list, sala zareagowała głośnym śmiechem. „Nie śmiecie się — powiedziałem — z „naiwności” tych pytań. One są naiwne tylko dla Was, którzy macie po 20 i więcej lat, a wcale nie są naiwne dla 16-latków. Przypomnijcie sobie sami, ile trwóg i niepokojów wywoływał na tamtym „etapie” pierwszy pocałunek. A po drugie, czy naprawdę jesteście pewni, że każdy z Was wie już wszystko, co należy, o pocałunku?”

Dzisiaj mogę powiedzieć więcej: gdyby żaląca się na brak „idealnego kochanka” rekordzistka ilościowa zastanawiała się mając lat 16 dość głęboko nad tym, „jak powinna się zachować niewiasta w czasie pocałunku”, to — być może — dzisiaj nie byłaby tak rozczarowana i pełna żalu. Również, gdyby student — który jest, jak chwali się „specem seksualnym”, ale nie znajduje w swej (rzekomej) specjalności przyjemności i zadowolenia, przeżył głębiej i dłużej okres młodzieńczych trosk i niepokojów z tego powodu, że dziewczyna nie chce go pocałować, to — być może — nie zaszedłby na tę „pustynię”, z której napisał do mnie rozpaczliwy list. Chodzi bowiem o to, że w dziedzinie uczuć prawa dialektyki działają inaczej niż w dziedzinie ekonomiki i polityki. Ilość nie przechodzi tutaj automatycznie w jakość, a często rzekome „specostwo” techniczne jest ukrytą formą fuszerki i partactwa seksualnego. Jedno podobieństwo z ekonomiką utrzymuje się w dziedzinie uczuciowego i seksualnego rozwoju jednostki z całą mocą: absolutny zakaz przeskakowania etapów.

„Etapu miłości” można rozumieć dwojako — bądź jako etapy rozwoju uczuć i form ich przejawiania się w trakcie procesu dojrzewania osobnika (np. „miłość cieleca 14-latka”, „pierwsza miłość 16-latka”, „prawdziwa miłość 18-latka” itd) lub też jako fazy powstawania i rozwijania się pojedynczego uczucia, pojedynczego przypadku miłości w życiu człowieka.

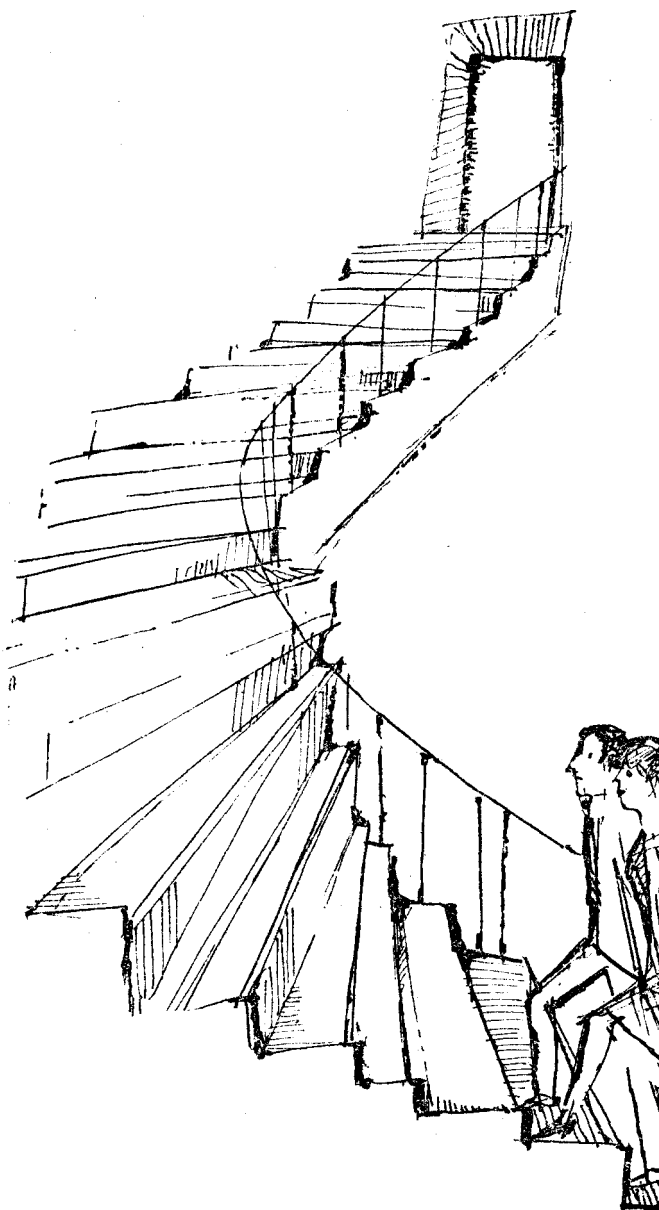
Obecnie chcę z Wami pomówić o „etapach miłości” w drugim znaczeniu, w sensie faz rozwojowych jednego uczucia.

Młodzi moi czytelnicy, których listy cytowałem na wstępie, byli bardzo rozczerowani, nie otrzymując dokładnych wskazówek, jak, gdzie i kiedy mają całować, ani też nie uzyskując gotowego spisu tematów do rozmowy miłosnej czy uwodzicielskiej.

Miłość jest twórczością i nie znosi żadnych recept. Każdy musi stworzyć swój własny styl i sam odkryć wszystkie jej tajniki. Nauczyć się sztuki kochania z podręcznika nie można, choć można wyuczyć się z nich różnych wymyślnych „pozycji” i technicznych gier. Ale mają one tyle wspólnego ze sztuką kochania (przez duże „S”), co magazyn instrumentów muzycznych z brzmieniem V Symfonii Beethovena lub (dla zwolenników jazzu) pieśni w wykonaniu Louisa Armstronga. Jeśli dalibyście mi „srebrną trąbkę” Armstronga, nie potrafiłbym z niej wydobyć niczego poza skrzeczeniem żaby. Dlaczego? Bo brak mi sztuki, talentu czy (jak chcą entuzjaści) wręcz geniuszu Armstronga. A przecież trąbka jest niby ta sama. Z miłością jest podobnie. Nie oznacza to, że nie można udzielić tutaj pewnych pożytecznych rad i wskazówek. Bowiem choć nie można nikogo nauczyć pisania wierszy, ale można poinformować o prawach języka i muzyki, ważnych dla pisania wierszy.

Co to znaczy „umieć kochać”, „mądrze kochać”, „osiągnąć maksimum prawdziwych sukcesów” w tej dziedzinie? Znaczy to przede wszystkim umieć uczynić ze sfery życia uczuciowego i seksualnego niewysychające źródło życia i życiodajnej siły. Znaczy to umieć wyzyskać tę dziedzinę w stopniu maksymalnym, nie w sensie idiotycznych rekordów ilościowych, ale w sensie otrzymania tego wszystkiego, pięknego, radosnego i zwielokrotniającego nasze istnienie, co ta dziedzina w ogóle dać może, na co ją w stosunku do nas i nas w stosunku do niej stać.

A to wszystko wymaga rozumienia istoty miłości, praw nią rządzących, poważnego i dbałego stosunku do sfery seksualnej w ogóle. Rzeczą warunkującą uzyskanie pełni zadowolenia w miłości jest nieprzeskakiwanie etapów, doczekiwanie się pełnej dojrzałości uczucia, przebywanie całej drogi, bez skrótów i chodzenia na przelaj. Każdy wie,



że tylko głupiec je jabłka, kiedy są jeszcze zielone i kwaśne. Każdy wie, że nie ma żadnej wartości „rekord” ustanowiony w ten sposób, że ktoś od razu ustawił się na mecie, uważając, że nie ma sensu męczyć się obieganiem stadionu dokoła. Każdy wie, że lepiej smakuje w upalny dzień kufel pianistego piwa niż cztery kilogramy zacieru jęczmiennego z chmielem, choć być może ilość słodu i alkoholu w obu produktach jest taka sama i choć piwo robi się z tegoż zacieru. Każdy wie... A przecież, jeśli poczytać niektóre listy cytowane na wstępie, można przypuszczać, że autorzy ich o tych elementarnych prawdach nie wiedzą.

„Umieć kochać” to znaczy przede wszystkim tak postępować, aby obie zainteresowane osoby uzyskały maksymalne wzbogacenie i maksymalne zadowolenie w wyniku łączącego je uczucia i związku.

Związek miłosny dwojga osób staje się poważnym wydarzeniem w ich życiu, jest istotnym czynnikiem wzbogacającym i zwielokrotniającym ich istnienie, jeśli całe uczucie i wszystkie doznania czynią zadość pewnym osobliwościom i potrzebom uczuciowym i seksualnym, które u każdej płci układają się nieco odmiennie.

To, co męskie — mężczyźnie... Istnieje przekonanie, że popęd płciowy mężczyzny jest „silniejszy” od kobiecego. To nieprawda. Różnica między tym, co „męskie” i tym, co „kobiece” polega nie na różnicy siły natężenia, lecz na odmienności form przejawiania się. Popęd mężczyzny wyraża się w sposób łatwiej widoczny, jest bardziej aktywny, natrętny, wyraźnie ześrodkowuje się na organach płciowych, szybciej mobilizuje się, gwałtowniej narasta i bardzo szybko wygasa. Gdyby wykreślić krzywą pobudzenia seksualnego mężczyzny, byłaby ona podobna do toru, jaki zakreśli odrzutowiec dający gwałtowną, ostro wznoszącą się do góry „świecę”, ale który po osiągnięciu punktu szczytowego nagle traci moc silników i wali się na łeb na szyję w dół, do punktu zerowego.

To, co kobiece — kobiecie... W porównaniu z męskim popędem płciowym popęd kobiecy jest o wiele bardziej całościowy, nie jest tak wyraźnie związany tylko z wąską sferą genitalną; jest on bardziej bierny, wyczekujący, na-

stawiony na uległość, a nie na zdobywczość. Ogarnia on całość duchowo-fizycznej osobowości kobiety. Kobieta oczekuje od miłości nie tylko „wyładowania” fizjologicznego, lecz również zaspokojenia potrzeby uczucia pewności, doznania opieki, poczucia bezpieczeństwa. Główny trzon popędu seksualnego kobiecego jest otoczony, a nie-raz wręcz przykryty całą gamą drugoplanowych tęsknot i uczuć. Dominuje tutaj potrzeba delikatnego, pełnego subtelności brania i dawania, pewnej marzycielskości i (nie bójmy się tego słowa!) romantyzmu. Z całym naciskiem zwracam na to uwagę czytelnikom mężczyznom: także w dziedzinie seksualnej kobieta potrzebuje i przejawia po całe niebo więcej od mężczyzny subtelności, wstydlivosti i wrażliwości. Nieuwzględnianie tej osobliwości psychiki kobiecej przez mężczyznę prowadzi zawsze do najcięższych zaburzeń w stosunku obojga płci i może zabić najlepiej zapowiadającą się miłość. Nie pocieszajcie się tym, że jest tyle „babeł”, które zachowują się zupełnie inaczej. To Wy je do tego zmuszacie, ale czy wiecie, co one przeżywają, czy są zadowolone? Widzieliście, jakie listy piszą potem? Można bowiem zmusić dziewczynę do tego, aby postępowała wbrew swojej „naturze”, czyli wbrew istotnym rysom swej psychiki, ale nie można tej „natury” na stałe zagłuszyć, albo zmienić. Dlatego też zupełnie odmiennie wygląda „krzywa” pobudzenia seksualnego kobiety. To już nie ostro rwący w górę odrzutowiec, ale długo i łagodnie nabierający wysokości szybowiec, posuwający się naprzód ruchem pulsującym, falistym, który także po osiągnięciu najwyższego punktu opada długo, łagodnie i równie faliście.

Partacze seksualni, którzy to i owo słyszeli z seksuologii, uważają, że robią wszystko co trzeba, jeśli uwzględniając (rzekomo) osobliwości popędu płciowego kobiety i mężczyzny, dbają o to, aby szczytowy punkt krzywej pobudzenia kobiety wypadł nieco wcześniej niż ich własny. Istotnie, jeśli ten warunek nie zostanie spełniony, wtedy kobieta nie ma żadnych szans na uzyskanie kulminacji. Czy jednak to wystarcza? Nie uwzględniając faktu, że kobieta przeżywa pobudzenie seksualne już wtedy,

kiedy oni jeszcze niczego nie odczuwają, i odczuwa potrzebę pewnych starań i świadczeń miłosnych, kiedy oni już nic nie odczuwają, są partaczami seksualnymi. Przekonani, że dali kobiecie wszystko, nie wiedzą o tym, że nie dali jej nawet połowy tego, co mogliby dać, gdyby znali „sztukę kochania”.

Co się liczy w miłości? Wszystko się liczy i wszystko jest ważne. Wszystko, co jest cechą charakterystyczną osób kochających się, wszystko, co między nimi zachodzi, dzieje się, może być i powinno być źródłem radości i przyjemności, środkiem wzbogacenia życia, zwielokrotnienia swojego istnienia, osiągnięcia pełni przeżycia. W normalnej, prawidłowo rozwijającej się miłości, w miłości pełnej, a nie w miłości-kikucie czy miłości-parodii, jaką uprawiają cytowani poprzednio rekordomani, udział biorą wszystkie zmysły i wszystkie władze umysłowe — na długo przedtem, zanim dojdzie do pierwszego zbliżenia fizycznego.

Zaczyna się od podobania, od bliżej nieokreślonego pociągu, który u normalnego mężczyzny jest pierwotnie pociągiem do piękna i harmonii kobiecej istoty. Jedni łatwiej ulegają urokom wysportowanych, kwitnących, żywotnych, energicznych dziewcząt, innych bardziej pociągają delikatne, filigranowe, miękkie „przylepki”. Jest to początkowo tylko „pierwsze wrażenie”, „ogólna ocena”, znajdująca swój wyraz w potocznych ocenach „w tej babce coś jest”, „to mój typ”, „pasuje mi” itd. Liczba bodźców wywołujących to pierwsze drgnięcie na busoli miłości jest praktycznie nieograniczona: może to być wyraz twarzy, brzmienie głosu, zapach ciała, dotknięcie skóry lub włosów, wszystkie te czynniki składają się w sumie na pewne „wrażenie”, które w skrajnych wypadkach bywa tak silne, że ogarnia ludzi jak płomień (i wtedy się mówi „o miłości od pierwszego wejrzenia”). To wstępne zainteresowanie czy „pierwsze silne wrażenie” skłania chłopca do próby zbliżenia się, zapoznania i poznania bliższego. Okres następny to wzajemne poznawanie się i studiowanie już nie zewnętrznego, całościowego obrazu, lecz szczegółów, zarówno ciała, jak i psychiki. Temperament

i sposób poruszania się, kokieteria i powściągliwość, sposób uśmiechania się, oczy i usta, brwi i rzęsy, dołeczki na twarzy w czasie uśmiechu, rodzaj skóry, kształt nóg i linia sylwetki, ale też cechy charakteru i rozumu, zainteresowania i uzdolnienia, poglądy i przekonania, to wszystko staje się przedmiotem poznawania i odkrywania. Każda z tych rzeczy, które się poznaje przy bliższym i dłuższym obcowaniu, może działać podniecająco, pobudzająco, może budzić upodobanie, sprawiając, że pierwsze, powierzchowne zainteresowanie narasta i wzbogaca się, a wraz z tym nasila się i wzbogaca uczucie, jakie się stopniowo rodzi między dwiema osobami.

Przy tym wzajemnym poznaniu się i „studiowaniu” nie brak oczywiście omyłek i przedwczesnych, błędnych diagnoz. Liczne sprzeczki i kłótnie, obrażania się, częste „zrywanie ze sobą” (po których następuje tym miłsze godzenie się) zakochanych wynikają z nadmiernej drażliwości i uczulenia na postępowanie ukochanego czy ukochanej. Poza tym często u ich podstaw leży błędna ocena charakteru, motywu itp. Te nieporozumienia miłosne spełniają ważną rolę we wzajemnym poznawaniu się i „dopasowywaniu”. Tylko w starciach i konfliktach ujawniają się bowiem główne rysy osobowości (siła, stanowczość, ambicja chłopca, wrażliwość, duma, uczciwość dziewczyny itd.) i tylko poprzez takie starcia i konflikty dokonuje się proces stapiania się i wzajemnego docierania się, co leży u podstaw każdej poważniejszej więzi uczuciowej między ludźmi. Zarówno okresy pełnej harmonii, jak i okresy nieporozumień między kochającymi się wypełniają treścią ich życie, które dzięki uczuciu nigdy nie jest w sferze osobistej puste i pozbawione treści, które pulsuje nastrojami i wydarzeniami, nawet wtedy, kiedy tej drugiej osoby chwilowo nie ma przy nas, gdy jest nieobecna.

Dzięki temu miłość dwojga ludzi gruntownie ich przeobraża, rzeźbi ich charaktery, umacnia wolę, dokonuje zasadniczej zmiany w samopoczuciu i to na długo przedtem, zanim dojdzie do największych zbliżeń i pełnego zjednoczenia.

Co zostaje z tej wielostronnej i złożonej całości psycho-

logicznej u chłopca, który „załatwia” dwie „babki”, który łąduje z dziewczyną w łóżku czy na ławce parkowej w kilka godzin po poznaniu? Nic. Nic, poza kilkunastoma minutami powierzchownych, naskórkowych doznań czysto seksualnych, które zresztą ulegają ogromnemu spłyceciu, budząc, jak pisał mój korespondent, „nieszczegółne” lub „prawie żadne” przeżycie przyjemności i zadowolenia.

Rekordoman lub rekordomanka przeskakuje wszystkie etapy miłości, niezbędne do tego, aby miłość w ogóle nie stała się miłością. Jak niecierpliwe i głupie dzieci zrywają oni zielone zawiązki owoców i dziwią się potem, że mimo takiego „powodzenia” i „sukcesów” mają mdłości i niesmak w ustach. Nie podziwiajcie rekordomanów, ale współczujcie im, bo oni, mimo dziesiątków odbytych stosunków, nie wiedzą nic o rozkoszy i bogactwie, jaką ta dziedzina może oferować ludziom, którzy umieją z niej korzystać.

Nieponaglanie i nieprzyśpieszanie rozwoju spraw między dwójgiem osób ma zasadnicze znaczenie również dla przebiegu pierwszego zbliżenia. Chodzi o to, że sprawy seksualne między ludźmi kochającymi się są spowite siatką zobowiązań i długów moralnych, obiekcji i skrupułów, wątpliwości i obaw, których nie ma zazwyczaj w stosunku do osoby obojętnej, pierwszej z brzegu. Inaczej mówiąc — tylko wtedy, gdy życie seksualne splata się z więzią uczuciową, jest ono pełne, bogate i naprawdę ważne. Ale też wtedy staje się ono o wiele trudniejsze i bardziej skomplikowane. List czytelnika, który żalił się na to, iż nieoczekiwanie zawiódł w stosunku do ukochanej, choć nie zawodził wiele razy w stosunku do osób mu obojętnych, był pod tym względem bardzo typowy. Można powiedzieć niemal z pewnością, że czytelnik ten (i wielu innych piszących do mnie, a znajdujących się w analogicznej sytuacji) chciał coś niesłusznie przyspieszyć, przynaglić w rozwoju ich miłości, chciał przeskoczyć jakiś etap, który jeszcze został do przebycia. To, co było proste w stosunku do wielu przypadkowych znajomych czy przelotnych „sympatii”, okazało się wcale nie takie proste w stosunku do osoby, którą pokochał naprawdę głęboko. Jak

długo życie seksualne traktuje się automatycznie, jedynie jako zjednoczenie narządów płciowych, tak długo (na ogół) jest ono proste, ale prostotą ubóstwa i pustki. Z chwilą kiedy staje się ono częścią skomplikowanych procesów dostosowywania się i wzajemnego uzupełniania się dwóch osobowości, kiedy akt zjednoczenia fizycznego traktuje się jako najwyższy wyraz dokonanego i wciąż dokonującego się zjednoczenia dwóch pełnych osobowości ludzkich, wtedy życie seksualne przestaje być proste. Jest ono wtedy uzależnione od stopnia dojrzałości różnych składników tego złożonego stosunku, jaki w miłości wytwarza się między osobnikami. Ilości i jakości zadowolenia i poczucia mocy, jaką człowiek w wyniku takiego zjednoczenia osiągnie, nie można porównać z odczuciami, jakie dają byle jak i ile razy się da „odwalane numery”. Ale droga, jaką się do tego dochodzi, jest dłuższa, bardziej skomplikowana i trudniejsza. Analogii nie brak choćby w gastronomii i sztuce kulinarnej — tort to tylko mąka, masło, cukier, kakao, jajka itd, ale trzeba wielu złożonych zabiegów kucharskich, aby z tych składników powstał tort mocca czy czekoladowy. Ktoś, kto zje oddzielnie i na surowo mąkę, cukier, kakao i jajka, nie pozna smaku tortu czekoladowego, choć zjadł to wszystko, co w takim torcie się znajduje.

Wielokrotnie odpisuję na listy, w których młodzi ludzie domagają się szczegółów, niemal gotowej w punktach opracowanej instrukcji, jak należy przystępować do założeń miłosnych. Zazwyczaj odpisuję, że nie mogą oczekiwać gotowej recepty, a uzasadniam to tak, jak we wstępie niniejszego szkicu — że wprowadzić pełną racjonalizację do dziedziny miłości, to pogrzebać samą miłość. W niepokojach i poszukiwaniach tkwi bowiem połowa (niektórzy mówią „większość”) rozkoszy samej miłości, a odkrywanie kolejnych tajemnic i możliwości, jakie się w tej dziedzinie kryją, jest równie cenne, piękne i wzbogacające człowieka, jak ich sprawne i umiejętne przeżywanie.

Niemniej jednak jakieś minimum wiedzy w tej dziedzinie jest chyba niezbędne, bo inaczej może dochodzić do takich sytuacji, w jakiej znalazł się pewien Wasz starszy

kolega (lat 26, po studiach), który napisał do mnie, że — rzekomo z powodu wieloletniej masturbacji — nie jest w stanie dzisiaj nawiązać normalnych stosunków z żadną kobietą. Ponieważ list był alarmujący, zgodziłem się odbyć z nim rozmowę. Dopiero ta rozmowa ukazała mi, jak — na skutek splotu okoliczności życiowych i odległej od tych spraw specjalizacji zawodowej — kompletna może być ignorancja u mieszkańca stolicy w XX wieku. Po prostu mój bardzo miły (i bardzo zmartwiony) rozmówca wyobrażał sobie, że nawiązanie bliższego kontaktu między dwojgiem osób dokonuje się tak „rzeczowo” i „konkretnie”, jak na przykład umowa o kupno samochodu. Podejmowane przezeń dotąd próby wyglądały mniej więcej w ten sposób: upatrzywszy sobie kondydatkę na partnerkę, znając ją nieraz dzień lub dwa, stwarzał warunki sprzyjające intymnemu odosobieniu (np. wspólna wyprawa kajakiem), po czym przy pierwszej okazji czynił jej z naiwnością dziecka otwartą i konkretną propozycję, której treści możecie się domyślić. Nie trudno również się domyślić, jaka była z reguły odpowiedź zainteresowanej, gdy tak obcesowo, ni stąd ni zowąd, padała wyraźnie słownie sformułowana propozycja. Mój rozmówca był dosłownie zdumiony, gdy dowiedział się ode mnie, że żadna normalna i porządna dziewczyna po prostu nie mogła przyjąć takiej propozycji, jak również, że żaden choć trochę znający życie mężczyzna nigdy nie robi takich propozycji kobiecie.

Po skończonej rozmowie wyszliśmy na ulicę. Staliśmy właśnie na rogu Placu Trzech Krzyży: — A teraz niech pan zdejmie spodnie — powiedziałem zdecydowanie. — Ależ... jak to?... dlaczego? — spojrzał na mnie przerażony, najwidoczniej podejrzewając, że zwariowałem. — Wstydzi się pan? Ale gdybyśmy byli na plaży i postanowili wykąpać się, to nie miałby pan ani sekundy wahania i zrobiłby pan to sam, bez mojego wezwania, prawda? — Wciąż nie rozumiał: — Przecież na plaży to coś całkiem innego. Tam jest taka sytuacja, że się zdejmuje spodnie...

Roześmiałem się. — No, widzi pan. Moje słowa odczuł pan tak samo, jak tamte dziewczęta odczuwały pańskie

oferty. Tylko, że one były bardziej zaszokowane niż pan. Wtedy też nie było, proszę pana, żadnej sytuacji, która by upoważniała do czegokolwiek między wami. Niech pan wpiery stworzy taką sytuację, a wtedy wszelkie słowne oferty nie będą potrzebne. Dojdzie do tego jakby poza i ponad waszą wolą, będzie to naturalnym wynikiem tej sytuacji, której na imię miłość, sympatia, pociąg, przywiązanie itd. itd.

Ta sytuacja, o której mówiłem mojemu rozmówcy, to stan gotowości i przyzwolenia, zgody na odbycie aktu płciowego, który właśnie jest produktem szeregu wstępnych faz i etapów miłości. Z reguły powstają dwojakiego rodzaju „stany gotowości”. Po pierwsze: w wyniku dłuższej znajomości, wzajemnego poznania się i coraz głębszych więzi zadzierzgujących się między dwojgiem ludzi, nie tylko w płaszczyźnie uczuciowej, ale i umysłowej, moralnej, światopoglądowej, ideologicznej itd. rodzi się zasadniczy typ gotowości, którą można by oddać zwrotem: „Tak jest, to właśnie Ona”. „Tak jest, to właśnie On”. Jednocześnie już istnieje i daje znać o sobie słabiej sformułowana przez nią, wyraźniej przez niego ta druga gotowość, którą można by oddać zwrotem: „To właśnie z Nim”, albo „To właśnie z Nią...”. Dopiero wraz z rozwojem miłości, przez wszystkie kolejne etapy i fazy rozwojowe (które mogą przebiegać szybciej lub wolniej, lecz zawsze trwają czas jakiś) ta druga gotowość zaczyna wybijać się na czoło, w miarę jak erotyczna i seksualna część związku dwojga osób, dojrzewając, coraz wyraźniej dochodzi do głosu i coraz natrętniej zaczyna domagać się spełnienia i zadośćuczynienia. To jest zresztą logika życia, bo przecież tak czy inaczej, sens miłości, jej wyraz najwyższy tkwi w tym spełnieniu i zadośćuczynieniu. Wtedy to zostają napisane listy (szczególnie często przez dziewczęta), w których czytam:

„...Czuję, że to się zbliża, że nieuchronnie nadchodzi i bardzo się deŹerwuję i waham. Dotychczasowe formy wyrażania naszych uczuć nie wystarczają już ani mnie, ani (od dawna) jemu. Był jednak subtelny, czuły, nie nalegał, choć wiem, ile go to nerwów i zdrowia kosztowało.

A teraz i ja tego pragnę, choć jednocześnie boję się ogromnie...".

Są to pulsujące namiętnościami i moralnymi wątpliwościami listy młodych dziewcząt i mężczyzn, którzy przeszli już pierwsze, zasadnicze i wstępne fazy miłości, którzy osiągnęli już stan „pierwszej gotowości”, dokonali już wyboru, że „to właśnie On (Ona)”, a teraz wstępują w trudną, niebezpieczną, pełną walki i oporów fazę osiągnięcia „drugiej gotowości”, że „to właśnie z nim, teraz, już”. Nie mówili o tym otwarcie, nie składali sobie żenujących obie strony słownych ofert, jak to chciał robić mój niefortunny czytelnik, a jednak czują oboje, że to nadchodzi, że sytuacja dojrzewa między nimi i teraz kłopotczą się o to tylko, czy to ma już teraz nastąpić, czy jeszcze nie, czy czekać aż po ślubie, czy nie (dziewczęta), jak też troszczą się o to, aby wszystko było jak najlepiej (chłopcy).

Każdy taki list, pełen rozterki i wątpliwości, upewnia mnie, że mam do czynienia z pełnym, nie okaleczonym uczuciem, że ci ludzie coś naprawdę przeżywają, coś odczuwają, że czują się za coś odpowiedzialni i troszczą się wzajemnie o siebie, z miłości do drugiej osoby.

Inny temat wielu listów i wielu niepokojów: „Jak dać dziewczynie do zrozumienia, że się ją kocha, że interesuje nas bardzo, że chcielibyśmy być jej bliscy, coraz bliżsi?...”. Oczywiście, nigdy w ten sposób, jak to próbował robić przedstawiony pechowiec, tzn. nigdy metodą „kawę na ławę”. (W tym miejscu jedna uwaga „tylko dla dziewcząt”: Pamiętajcie, że tylko całkiem sporadycznie taka otwarta, brutalna oferta bywa rezultatem nieświadomości i nieśmiałości mężczyzny. O wiele częściej takie oferty wygłaszane bez pardonu i bez ogródek wysuwają cyniczni i traktujący Was jako „towar” „obrabiacze” i „podrywacze” „babek”. Pędźcie więc w diabły takich zalotników, którzy proponują Wam nieuczciwy handel, w którym zażądają od Was wszystkiego, nie dając w zamian nic lub prawie nic. Prawdę mówiąc, tzw. „łatwe babki” mają -- mówiąc przerośnięcie -- większe obroty handlowe, ale znacznie mniejsze zyski. A i chłopcy też korzystając chętnie z ich łatwej „gotowości” szanują i cenią bardziej te trud-

niejsze, które trzeba zdobyć i na które trzeba zasłużyć. Ambicja męska im mówi, że to nie sztuka mieć tó, co może mieć każdy, ale mieć to, co nikomu lub niewielu się udało, to dopiero rzecz godna uznania i pozazdroszczenia, bo to dopiero jest sprawdzianem ich własnej siły i wartości męskiej).

Wstępne etapy miłości, poprzedzające współżycie płciowe, doprowadzają do pogłębienia wiedzy o partnerze także w dziedzinie ważnej dla spraw seksualnych. Rozmowy i słowne zalecania się pozwalają poznawać wzajemne upodobania, poglądy i przesady także w dziedzinie miłości i życia seksualnego. Wspólne chodzenie na filmy i omawianie ich treści, sylwetek bohaterów, zachowania w poszczególnych sytuacjach życia, szczególnie miłosnych konfliktów i dramatów pozwalają obu stronom poznać gusty partnera, jego poglądy na sprawy płci, stwarzają okazję do poznawania ocen partnerki czy partnera na poszczególne sposoby zachowania się seksualnego. To bardzo ważne wiedzieć, co ktoś lubi w tej dziedzinie, a co go razi i mierzzi, napawa obrzydzeniem — czy dziewczyna „kocha się” w Marlonie Brando czy w Gregorym Pecku.

Tę samą rolę spełnia dzielenie się na randce uwagami o przeczytanej książce lub spostrzeżeniami (niewinnymi „plotkami”) o postępowaniu znajomych kolegów i koleżanek. Wspólne marzenia o przyszłości, o tym, jak się w życiu „ustawić”, co by się chciało robić, jak by się urządziło mieszkanie — to także cała kopalnia tematów, ułatwiających bliższe poznanie się, uzgodnienie poglądów, smaku, gustów, ocen. W ten sposób pośrednio odpowiedziałem na pytania: „o czym mówić z dziewczyną na randce”, ale tylko po to, żeby przekonać Was, że główną ani wyłączną treścią takich spotkań wcale nie musi być „czulenie się”, które znudzi się po kilku razach przez swą monotoność i powtarzalność. We wszystkich rozmowach „tematycznych” można zawrzeć nie mniej uczuć, kokieterii i zalotności niż w pustym „mizdrzeniu się, a opowiadając o swych zamiarach na przyszłość, o planach życiowych można nieraz lepiej „zaimponować babce” swoją siłą, zdecydowaniem, ambicją męską niż chodzeniem na rękach

po poręczy mostu czy wyłamywaniem jej rąk, dla udowodnienia mocy swych bicepsów.

Wróćmy jednak do tematu. Jak „dać znać”, „jak dać do zrozumienia dziewczynie?...”. Takie kłopoty trapią tych przede wszystkim, którzy myślą od razu i wyłącznie o mecie, a nie o samym biegu, którzy w myślach przeskakują etapy i chcieliby je przeskoczyć w praktyce. Można powiedzieć nie bez racji: Ilekroć nie wiesz, „jak dać znać dziewczynie”, tylekroć myślisz o tym za wcześnie. Kiedy nadejdzie pora, kiedy samo uczucie dojrzeje, a więc między Wami okrzepnie, wtedy sama zrozumie, choćbyś nie dawał jej o tym znać w formie słownej. (Tutaj jedna uwaga: ta wskazówka nie dotyczy osób chorobliwie nieśmiały, o których pomówimy oddzielnie).

Chodzi o dojście w wyniku długotrwałego i wielopłaszczyznowego obcowania dwojga osób (nauka, zabawa, praca, działalność społeczna, wspólne zainteresowania itd) do wytworzenia się takiej temperatury uczuciowej między nimi, że „ta sprawa” samorzutnie staje jako problem między obojgiem (porównaj list dziewczyny cytowanej wyżej). Następuje wówczas stopniowe narastanie „stanu gotowości” w drugim sensie tego słowa. I tutaj znów uczestniczą wszystkie (dosłownie wszystkie) zmysły i władze umysłowe człowieka. Rozmowy, które we wcześniejszym okresie były tylko życzliwe i przyjacielskie, szczerze i przyjemne, stają się coraz cieplejsze, serdeczniejsze, aż do napełniających przyjemnością słów pieszczotliwych, do wymyślania pieszczotliwych nazw i przezwisk, do układania własnego języka miłosnego włącznie. Pieszczotliwe nazwy wywołują głębokie przeżycie przyjemności, aż do rauszu miłosnego. Słowa, które dla postronnego słuchacza brzmią głupio lub śmiesznie, zakochanych wprowadzają niemal w stan zachwycenia. Czasem znów (to zależy od typu psychicznego) — na odwrót, faza końcowa zaznacza się milczeniem, trudnością w mówieniu: Między takimi zakochanymi zalegają minuty wieloznacznego milczenia i wtedy potężnieje rola delikatnych, początkowo nieśmiałych, ale z czasem coraz namiętniejszych min i gestów. Chłopiec albo robi się coraz bardziej nieśmiały, czerwieni się o byle

co, albo też coraz bardziej natrętny i agresywny. Dziewczęta reagują na nową fazę miłości bądź onieśmieleniem i jak gdyby „cofnięciem się w siebie”, bądź też wybuchają również o byle co gniewem i oburzeniem („co Ty sobie myślisz”, „za kogo mnie masz”). Oboje odczuwają narastający niepokój, w przeczuciu zbliżania się rozstrzygającego momentu.

Pocałunki, które w początkowych okresach miały charakter przypadkowy i doraźny, stają się coraz dłuższe, namiętniejsze i coraz bardziej zaborcze. Zakochani odkrywają wymowę pocałunku — to, że w zależności od miejsca ciała, na którym jest składany, czasu trwania i sposobu całowania, może wyrażać uczucia całkowicie różne — od letniej sympatii, do szczytowej uniesień, w których obie strony często ledwo panują nad sobą i odrywają się od siebie (jak piszą) „dosłownie w ostatnim momencie”. Pocałunki odgrywają ogromną rolę w wytwarzaniu stanu ostatecznej gotowości, dlatego też żadna rozsądna dziewczyna nie pozwala, poza czysto zdawkowymi pocałunkami w ramach flirtu przyjętego w niektórych środowiskach młodzieżowych, osobie obojętnej albo przypadkowej na całowanie siebie w pełnej skali możliwości w tej dziedzinie. W gruncie rzeczy narastanie skali i stopnia pocałunków jest niemym udzielaniem odpowiedzi „tak” na nie wypowiedziane pytanie „czy można”? Dlatego też mają rację ci chłopcy oburzający się na dziewczęta, które zgadzały się na narastanie namiętności pocałunków, a mówiły „nie” dopiero na półmetku, czy tuż przed metą. Pamiętaj — całując, upoważniasz — i nie miej potem do chłopca pretensji, że zachowa się natrętnie. Pocałunek — jeśli nie dotyczy rodziców lub osób, które w ogóle nie liczą się jako obiekty naszych zainteresowań erotycznych — jest zawsze czynem seksualnym i jedną z faz ostatecznej gotowości. Oto co na ten temat pisze szwajcarski seksuolog dr medycyny W. Morgenthaler (w cytowanym już dziele „Der Mensch in Geschlecht, Liebe und Ehe” — str. 61): „Od nieśmiałych pocałunków składanych na czole, policzkach, oczach i skroniach oraz uszach, a przede wszystkim na ustach będących początkowo deli-

katnym wzajemnym dotykiem się i przyciskaniem warg, dochodzi do wprowadzenia języka, dotykania nim wnętrza jamy ustnej i wymiany śliny. Później stopniowo zaczyna się całowanie innych okolic ciała: szyi i barków, rąk i ramion, stóp i nóg, wreszcie przykrytych części ciała...". Skróciłem znacznie ten opis, bo sądzę, że zakochani sami doskonale odkrywają różne sposoby całowania.

Coraz większej wymowy i żywości nabierają w tej fazie dotyki i to od całkiem niewinnej rozkoszy spaceru ramię w ramię, ręka w rękę (czy „pod rękę”), od obejmowania się i „wieszania się” na sobie, do najrozmaitszych głaskań się itd. itd. Im te pieszczoty dotykowe są częstsze, śmielsze, im żywsze przeżycie przyjemności wywołują, tym pełniejszy staje się „stan gotowości”, choćby nie padało przy tym ani jedno słowo na ten temat, lub raczej, choć z reguły żadne słowo na ten temat nie pada. Jest to właśnie stopniowe rozwijanie się i narastanie tej „sytuacji”, której wiecznie brakowało mojemu nieszczęśliwemu 26-letniemu rozmówcy. Przy czym uwaga: wszystkie do-



znania w tej dziedzinie mają charakter narastający, przebycie jednego etapu prowadzi do następnego, dawny sposób, dawna pieśczość, jak trafnie zauważyła autorka cytowanego listu, „przestają wystarczać” i to jest właśnie to stopniowe zbliżanie się do najwyższego wyrazu uczuć, jakim jest pełne zjednoczenie fizyczne i duchowe.

Przez wszystkie etapy miłości, przez wypracowanie „stanu gotowości” następuje poznanie się wzajemne, przyzwyczajenie się, złagodzenie zahamowań i lęków, stale narastające poczucie bliskości i swojskości, wytwarzają się pewne nawyki, a także umiejętność różnicowania i odświeżania repertuaru doznań i przeżyć.

Jak smutno i ubogo na tym tle wyglądają „rekordziści ilościowi”, u których od poznania kobiety do osiągnięcia końcowego etapu mija kilka dni lub nawet kilka godzin.

Inaczej niż inni

Nasze dotychczasowe rozważania udowodniły jedną prawdę, że prócz biologicznych narodzin, każdy z nas pewnego dnia rodzi się ponownie jako istota seksualna i że te narodziny są często związane z walką, z konfliktami i niepokojami. Nurt seksualny człowieka da się wyśledzić także w dzieciństwie, na długo przed okresem dojrzewania, niemniej jednak dojrzewanie płciowe jest zawsze odczuwane jako wyraźny przełom, jako narodziny nowego i zupełnie innego „ja”. Niepokój i walka z budzącym się popędem płciowym jest z reguły odczuwana jako przykrość, nawet wtedy, kiedy wszystko przebiega normalnie i człowiek nie napotyka na swej drodze innych barier poza obyczajowymi i technicznymi. Jeśli jednak do tych konfliktów i trudności dołączają się zasadnicze defekty fizjologiczne i psychologiczne, wtedy walka ta nieraz ma charakter wręcz tragiczny.

„...Potrafiłem opanować masturbację i ograniczyć ją do sporadycznych wypadków, cóż z tego. Jest inna sprawa, która od dzieciństwa przyćmiewa mi całą radość życia — jest to skłonność do homoseksualizmu. Leczę się od lat. Ale skutków nie widać. Mam typowo kobiecą budowę ciała (tłuszcz na biodrach, ustawienie nóg pod charakterystycznym kątem do bioder). Wstydzę się lekcji gimnastyki, pobytu na plaży, wczasów. Unikam ludzi, nie chodzę po ulicach. Wydaje mi się, na czole mam wypisane „homoseksualista...”

(Uczeń, lat 17, wielkie miasto)

„...Sprawa, która mnie bardzo poważnie gnębi, to pociąg do osób tej samej płci, nie tylko do rówieśników, ale i do starszych osób. Mijam wielu młodzieńców obojętnie, a potem spotykam jednego, który mi się strasznie podobą i to, niestety, pociąga mnie specjalnie. Nie wiem co się ze mną dzieje, ale ja się naprawdę Kocham w mężczyznach. Snię o nich na jawie. Koło mnie mieszka pewien X. Jest o rok starszy ode mnie, w nim się naprawdę Kocham. On, oczywiście, nie wie o tym. Specjalnie staram się wyjść z domu, kiedy on wychodzi, aby się tylko spotkać i choćby powiedzieć „cześć...”

(Uczeń, lat 17. miasto powiatowe)

„...Jestem w kłopotcie i nie wiem, jak z tego wybrnąć, błagam Pana o radę. Mam 22 lata, jestem pracownikiem technicznym. W 11. roku życia rozwinął się we mnie dziwny pociąg do podglądania nagich chłopców i mężczyzn. Potem zakochałem się w starszym o 5 lat od siebie chłopcu, z którym wspólnie oddawaliśmy się „zakazanym zabawom”. Kochałem go, ale prześladowała mnie myśl, że tego robić nie wolno. Leczę się od lat w poradni zdrowia psychicznego i u lekarzy seksuologów. W międzyczasie miałem liczne doświadczenia homoseksualne. Mając 16 lat i chcąc się wyleczyć z homoseksualizmu, zresztą za radą lekarza, zacząłem odbywać stosunki z kobietami. „Technicznie” były bez zarzutu, tylko że ja czułem do kobiet wstręt i nigdy z kobietą nie przeżyłem uczucia rozkoszy. Co więcej, ożeniłem się. Ale i to nie pomogło. Co ja mam dalej robić?...”

(Technik, lat 22. wielkie miasto)

„...Jestem bardzo przystojny i panny wręcz przepadają za mną. Cóż mi z tego, kiedy ja patrzeć na nie nie mogę. Jestem marynarzem i mogę mieć tysiące okazji, ale z nich nigdy nie korzystam. Ożeniłem się przed czterema laty, ale po kilku zbliżeniach fizycznych, zresztą „z musu”, nawet nie dotknąłem żony od lat. Atmosfera w domu jest ciężka. Całymi tygodniami nie rozmawiamy ze sobą. Sie-

dzę sam w swoim pokoju, żonie wyszukuję różne zajęcia, żeby mnie tylko zostawiła w spokoju samego. Za to przepadam za chłopcami, co przy mojej urodzie przychodzi mi bez trudu. Wystarczy pójść na punkt „zbiórki” istniejący w każdym mieście. Czy mam się przymuszać do kobiet? Nigdy tego nie zrobię. Nienawidzę ich!...”

(Marynarz, lat 24, miasto portowe)

„...Jestem nawet dość lubiany w towarzystwie i to w mieszanym. Ale za zgrabnymi nogami na ulicy oglądam się tylko dlatego, że inni tak robią. Odkryłem swoją naturę w przyjaźni z pewnym kolegą. Potem w tłoku tramwajowym byłem zaczepiany przez różnych panów młodszych i starszych, którzy korzystając z panującego ścisłu... Sam miałem pięć takich przygód. Nikt o tym nie wie. Ukrywam wszystko w sobie. Może pan uprzedzi w „Radarze” młodych chłopców o łowcach przygód w tramwajach. Proszę mi napisać, jak mam żyć. Czy mogę być pożytecznym i normalnym członkiem społeczeństwa, jeśli w tej dziedzinie jestem nienormalny? Sprawy seksu nie przesłaniają mi życia, nie jestem erotomanem, ale tak jak się układają, rodzą we mnie ciężki kompleks i jak chmura ciężą nad moją świadomością...”

(Uczeń, lat 18, wielkie miasto)

Nie będziemy wnikać w (sporne zresztą) kwestie źródeł i pochodzenia homoseksualizmu. Faktem jest, że istnieją osobnicy (obojsza płci, zarówno dziewczęta, jak i chłopcy), którzy od zarania życia seksualnego zdradzają niezwykle przesunięcie swych zainteresowań seksualnych z osobników płci odmiennej (co jest normą) na osobników tej samej płci. Czy jest ich wielu? Według badań seksuologów zachodnich odsetek homoseksualistów ma się wahać od 0,5% do 4% ogółu ludności. Jest to więc zawsze znakovita mniejszość, ale jeśli nawet przyjąć odsetek najmniejszy, oznaczałoby to, że w 35 milionowej Polsce istnieje 175 tysięcy osób borykających się ze swoją odmiennością seksualną. Wśród korespondencji, jaką otrzymuję od czy-

telników, listy od homoseksualistów stanowią około 2%. Tym, których ten problem nie dotyczy, niniejszy szkic ułatwi wyrobienie sobie jasnego poglądu na tę sprawę.

Sprawa homoseksualizmu jest stara jak świat. Obrosła w ciągu wieku uprzedzeniami i przesadami, potrzebuje gwałtownie przewietrzenia i snopa jasnego światła. Przede wszystkim odetnijmy się raz na zawsze od tych nazw i określeń, które kryją w sobie osąd i potępienie moralne: „grzech przeciw naturze”, „grzech sodomski”, „nienaturalna rozpusta”, „samcołość” itd. Homoseksualizm z racjonalnego punktu widzenia nie jest ani „grzechem”, ani „rozpustą”, a jeśli bywa „złem moralnym” i „rozpustą”, to tylko wtedy, kiedy łamie ustalone normy obyczajowo-moralne, ale wtedy za „zło moralne” i „rozpustę” uważamy także normalne heteroseksualne stosunki płciowe. Homoseksualizm jest niewątpliwie inwersją, odchyleniem od normy, przy którym zmienia się z reguły przedmiot popędu płciowego, może jednak pozostać niezmienione całe myślenie i wola, uczucia i dążenia. Jest to więc popęd płciowy, którego tor ulega jakby skrzywieniu, w wyniku czego sam przedmiot pożądania seksualnego ulega zmianie. Kiedy i w jaki sposób dokonuje się to przemienne w skutkach „skrzywienie” i „przesunięcie” w psychice, jest do dzisiaj w nauce sprawą sporną. Niektórzy wiążą to wyłącznie z pewnymi zaburzeniami hormonalnymi, szukając przyczyn w naruszeniu właściwej mężczyźnie proporcji i harmonii hormonów męskich i żeńskich (hormony żeńskie występują bowiem także u mężczyzn, podobnie jak hormony męskie u kobiet, z tym jednak, że inna jest wzajemna proporcja tych hormonów). Inni dopatrują się głównych przyczyn w pewnych przeżyciach i doświadczeniach z okresu dzieciństwa, jeszcze inni uważają, że z reguły chodzi tutaj o szkodliwe wpływy zewnętrzne (np. uwiedzenie) itd. Nie będziemy wdawali się w ocenę tych różnych stanowisk, choć są one, oczywiście, bardzo ważne dla ustalenia i możliwości wyprostowania owego „skrzywienia” w psychice, bo to już sprawa specjalistów-psychiatrów. Wydaje się niewątpliwie, że samo zjawisko nie jest jednolite, istnieje co najmniej kilka od-

mian homoseksualizmu, spośród których wymieniamy tylko dwie: prawdziwy (albo rzeczywisty) homoseksualizm i pseudohomoseksualizm albo homoseksualizm rzekomy.

Jeśli jakiś osobnik już od najwcześniejszych lat dziecięcych ma skłonność do interesowania się seksualnego wyłącznie osobnikami tej samej płci (np. w fazie „podglądactwa dziecięcego”), jeśli będąc chłopcem ciąży wyraźnie do towarzystwa dziewczynek i przedkłada zabawy dziewczęce nad chłopięce, jeśli w snach o treści seksualnej i w erotycznych marzeniach na jawie, np. przy masturbacji, jawią się mu zawsze osobnicy tej samej płci, jeśli w ruchach i gestach, a także często w budowie ciała zdradza wyraźne cechy płci przeciwnej (feminizacja chłopców, wirilizacja dziewcząt), wtedy można przypuszczać, że mamy do czynienia z przypadkiem prawdziwego homoseksualizmu, nawet wtedy, jeśli osobnik ten nie przeżył jeszcze żadnego doświadczenia homoseksualnego.

Jeśli jednak jakiś inny osobnik jest chwiejny w swoich zainteresowaniach seksualnych, jeśli raz śni lub marzy o mężczyznach, drugi raz o kobietach, jeśli tej chwiejności popędowego ukierunkowania towarzyszy wyraźna ogólna słabość charakteru, brak woli, który skłania go do ulegania okazjom do stosunków homoseksualnych (np. w warunkach internatu, więzienia, domu poprawczego itd.), jeśli ten osobnik jest zdolny do współżycia także z osobnikami drugiej płci, tylko że to sprawia mu mniejszą przyjemność, to można się domyślać, że mamy tutaj do czynienia nie z rzeczywistym zaburzeniem rozwoju psychoseksualnego, tylko z wyuczonym i nabytym zaburzeniem nastawienia psychicznego i zachowania seksualnego. I taki homoseksualizm nazywamy rzekomym lub nabytym pseudohomoseksualizmem.

To, co napisałem powyżej, ma tylko orientacyjny charakter. Bywa bowiem, że zdeklarowanymi homoseksualistami bywają osobnicy bardzo męscy z wyglądu i ze sposobu zachowania, jak również całkiem normalni seksualnie bywają osobnicy o bardzo kobiecym wyglądzie i sposobie bycia. W każdym uzasadnionym przypadku podejrzenia o homoseksualizm pełnej i pewnej diagnozy może

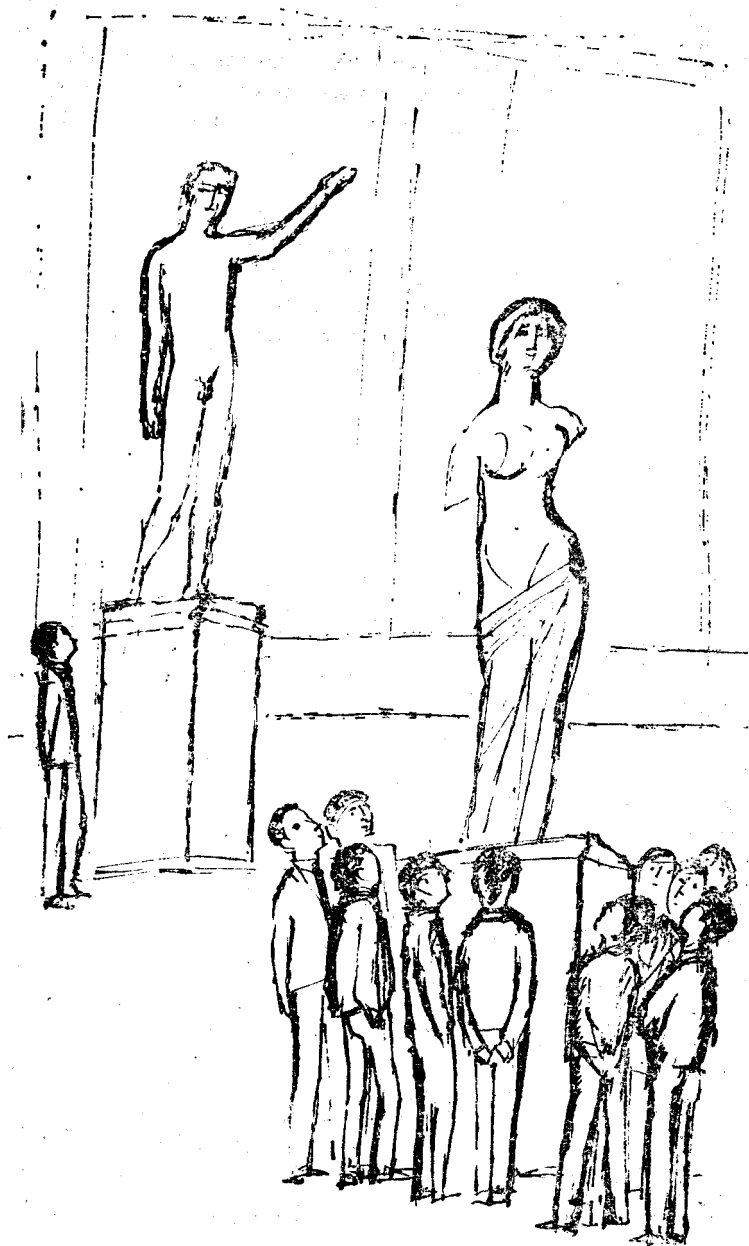
udzielić tylko lekarz psychiatra, na podstawie badań i oględzin chorego oraz szczegółowego wywiadu psychologicznego. Leczenie pseudohomoseksualizmu jest o wiele łatwiejsze i skuteczniejsze. Nieraz też występuje w tych przypadkach samowyleczenie, gdy dany osobnik uzyskuje warunki do normalnego życia płciowego, okrzepnie i lepiej się określi pod względem psychoseksualnym i charakterologicznym. Dotyczy to szczególnie licznych przypadków pseudohomoseksualizmu występującego wśród chłopców w okresie dojrzewania, szczególnie tych, którzy żyją i mieszkają w warunkach koszarowo-internatowych (zakłady wychowawcze, internaty, seminaria duchowne itd), w których wyłącznie męskie otoczenie, trudność nawiązania stosunków normalnych oraz charakterystyczny dla tego wieku lęk i niechęć do płci przeciwnej, przy jednoczesnej dużej aktywności seksualnej organizmu, czyni grunt szczególnie podatnym dla tego rodzaju zjawisk, zwłaszcza jeśli ma miejsce uwiedzenie.

Stosunek samych homoseksualistów do swojej niedoli jest bardzo różny i waha się od zupełnej apatii, przybicia i głębokiego kompleksu niższości, do poczucia dumy i manii wyższości. Także wśród moich homoseksualnych korespondentów znajdują się tacy, którzy myślą o samobójstwie i tacy, którzy uważają się za coś niepomierne wyższego od innych. Ci pierwsi cierpią z powodu swojej — jak piszą — „choroby psychicznej”, ci drudzy — chętnie powołują się na wielkie nazwiska Platona, Leonarda da Vinci, Oscara Wilde’a, Michała Anioła, André Gide’a i wielu innych, którzy przeżywali te same problemy. Ci pierwsi mniemają, iż ich osobliwość seksualna przekreśla ich w ogóle jako ludzi. Ci drudzy z faktu, że rzeczywiście sporo geniuszów było homoseksualistami, wyciągają fałszywy wniosek, że każdy homoseksualista jest geniuszem. Moim zdaniem, choć homoseksualizm nie jest cechą przekreślającą człowieka, jego wartość moralną i prawo do życia i do szczęścia, to jednak jest to osobliwość na pewno bardzo komplikująca osobnikowi życie i dlatego w każdym wypadku trzeba spróbować się leczyć. W obowiązującym u nas modelu obyczajowo-moralnym homoseksuali-

sta zawsze jest skazany na pędzenie podwójnego życia, a to, oczywiście, męczy go i rozstraja nerwowo. Homoseksualiści z reguły udają zupełnie zwyczajnych ludzi, pragnąc ze zrozumiałych względów nie dopuścić bliźnich do swojej tajemnicy. Nieraz nawet wypracowują sobie specjalnie opinię „kobieciarzy” i „uwodzicieli”, a czasem rzeczywiście uwodzą dziewczęta, nieraz nawet stają się nieślubnymi ojcami. Największe zło, jakie może wyrządzić rzeczywisty homoseksualista, to ożenić się. Małżeństwo nigdy nie jest lekarstwem na rzeczywisty homoseksualizm, łamie zaś zawsze życie kobiecie i prawdę mówiąc zatruwa życie samemu zainteresowanemu (porównaj cytowany list marynarza).

Wydaje się, że żaden uczciwy człowiek będąc homoseksualistą nie powinien zawierać związku małżeńskiego, dopóki nie nabrał pewności, iż kuracja lekarska wyprostowała jego odchylenie od normy lub przynajmniej doprowadziła do biseksualizmu, tzn. stanu, w którym reaguje się na podniety płynące od osobników obu płci i że będzie mógł pędzić z żoną normalne życie płciowe, nie czując do niej niechęci ani nienawiści. Jest to dodatkowy argument przemawiający za tym, aby koniecznie poddać się kuracji lekarskiej, gdyż godząc się na swoje odchylenie od normy homoseksualista pozbawia się możliwości ustabilizowania swego życia poprzez zawarcie związku małżeńskiego, posiadanie dzieci itd. Jak dalece to wszystko komplikuje i utrudnia życie, ile rodzi kompleksów i cierpień, nie trzeba chyba nikomu wyjaśniać.

Zainteresowani czytelnicy nieraz pytają w listach, jakie są szanse wyleczenia. Ścisłych gwarancji udzielić w tych sprawach nie można. Można za to powiedzieć ogólnie: więcej szans jest na wyleczenie się z homoseksualizmu rzekomego niż z rzeczywistego, więcej szans przy tym mają ci, którzy rozpoczynają kurację wcześniej, kiedy są młodzi, zanim utrwaliły się w ich psychice pewne skłonności i związki nerwowe, niż ci, którzy do tego przystępują po długich latach przyzwyczajenia do tego określonego i nienormalnego sposobu odczuwania i zachowania seksualnego. Radzę wszystkim zainteresowanym podjęcie



kuracji lekarskiej (zawsze długotrwałej) już choćby dlatego, żeby później nie mieli sobie nic do zarzucenia, oraz żeby mieli pewność co do rodzaju i charakteru swojej osobliwości. Wielu spośród korespondentów, nieraz mimo młodego wieku, przeszło już kuracje lekarskie i to, niestety, nieraz bez większego skutku. Ci właśnie stawiają inne pytania: „Jak mam żyć? Jak postępować, aby nie łamiąc obowiązujących praw i norm moralnych, ułożyć jednak sobie życie w zgodzie ze swoją osobliwą naturą?”

Na pytanie to niełatwo jest odpowiedzieć, ale przecież nie wolno przed nim stchórzyć i zastosować ogólnikowego uniku. Po prostu dlatego, że życie to nie boks i unikami życia się nie wygra. Przypatrzmy się najpierw, jak w praktyce układają sobie życie ludzie, którzy pewnego dnia znaleźli się w podobnej sytuacji. Dużo zależy, oczywiście, od temperamentu, siły popędu i siły woli danej jednostki. Jest wielu homoseksualistów, którzy poznawszy swą prawdziwą naturę nie dopuszczają do siebie myśli o praktycznych działaniach seksualnych z osobnikami tej samej płci i wyżywają swój odchylony od normy, ale wysublimowany popęd płciowy w pracy organizatorskiej i wychowawczej wśród młodzieży. Znajduje się takich platonicznych homoseksualistów wśród księży i nauczycieli, działaczy sportowych itd. Są to ubóstwiani przez młodzież wychowawcy i przywódcy „nie widzący świata poza młodzieżą”, poświęcający jej całe życie wszystkie chwile. Nawet najsurowszy moralista nie może takim ludziom nic zarzucić, tylko... że trudno oczekiwać, aby ten wzór zechcieli naśladować wszyscy, żeby na równie bohaterską, pełną wyrzeczenia sublimację tego popędu zdobyli się wszyscy homoseksualiści lub ich większość.

Niestety, o wiele częściej dzieje się całkiem na odwrót, tak jak piszą: marynarz i uczeń z wielkiego miasta. W dużych miastach całego świata istnieją różne punkty zborne i „miejsca spotkań”, na których homoseksualizm zostaje sprowadzony do najtrywialniejszych i najordynarniejszych działań homoseksualnych „z byle kim” i „byle jak”. Młody chłopiec, który dotąd w sposób nienormalny, ale przecież kochał się idealnie w jakimś mężczyźnie, ma-

rzył o wielkiej, serdecznej przyjaźni, nagle uczy się, że w tej dziedzinie nic nie jest ważne poza samym doznaniem seksualnym, które odarte z wszelkiej więzi uczuciowej, jakiegokolwiek podkładu uczuciowego nabiera rzeczywiście cech „męskiej prostytucji” i „męskiej rozpusty”. I to jest o wiele gorsze niż sam fakt odkrycia w sobie anomalii i osobliwości seksualnych. Anomalia bowiem tylko komplikowała i utrudniała życie, stoczenie się zaś do rynsztoku tramwajowo-kawiarniano-ustępowej prostytucji homoseksualnej wypacza samego człowieka, niweczy jego wrażliwość moralną, czyni go narzędziem czynów odhumanizowanych, a nieraz i przedmiotem szantażu ze strony polujących na frajerów „zawodowców”. Człowiek, który odkrył, że jest homoseksualistą, czuł, że jest inny, odmienny, ale nie musiał jeszcze czuć się „gorszym” od pozostałych ludzi.

Człowiek, który szuka zaspokojenia fizycznego w kłoece prostytucji i półprostytucji, czuje wstręt do samego siebie, czuje, że się stacza, że spada niżej, coraz niżej, i często nie znajduje już wyjścia dla siebie. Posiadam listy od osób, które przeszedłszy tę całą gehennę, podniosły na siebie rękę w zamachu samobójczym, lub też zapłaciły za orgię i wyzute z człowieczeństwa przeżycia homoseksualne ciężkimi psychozami, które trzeba było leczyć w zamkniętych zakładach psychiatrycznych. Cynizm, jawne demonstrowanie swego zboczonego seksualizmu, brutalne zgrywanie się na „mam gdzieś wszystko”, jest bardzo często tylko pozą obronną homoseksualistów, których w głębi duszy gnębi poczucie staczania się, marnowania życia i stopniowej degradacji moralnej.

Dlatego też trzecia kategoria homoseksualistów broniąc się przed taką degradacją szuka przyjaciół wśród młodych chłopców, jeszcze będących w wieku dojrzewania, których cechuje naturalna w tym wieku chwiejność psychoseksualna i łatwość nawiązania związków uczuciowych z osobnikami tej samej płci. Jeśli nawet jest to wyjście pomyslniejsze dla samych homoseksualistów, to na pewno jest ono społecznie i pedagogicznie niepożądane. Przede wszystkim ze względu na to, że dojrzewający chłopiec za-

czyna zbyt wcześnie życie płciowe (co jest dla niego szkodliwe), a także dlatego, że zaczyna je w formach chorobliwych, wypaczonych. Jeśli zaś przypadkowo chłopiec taki sam jest typem seksualnie słabo zdefiniowanym, chwiejnym, to może z takiego związku wyjść z utrwaloną skłonnością do nabytego homoseksualizmu (czyli do pseudohomoseksualizmu) i to z kolei jemu sprawi wiele życiowych kłopotów i trudności. Stąd też tak niebezpieczni są opisywani w jednym z listów „łowcy tramwajowi”, którzy skłaniają zupełnie normalnych chłopców do czynów nierządnych. Dla kilku minut egoistycznej przyjemności mogą oni wypaczyć dalszy rozwój młodego chłopca na całe lata, a niekiedy i na całe życie.

Pozostaje wreszcie czwarta kategoria, niestety, jak wynika z otrzymanych przeze mnie listów, najmniej liczna, grupa homoseksualistów, którzy nie mogąc lub nie chcąc się zdobyć na bohaterские wyrzeczenie się życia płciowego, układają je jednak tak, że ani sami nie podlegają przy tym degradacji moralnej, ani też nie deprawują innych, czyli nie biorą na siebie odpowiedzialności za „skrzywienie” życia popędowego drugiej osoby. Są to ci ludzie, którzy łączą swoje życie erotyczne i seksualne z innym osobnikiem obciążonym tą samą osobliwością — w ramach względnie trwałego związku przyjaźni i koleżeństwa. Dopiero przy takim układzie rzeczy można powiedzieć, że to, co zachodzi między nimi, jest ich prywatną sprawą, do której nikt nie ma prawa się mieszać. Dopiero też taki układ stosunków zabezpiecza samego osobnika przed przegraniem życia i stopniowym rozkładem moralnym, zaś całe społeczeństwo przed szerszeniem się tej anomalii na skutek uwiedzeń i złego przykładu. W gruncie rzeczy więc, patrząc na problem homoseksualizmu z punktu widzenia etyki niezależnej od religii, z punktu widzenia racjonalistycznego, trzeba życiu płciowemu i erotycznemu ludzi dotkniętych tą anomalią stawiać podobne wymagania i podobne ograniczenia, jakie stawia się innym heteroseksualnym jednostkom*.

* Polskie prawo karze wyłącznie prostytutkę homoseksualną, stoi więc również na tym stanowisku.

Podobnie też, jak to ma miejsce w stosunku do heteroseksualistów, o wartości człowieka z tego rodzaju odchyleniem od normy, o jego życiu, o pozycji społecznej, o randze jego dzieła życiowego decydować będzie nie to, jak i z kim zaspokaja swoje potrzeby seksualne (stanowiące zawsze tylko wycinek życia człowieka), ale jego postawa ideowo-moralna, efekty jego pracy społecznej i zawodowej, jego stosunek do innych ludzi, do obowiązków itd. Dlatego też wszystkim, którzy piszą do mnie w tej sprawie, odpisuję: „Przede wszystkim — lecz się. Jeśli się już leczyłeś i mimo dłuższej kuracji nie widać rezultatu, wtedy tak zorganizuj swoje życie, abyś sam nie ulegał degradacji moralnej i nie stracił szacunku dla siebie i żebyś nie był źródłem zgorszenia i komplikacji psychoseksualnych dla innych. Kiedy już to osiągniesz, wtedy we wszystkich innych dziedzinach życia żyj pełnią życia jak inni, wiedząc, że o wartości Twego życia i o ocenie Twojej własnej osoby rozstrzygają inne, pozaseksualne dziedziny, które stanowią co najmniej ponad $\frac{3}{4}$ naszego życia. Na swoją anormalną i komplikującą Ci życie dziedzinę seksualną nałóż tamy tak, żeby nie ciążyła nad resztą życia i tam dopiero, w tej o wiele szerszej reszcie życia pokaż, coś wart i ile potrafisz. Oto jedynie słuszna i bezpieczna droga postępowania. Nie Twoja to wina, że los Ci powikłał życie, ale od Ciebie zależy, czy życie to jako całość będzie wygraną czy przegraną. Serdecznie życzę Ci wygranej”.

Tylko dla nieśmiałych

„...Mam 20 lat, a jednak do tej pory nie przechodziłem żadnej miłości. Prawdę mówiąc unikałem jej, bojąc się, że nie podołam zadaniu, nie mając pojęcia o regułach rządzących życiem płciowym. Dlatego prosiłbym o jak najdokładniejsze wyjaśnienie tej dziedziny życia, w której jestem ciemnym neptkiem. Boję się, żebym nie sfuszował czegoś, bo mam teraz dziewczynę, z którą chodzę od pół roku, i kiedyś przecież muszę pokonać swoją nieśmiałość i zacząć...”

(Pracownik umysłowy, lat 20, małe miasteczko)

„...Mam lat 23. Pierwszą swoją miłość przeżyłem jeszcze przed kilku laty. Była to pierwsza, płomienna miłość. Lecz, niestety, była to miłość nie spełniona, zawiniła chyba moja nieśmiałość, skończyła się bowiem tylko na pocałunkach, a dalej to się wstydzilem, bo dziewczyna powiedziała: „nie”...”

(Nauczyciel, lat 23, wieś)

„...Mam lat 20, nigdy nie kochałam się, choć bardzo tego pragnę. Ale wiem, że to grzech i wstydzilabym się chłopcu spojrzeć w twarz, nawet mężowi. Kilku chłopców podobało mi się, ale żadnemu nie pozwoliłam się choćby pocałować, zresztą do wszystkich mnie potem wstręt ogarniał i nie mówiłam do nich. Taka zła byłam. Proszę Pana, czy ta dzikość i nieśmiałość minie z czasem, i czy to mi nie zaszkodzi jako żonie i matce...”

(Przy matce, lat 20, małe miasteczko)

„...Próbowałem niejednokrotnie nawiązać jakiś kontakt z dziewczętami, ale jestem bardzo nieśmiały, delikatny, dlatego wszystkie traktują mnie tylko jako kolegę...”

(Lat 24, duże miasto)

„...Jestem romantyczką, marzę o prawdziwej miłości, o jednym chłopcu. Ale jestem jednocześnie straszliwie nieśmiała, czuję więc wstręt do mężczyzn. Kiedyś zmuszałam się do pocałunków, potem brzydziłam się sama sobą, a na tych chłopców nie mogłam patrzeć. Wszyscy mówią, że mam prowokacyjną urodę, już nie jeden próbował, ale niczego nie dostał...”

(Studentka, lat 22, duże miasto)

W stosunku ludzi do spraw wymagających jakiejś decyzji i starania dadzą się wyznaczyć dwa bieguny — zuchwalstwo i nieśmiałość. Zuchwalec pomniejsza wagę trudności i przecenia własne możliwości, człowiek nieśmiały — na odwrót. Starorzymska maksyma mówi, że „audacem fortuna iuvat”, czyli „zuchwałym szczęście sprzyja”. Niektórzy tłumaczą to przez „zuchwalcy zawsze obrywają po głowie”. Niezależnie od tego, które „tłumaczenie” jest życiowo słuszniejsze, trzeba przyznać, że w życiu seksualnym ludzie nieśmiali mają na ogół o wiele więcej kłopotów niż zuchwali.

Listy od nieśmiałych mężczyzn i dziewcząt stanowią znaczną część korespondencji. Trzeba przy tym wyróżniać co najmniej dwa rodzaje nieśmiałości. Nieśmiałość bardzo młodych dziewcząt i chłopców (w wieku 15 — 16 lat), przed którymi cały dziewiczy świat płci majaczy dopiero w mroku jak ład nieznany, pełen niepokojących odgłosów i kuszących widoków. I — nieśmiałość ludzi dorosłych, takich jak autorzy cytowanych listów, których nieśmiałość pęta jak kajdany. Pierwszą nieśmiałość nazwałbym nieśmiałością naturalną i — prawdę mówiąc — źle byłoby, gdyby młodzieńcy chłopiec lub dziewczyna przez okres taki nie przechodzili. Nieśmiałość druga natomiast w pełni zasługuje na miano chorobliwej, a trwając i umacniając

się, może doprowadzić do różnych wykoślawień i zboczeń popędu płciowego. U jednych wyradza się ten popęd i ujawnia jako pedofilia — pożądanie skierowane na nie-dojrzałe dzieci, wobec których czują się mniej nieśmiali i mniej zahamowani, u innych — jako ekshibicjonizm, u jeszcze innych jako gwałtowna, nalogowa masturbacja itd.

Nieśmiałość jest bliskim krewniakiem strachu, z tym jednak, że podczas gdy strach jest reakcją negatywną na pojedynczą (zazwyczaj) rzecz lub sytuację, nieśmiałość jest uogólnionym stanem niepewności i lękliwości. Nieśmiałość można by nazwać „bezpiermiotowym” długotrwałym strachem, przy czym jest ona mniej ostra i mniej określona niż strach (co do siły natężenia), za to występuje stale i niemal we wszystkich okazjach. „Nieśmiałość — pisze amerykański psycholog Clifford T. Morgan (w „Introduction to Psychology”, 1962) — jest podobna do moskita w ciemności. Słyszycie, że jest blisko Was, ale nigdy nie wiecie dokładnie, gdzie, nie mogąc zaś go umiejscowić, nie możecie uwolnić się od niego”.

Pisałem już w poprzednich szkicach, jak destrukcyjną rolę w miłości i sprawach seksualnych odgrywa każda negatywna emocja.

Łatwo można sobie wyobrazić, jak niesłychanie utrudnia życie seksualne stała, natrętna skłonność do reagowania lękiem na najrozmaitsze sytuacje życiowe.

Cóż jednak się kryje za tymi licznymi zwrotami w listach „jestem nieśmiała”, „nieśmiałość paraliżuje moją zdolność działania” itd? Czy człowiek rodzi się nieśmiały, czy też staje się nieśmiały pod wpływem różnych czynników ubocznych? Ku pocieszeniu wszystkich nieśmiałych chłopców i dziewcząt można powiedzieć z całą pewnością: nieśmiałość jest cechą wyuczoną, a nie wrodzoną. Człowiek może się stać nieśmiałym na skutek błędnego wychowania i może w znacznym stopniu pozbyć się tej cechy dzięki samowychowaniu. Ogólnie można powiedzieć, że nadmierna nieśmiałość staje się cechą najczęściej tych młodych ludzi, którzy napotkali w swym życiu wiele surowości, przeżyli wiele stanów lękowych z powodu złego

losu (choroba, kalectwo), a także z powodu niewłaściwego postępowania rodziców, nauczycieli, czy kolegów. Jedną z najważniejszych przyczyn, dla których pedagogika zwalcza kary cielesne, jest właśnie troska o to, aby nie mnożyć w doświadczeniu dziecka stanów lękowych i ostrych reakcji strachu.

Chorobliwa nieśmiałość bardzo często łączy się z uczuciem wrogości do świata i ludzi. W cytowanych listach (szczególnie dziewcząt) odzwierciedla się to bardzo wyraźnie: oto zahamowane psychoseksualnie dziewczęta, które boją się wszelkich zbliżeń erotycznych (pragnąc ich gorąco!), reagują prawidłowo (w sensie psychologicznym) uogólnioną nienawiścią i niechęcią do chłopców w ogóle. To samo można powiedzieć o młodych mężczyznach, tzw. „wrogach kobiet”, którzy podświadomie ich pożądamy, a nie mogąc zdobyć, zaczynają je nienawidzić, poniżać w myśli i słowie, a nieraz stają się „protestacyjnymi” homoseksualistami lub ekshibicjonistami. Reakcja taka, choć szokująca, jest jednak prawidłowa, gdyż za każdym razem skierowana jest przeciw tym, którzy są powodem ich trosk, cierpień. A osoba chorobliwie nieśmiała nie zdobywa się na obiektywizm, aby ujrzeć przyczyny w sobie, a nie w Bogu ducha winnych dziewczętach czy chłopcach, których sparaliżowany (a) nieśmiałością nie umie zdobyć.

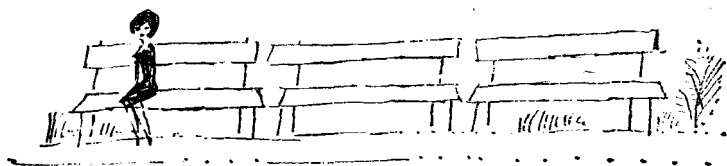
Psychologia współczesna nie jest w stanie udzielić pewnej odpowiedzi na pytanie, co jest w tych sprawach przyczyną, a co skutkiem. Czy pretensja do świata i wrogość jest skutkiem nieśmiałości, czy też nieśmiałość jest skutkiem niezaspokojonych potrzeb i odczuwanej wrogości? Jedno jest pewne, że ludzie chorobliwie nieśmiali są zawsze nieszczęśliwi. Przede wszystkim nieśmiałość i bojaźliwość rodzi stałe poczucie braku komfortu psychicznego, a w skrajnych przypadkach nawet stałe poczucie klęski i nieszczęścia, mimo że dotknięty nią może nie zdawać sobie sprawy z tego, co jest prawdziwą przyczyną jego życiowego „skwaszenia”.

Ponieważ przeżycia związane z nieśmiałością są przykre, człowiek dotknięty nią zaczyna unikać wszelkich sytuacji, które by wystawiały go na próby. Stąd nieśmiałe

dziewczęta nieraz zachowują się jak „niedotykalskie” pokrzywy, parzą i kłują każdego, kto chciałby się do nich zbliżyć. Nieśmiali chłopcy separują się od rówieśników, unikają grup mieszanych, dansingów, prywatek, towarzystwa, w którym opowiada się pikantne dowcipy, porusza tematy płci i miłości. Jedni i drudzy marzą i tęsknią do miłości, ale na zewnątrz, w praktyce robią wszystko, aby do tego nie dopuścić, a nawet sami sobie tworzą różne teorie, dlaczego tak postępują: „Bo to grzech”, albo „Dopiero, jak skończę studia”, albo „Bo ja nie jestem taka” itd.

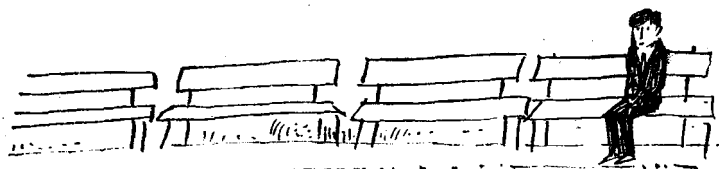
Zrozumcie mnie dobrze: zdarza się często, że ludzie odkładają rzeczywiście lub opóźniają swój start seksualny ze względu na przekonanie lub plany życiowe i to jest bardzo cenne i celowe. Ale bywa i tak, że przekonania i plany życiowe są jedynie wymówką, wykrętem stwarzanym dla samego siebie, dla osłonięcia własnej chorobliwej nieśmiałości wobec rzeczy, której gorąco się pragnie. Pierwszy przypadek świadczy o zdrowiu psychicznym i silnej woli, drugi — o zaburzeniach psychicznych i o słabej woli. Rozróżnić te postawy psychiczne jest łatwo. Człowiek rezygnujący z czegoś naprawdę w imię własnych przekonań i własnej koncepcji szczęścia nie czuje się z tego powodu nieszczęśliwy. Człowiek, który jedynie tłumaczy i wyjaśnia sobie *ex post*, za pomocą zasad lub planów życiowych własną niezdolność, szukający w nich wybiegu i ratunku przed sobą samym, jest zawsze niezadowolony z siebie, męczy się i odczuwa dręczący konflikt wewnętrzny.

Skala nieśmiałości jest bardzo różna. Od tak wybujałej bojaźliwości, że niemożliwy staje się rozwój jakiegokolwiek uczucia (nawet koleżeństwa), jakiegokolwiek więzi, nie mówiąc już o fizycznej (nawet w formie pocałunku czy uścisku) do łagodniejszych, kiedy uczucie, co prawda rodzi się i rozwija, ale nigdy nie bywa ujawnione wyrażnie, a nawet na odwrót nieraz na zewnątrz ujawnia się jako niechęć lub demonstrowana obojętność. Jeśli w życiu każdego człowieka troskliwy dobór obiektu swej miłości i doprowadzenie uczucia do pełnej dojrzałości, zanim



dojdzie do zbliżeń fizycznych, są bardzo ważne, to dla ludzi chorobliwie nieśmiałych te warunki stają się absolutnie konieczne. W skrajnych przypadkach chorobliwej nieśmiałości konieczna okaże się pomoc lekarza psychiatry lub psychologa. Oni potrafią określić, co w danym przypadku jest rzeczywistą przyczyną bojaźliwości i nieśmiałości, a co jest tylko dorabianą ad hoc teorią, mającą „wyjaśnić” samemu zainteresowanemu, dlaczego tak czy inaczej postępuje lub tego, czy czegoś innego zrobić nie może. Można np. podejrzewać, że dwudziestoletni mężczyzna domagający się ode mnie ścisłych danych także dorabia sobie pewną teorię mającą uzasadnić jego dotychczasową powściągliwość seksualną. Wszak tysiące jego rówieśników odkryło te sposoby, także nie posiadając wiedzy teoretycznej. Znam trzydziestokilkuletnich mężczyzn, którzy gorąco pragnąc udowodnienia sobie pełnowartościowości, dziesiątki razy doprowadzili sytuację do pełnej dojrzałości i zawsze w ostatniej chwili wynajdowali jakiś pretekst, aby od samego czynu odstąpić. „Spojrzała na mnie tak jakoś badawczo”, „Zrozumiałem, że kieruje nią wyrachowanie, a nie miłość”, „Pomyślałem, że ona na pewno chce mnie złapać na męża” itd. Takie przypadki wymagają psychiatrycznej lub psychologicznej terapii, gdyż nieśmiałość i bojaźliwość seksualna ma tu już znamiona psychopatologii.

O wiele częściej mamy do czynienia z łagodniejszymi formami nieśmiałości seksualnej, która tylko utrudnia, a nie uniemożliwia podjęcie życia płciowego. Są tacy, którzy rumienią się na samą myśl o obnażaniu się, co często jest związane z urojonym nieraz przekonaniem o wadach budowy organów płciowych. Dlatego na przykład w pedagogice anglosaskiej wielką wagę przywiązuje się do przy-



zwyczajenia dzieci i młodzieży do widoku nagości (porównaj np. Cyrilla Bibby'ego — „Wychowanie seksualne”, PZWL, 1961). U innych nieśmiałość seksualna wiąże się z niewiarą w walory własnego wyglądu lub intelektu. Dziewczyna, która uwierzy, że jest odrażająco brzydka, chłopiec, który jest przekonany, że jest głupi lub nieinteresujący intelektualnie — są tak zahamowani od początku każdej znajomości, że starają się od niej uwolnić, zanim druga osoba zbliży się do nich, choć w głębi duszy gorąco takiego zbliżenia pragną.

Młodzi ludzie na ogół nie są dobrymi psychologami i tylko wyjątkowo potrafią zrozumieć, co kryje się za zewnętrzными pozorami czyjegoś zachowania. Stąd też jest wiele nieporozumień i niepotrzebnych przykrości, gdy ktoś odwraca się od dziewczyny, tylko dlatego, że ta np. zareagowała na pierwszy pocałunek wybuchem gniewu czy oburzenia. A przecież im taka reakcja jest gwałtowniejsza i bardziej żywiołowa, tym silniejsze musiały być doznania i przeżycia dziewczyny związane z tym pocałunkiem. Gdyby było tak, jak sądzi niedoświadczony młodzieniec, że dziewczyna chciała wyrazić tylko niechęć osobistą w stosunku do niego (że właśnie z nim nie ma ochoty tego robić), wtedy przede wszystkim nie doszłoby w ogóle do pocałunku, a po drugie: zamiast wybuchu gniewu dziewczyna prawdopodobnie wzruszyłaby ramionami i powiedziała rzeczowo: „Nie wygłupiaj się, całowanie ciebie naprawdę nie sprawia mi żadnej przyjemności”.

Miłość ludzi bardzo nieśmiałych przejawia się nieraz w sposób zupełnie nieoczekiwany. Wasze listy ukazują całą gamę tych objawów, w których niewprawne oko młodego człowieka nie umie nieraz dostrzec gorącego zainteresowania.

I tak np. jedni pomagają ubóstwianej(emu) tylko w odrabianiu lekcji, w noszeniu książek do szkoły, w robieniu zakupów, w staraniu się o bilety do kina czy teatru — choć nigdy ani słowem, ani gestem nie zdradzają swych uczuć. Inni tylko prześladowają wybraną osobę swoją obecnością. Gdziekolwiek pójdzie, tam zjawiają się oni niby przypadkowo, ślepym trafem, ale gdy się spotkają, nie umieją jej (jemu) nic powiedzieć, niczym zagadać. Taki chłopiec idzie nadęty lub ponury obok swej miłości, ale to go męczy, więc żegna się szybko z ulgą, aby... natychmiast zacząć przygotowywać się do inscenizacji następnego, równie „przypadkowego” spotkania. Inni znowu — odwrotnie — zachowują się wobec obiektu swej miłości odpychająco, są niegrzeczni, opryskliwi, demonstracyjnie obojętni lub wrośli. Kiedy dojdzie do sytuacji, w której chłopiec zapyta: „Czy mnie kochasz?” lub „Czy chcesz chodzić ze mną?”, dziewczyna odpowiada prędko, twardo, ze złością: „Nie”, choć wszystko w niej krzyczy: „Tak”. Zupełnie jak w starym przeboju „Choć mówisz nie, oczy Twoje mówią tak...”.

Dlatego też zanim machniesz na kogoś ręką, zanim ustalisz, że on (ona): „Nigdy mnie nie pokocha”, „Nienawidzi mnie” dobrze przeanalizuj motywy i prawdziwą treść zachowania się obiektu Twego zainteresowania. Jeśli chłopiec czy dziewczyna w wielu innych sytuacjach (egzamin, życie towarzyskie, potańcówka, praca społeczna itd.) wykazuje również objawy nieśmiałości i pewnych zahamowań, jest wiele szans na to, że ich dziwne czy zniechęcające zachowanie w stosunku do Ciebie wynika z tych samych źródeł — z głębokiego tkwiącego w psychice zahamowania i nieśmiałości.

Pamiętaj: miłość to nie matematyka i gdy ktoś mówi „dwa” nie zawsze ma na myśli „dwa”, a równania miłosne mają zawsze nieskończoną liczbę rozwiązań.

Człowiek dotknięty kompleksem uogólnionej nieśmiałości może rozwijać w sobie rzutkość, odwagę i inicjatywę w szeregu różnych dziedzin, odległych od sfery płci (sport, nauka, twórczość, działalność społeczna), a odniesione sukcesy będą na zasadzie tzw. irradacji uczuć osła-

biać ogólną nieśmiałość i pomagać także w dziedzinie miłości i życia płciowego.

Jest jednak parę wskazań szczegółowych, które można stosować już w ściśle erotycznej i seksualnej dziedzinie życia człowieka nieśmiałego.

Jeśli nadmierna nieśmiałość uniemożliwia Ci okazanie swoich uczuć przy bezpośrednim kontakcie z osobą Cię interesującą, pamiętaj, że sto razy łatwiej jest coś napisać niż powiedzieć.

Jest to jeden z powodów tego, że otrzymuję setki listów od dziewcząt i chłopców na temat najintymniejszych spraw. Kunszt pisania listów miłosnych, stanowiących w literaturze odrębny, bogaty dział, wydaje się zanikać w XX wieku, ale zawsze listy zostaną najlepszym sposobem wyrażania uczuć przez ludzi chorobliwie nieśmiałych.

Jeśli jesteś nadmiernie nieśmiały (a) w sprawach uczuciowych, nie podejmuj żadnych prób z osobą mało znaną, z kimś, o kim nie masz pewności, że potrafi być wyrozumiały, taktowny i delikatny. Tobie szczególnie nie wolno niczego przyspieszać ani przeskakiwać etapów, bo nic z tego nie wyjdzie, a w wyniku porażki pogłębisz tylko swoją nieśmiałość i zahamowania.

Idealny stan rzeczy polegałby w tej sytuacji na tym, żeby obiekt miłości chłopca bardzo nieśmiałego okazał się bardziej rzutki od niego. Zwykle dopiero spotkanie na swej drodze życiowej dziewczyny czy kobiety bardziej energicznej, która przejęła rolę aktywną, właściwą zazwyczaj dla mężczyzn, stawia nieśmiałego, zakompleksionego chłopca na nogi i umożliwia mu start erotyczny.

Bardzo pozytywne skutki daje również szczere wyznaczenie dziewczynie tajemnicy swej „zieloności” w tej dziedzinie oraz odczuwanych kompleksów i zahamowań. Zgrywanie się na doświadczonego „chojraka” czy „kozaka” jest zabiegiem wręcz samobójczym.

Trudno oczekiwać, że związek dwóch zakompleksionych, równie nieśmiałych i zahamowanych osób przyniesie im obojgu potrzebne rozstrzygnięcie. Jest rzeczą pewną, że więcej szans na pokonanie trudności życia będzie miał ten ogarnięty chorobliwą nieśmiałością człowiek,

który sprzęże swój start z osobą wolną od tych zahamowań i kompleksów, bardziej od siebie przedsiębiorczą i doświadczoną, która z życzliwości i przywiązania zechce pomóc mu i okaże takt i wyrozumiałość.

Zawodne i niebezpieczne jest szukanie pomocy w tego rodzaju sytuacjach u łatwych (tzw. „puszczających się”) dziewcząt, do których chorobliwie nieśmiały chłopiec nie czuje żadnych uczuć, jak też u zupełnie zdeklarowanych prostytutek. Pomijając już wszelkie względy natury moralnej i estetycznej, chodzi przede wszystkim o to, że w stosunku do „puszczalskiej” czy wręcz prostytuującej się dziewczyny — nieśmiały chorobliwie chłopiec nie ma poczucia ufności, nie ma pewności, że nie zostanie wyśmiany, wyszydzony, gdy zdradzi się ze swą zupełną ignorancją lub też, gdy ta czy inna sprawa potoczy się nie tak jak powinna. W przypadku takim wszystko zostaje sprowadzone wyłącznie do czysto narządowych doznań i odczuwań, a te właśnie najłatwiej ulegają zakłóceniu w stanie lękowym, który jak cień towarzyszy uogólnionej nieśmiałości. Zaś ta — pozornie „najodpowiedniejsza” przez brak hamulców — partnerka okaże się najmniej odpowiednia, gdyż co prawda nie ma żadnych powodów, aby nie chcieć tego czy tamtego, ale też nie ma żadnych powodów do tego, aby okazać swemu partnerowi wyrozumiałość, takt i serdeczność, bez której może on okazać się niezdolny do niczego.

Higiena miłości

Proponuję na chwilę oderwać się od tych spraw uczuć i woli, od przeżyć wartości i kompleksów, od tych wyższych regionów psychologii, w których poruszaliśmy się w poprzednich rozdziałach, i zająć się przejściowo bardziej przyziemnymi sprawami. Raz po raz w listach Waszych stawiacie problemy higieniczne. Oto najczęściej spotykane:

„...Zauważyłem, że w odróżnieniu od kolegów mam niedrożny napletek (chłopcy mówią, że mój narząd jest „w baśniku”). Co robić? Czy trzeba tutaj jakiejs operacji i czy to się nie odbije na mojej zdolności do życia płciowego?...”

..(Uczeń, lat 16)

„...Proszę napisać, dlaczego od pewnego czasu zbiera mi się pod napletkiem jakaś biała maź? Może to jest ropa? Czy iść z tym do lekarza?...”

(Uczeń, lat 15)

„...Nie mogę przestać myśleć o tych rzeczach. Wciąż jestem rozdrażniony i podniecony. Już sama myśl, jakiś dowcip wystarczy, żebym się podniecił. Walczę z tym, staram się wypierać to z myśli, ale nic nie pomaga. Co najmniej połowa mych myśli krąży dokoła spraw płci. Trzy czwarte naszych rozmów z kolegami dotyczy „tych

rzeczy". Niepokoją mnie również zbyt częste zmazy nocne (a przecież nie onanizuję się). Proszę napisać, jak mam walczyć z tym swoistym zboczeniem umysłowym..."

(Uczeń szkoły zawodowej, lat 17)

„...Inni latają za babkami, wciąż o tym mówią, chodzą jak na szpilkach, a ja, choć nie jestem od nich gorzej rozwinięty fizycznie, nie znam takich niepokojów. Zajmuję się modelarstwem, sportem motorowym. Lubię „podrażnić” z kolegami. Podobają mi się ładne babki, owszem, ale żebym z tego powodu miał ze skóry wylazić? Czy jestem chory? Może to utajona impotencja? Choć przy zmazach wszystko niby jest w porządku. Dlaczego jestem inny? Czy trzeba może przedsięwziąć coś „na siłę...”

(Uczeń, lat 17)

„...Mimo że dbam o swoją urodę (regularnie chodzę do fryzjera, umiarkowanie się maluję, robię manicure i pedicure, stosuję różne mleczka do twarzy i maseczki kosmetyczne) i jestem nowoczesna pod tym względem, mam duże zmartwienie. Nie mam powodzenia na zabawach i potańcówkach. Jeden chłopiec powiedział mi, że nieprzyjemnie pachnę, choć używam wody „Mitsuko”. Skąd się to bierze? Co mam robić...”

(Urzędniczka, lat 20, małe miasteczko)

„...W trakcie stosunku cierpię na nadmierne wydzielanie śluzu z narządów płciowych, co może wpływać hamująco i odpychająco (...) Czy można temu zapobiec?...”

(Studentka, lat 20)

„...Nie wiem, na skutek jakiej przyczyny śluzówka moich narządów płciowych jest zawsze sucha. Domyślam się, że jest to przyczyną bolesności przy akcie i powodem do narzekań męża? Co robić?...”

(Studentka, lat 22)

„...Zauważyłam, że sprawia mi przyjemność, jeśli samo zbliżenie poprzedza jakaś awantura lub kłótnia. Nieraz marzę wprost, abym została pobita. Wiem, że to jest przejawem masochizmu i bardzo boję się zostać zboczoną. Co pan o tym myśli?...”

(Meżatka, lat 23)

Tym wszystkim moim korespondentom, których listy cytowałem, chodzi o dwojaką higienę miłości: higienę ciała i higienę psychiczną. I to jest zrozumiałe, bowiem sama miłość seksualna rozgrywa się jednocześnie na dwóch płaszczyznach — na płaszczyźnie fizjologii i na płaszczyźnie psychiki, oznacza bowiem pełne zjednoczenie dwóch duchowo-fizycznych osobowości. Nie można też powiedzieć, że jedna z tych płaszczyzn jest ważniejsza, a druga mniej ważna, podobnie jak nie można powiedzieć, co jest ważniejsze dla dobrego funkcjonowania kolei: tabor czy rozkład jazdy.

Higiena ciała

Ciało człowieka odgrywa ważną rolę w miłości seksualnej, dlatego też pytanie o to, czy trzeba o nie dbać i przestrzegać w stosunku do niego wskazań higieny, jest równie naiwne jak pytanie lekkoatlety, czy powinien dbać o swoją formę i kondycję. Ciało człowieka spełnia w miłości wieloraką funkcję: jest obiektem upodobania, ale również nadajnikiem oraz odbiorcą szeregu bodźców estetycznych i erotycznych — musi więc być w miarę możliwości zdrowe, ładne i zawsze czyste. Ciało człowieka jest ponadto narzędziem, środkiem fizycznego zjednoczenia ludzi, musi więc być sprawne, wytrzymałe, odporne, musi być w stanie poddać wszystkim obciążeniom nerwowym, stanom napięć i podniecenia, bez szkody, raczej odwrotnie — z pożytkiem dla dobrego samopoczucia i zdrowia. Dlatego też pierwsza reguła brzmi: dosłownie wszystko, cokolwiek możecie zrobić dla wzmocnienia, rozwinięcia

i ulepszenia swojego ciała i zdrowia (sport, kulturystyka, turystyka, opalanie się, gimnastyka, regularny tryb życia, racjonalne odżywianie się itd.), wszystko, czego żąda od Was higiena ogólna jest ważnym i bezpośrednim wkładem także do higieny seksualnej.

Jest niemal żelazną regułą, że młodzi ludzie cierpiący na przeróżne nerwice, zaburzenia i kłopoty seksualne, nie uprawiają żadnego sportu, nie gimnastykują się, nie grają w piłkę, nie chodzą na trudniejsze wycieczki. Kluby, kawiarnie i dansingi, zakrapiane alkoholem pseudomajówki w parku czy nad rzeką, rżnięcie w „oko” czy „bridża”, a nawet (uważajcie) czytanie książek i chodzenie do kina — jeśli stanowią jedyną i wyłączną formę rozrywki i odpoczynku, pośrednio bardzo sprzyjają rodzeniu się różnych anomalii i trudności również w życiu płciowym. Wszystkie wymienione zajęcia i rozrywki (wyjawszy wódkę) są same w sobie nieszkodliwe, a w zespole innych zajęć (ruchowych) mogą być pożyteczne i potrzebne. Kiedy są jednak jedynym sposobem wypełniania czasu wolnego, stają się w naszym życiu chwastami. Jednostronny rozwój Waszych zainteresowań, rezygnowanie z innych, higienicznie cennych form rozrywki, jak sport, turystyka, czy gimnastyka, sprzyja odosobnieniu się i zamykaniu się w sobie, sprawia, że rozwój Waszych mięśni i kośćca jest słaby, a z tym wiąże się brak wytrzymałości fizycznej, a także brak wiary we własne siły, tchórzliwość, lękliwość, niechęć do pokazywania swego ciała (np. na plaży) itd. Nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, jak fatalnie utrwalenie takich stanów i uczuć wpływa na inicjatywę, spokój i pewność siebie w dziedzinie seksualnej. A w tej dziedzinie często wszystko zależy od posiadania tych właśnie cech.

Jak najwięcej ruchu, sportu, gimnastyki, turystyki, słońca, powietrza i wody — oto rada, jakiej można udzielić każdemu, kto chce należycie fizycznie przygotować się do życia seksualnego. Oczywiście to wszystko jest potrzebne nie tylko w odniesieniu do życia seksualnego, warto jednak abyście pamiętali, że jest ważne także i z tego punktu widzenia.

Omówię teraz sprawy najczęściej poruszane w cytowanych listach.

Pierwszy czytelnik skarży się na stulejkę (phimosis), czyli zwężenie napletka, powodujące jego niedrożność. Najczęściej jest to zupełnie niewinna sprawa, która rozwiązuje się sama, tzn. napletek stopniowo się udrożni rozciągając się) w wyniku wielokrotnych „prób”. Tylko w niektórych przypadkach, gdy stulejka jest bardzo znaczna, może być potrzebna pomoc chirurga. Jest to jednak zabieg bardzo prosty. Stulejka najczęściej jest tylko z tego powodu groźna, że pod niedrożnym napletkiem bardzo łatwo gromadzi się śluz i mastka (owa „maż”, tak niepokojąca drugiego korespondenta), które rozkładając się mogą wywołać nadżerki i lokalne zapalenie skóry. Dlatego też chłopcy mający stulejkę, muszą bardzo wiele uwagi poświęcać czystości, codziennie usuwając zbierającą się pod napletkiem wydzielinę przez przemywanie ciepłą wodą z mydłem.

Ale woda i mydło to zalecenie nie tylko dla cierpiących na stulejkę. Wszyscy chłopcy i mężczyźni muszą pamiętać o tym podstawowym dla męskiej urody „kosmetyku” i o tym, że nie można zabiegów higienicznych ograniczać tylko do codziennego mycia rąk i twarzy („bo to widać”). Gdyby autor drugiego listu pamiętał o tym, wtedy nie byłby zaalarmowany nadmiernym odkładaniem się mastki, co jest zupełnie normalnym zjawiskiem i wymaga tylko zachowania czystości, a nie pomocy lekarskiej.

Żeby zaś już skończyć z czysto fizycznymi wskazaniami dotyczącymi higieny seksualnej, dodajmy, że z medycznego punktu widzenia pożądane jest nieprzegrzewanie okolicy męskich narządów płciowych. Młody chłopiec nie powinien nosić (na stałe) obcisłych slipów, szczególnie wełnianych, ani długich, ciepłych „niewymownych”. Luźne, wygodne spodenki gimnastyczne, czy krótkie, również luźne i przewiewne kalessony są najlepszym rodzajem spodniej bielizny dla chłopców.

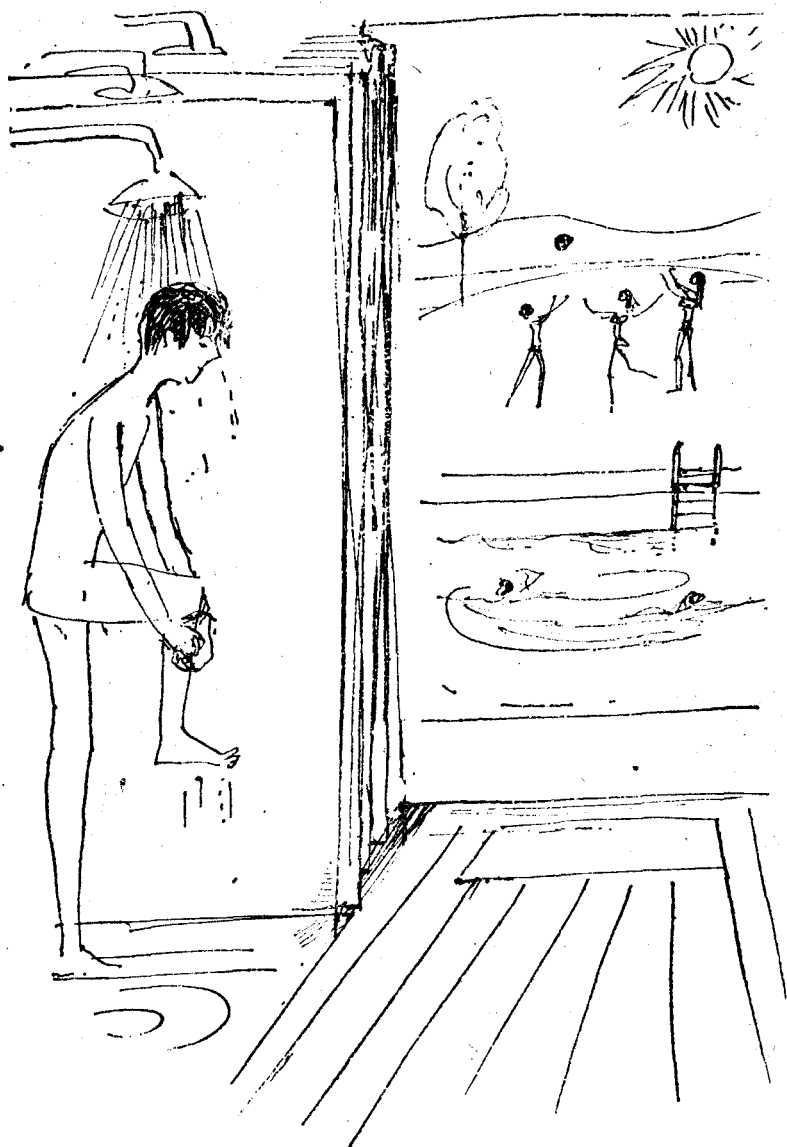
Nie chodzi tutaj bynajmniej tylko o to, że obcisłe slipy sprzyjają mechanicznym podrażnieniom członka i mogą pobudzać do onanizmu, lecz także o to, że naturalna tem

peratura jąder i worka mosznowego jest zawsze o kilka stopni niższa od temperatury reszty ciała, co jest potrzebne dla pomyślnego przebiegu procesu wytwarzania plemników w jądrach. Przegrzewanie moszny i jąder przez grube wełniane slipy pogarsza więc warunki funkcjonowania tych podstawowych męskich gruczołów płciowych.

Prócz wzmiankowanych wyżej zabiegów, mających na celu usuwanie mastki spod napletka, do obmywania narządów płciowych chłopcy powinni z reguły używać zimnej wody. Zimna woda ma działanie hartujące i tonizujące, a poza tym skutecznie obniża lokalną wrażliwość na podrażnienia mechaniczne, co ułatwi zwalczanie pokus uprawiania masturbacji i zapobiega powstawaniu nadmiernej wrażliwości nieraz prowadzącej do bardzo kłopotliwego wytrysku przedwczesnego (porównaj rozdział: „Falstarty”).

Te wszystkie zalecenia, które dla chłopców i młodzieńców znajdujących się w fazie poprzedzającej aktywne życie płciowe, mają charakter zaleceń profilaktycznych przez mężczyzn już żyjących płciowo muszą być niesłuchanie skrupulatnie przestrzegane. Pamiętajcie: już nie jeden mężczyzna przegrał sromotnie w miłosnych szrankach z powodu cuchnącego oddechu i brudnego ciała, niechlujnego wyglądu i zapachu, który działał hamująco i odpychająco na bardziej od niego wrażliwą kobietę. Przegrał — i często nie wiedział dlaczego.

Woda i mydło jest jednak sprzymierzeńcem nie tylko chłopców i mężczyzn. Przypuszczam, że gdyby autorka listu, która żali się na to, że jej ciało pachnie „nieprzyjemnie dla otoczenia”, prócz używania mleczek kosmetycznych i wody kwiatowej „Mitsuko” zawarła przyjaźń z ciepłą wodą i mydłem, jej kłopoty towarzyskie zmalałyby znacznie. Nowoczesność bowiem mierzy się nie tyle ilością zużywanych kosmetyków, ale raczej ilością zużywanych litrów wody i kawałków mydła. Zapach „Mitsuko” pomieszany z wonią rozkładającego się w zakamarkach ciała potu stanowi złowonną kakofonię, która w oka mgnienia ostudzi zapęły najgorętszych wielbicieli. Podmywanie się jest codziennym wymogiem higieny kobiety, tak jak my-



cie zębów, rąk i twarzy. Woda używana do wszystkich tych zabiegów nie powinna być ani za zimna, ani zbyt gorąca (około 40 stopni). Żadnych wewnętrznych płukań na własną rękę robić nie należy i zawsze trzeba zasięgnąć porady u lekarza ginekologa, gdy coś niepokojącego zwraca Waszą uwagę. W czasie miesiączki utrzymywanie w czystości ciała kobiety, staranne obmywanie się oraz częste zmienianie opatrunku (tamponu czy opaski higienicznej) jest nie tylko wymogiem higieny, ale i dowodem kultury młodej dziewczyny i kobiety.

W czasie miesiączkowania nie wolno jednak brać pełnych kąpeli w gorącej wannie (bo to zwiększa krwawienie i może spowodować zakażenie), wskazany za to jest ciepły prysznic (natrysk). Nie należy również wprowadzać tamponu zbyt głęboko do narządów, bo to utrudnia odpływ krwi, doprowadza do jej rozkładu wewnątrz narządów i staje się nieraz pożywką dla rozwoju zarazków. Dla tych samych powodów jest niewskazane odbywanie stosunków płciowych w czasie krwawienia miesięczkowego.

W czasie periodu powinnyście unikać również zbyt wielkich wysiłków fizycznych i psychicznych, unikać okazji do zdenerwowania (np. zdawania egzaminów).

Tutaj uwaga pod adresem chłopców: jeśli domyślasz się, że Twoja koleżanka przechodzi miesięczny okres, to nie sil się na głupie dowcipy i kawały, ale zachowuj się z dyskretną powściągliwością i taktem.

Higiena psychiczna

O ile na pytania dotyczące higieny fizycznej było odpowiadać łatwo, to dużo trudniej jest mówić na temat seksualnej higieny psychicznej. Każdy przypadek jest inny i wymaga indywidualnej odpowiedzi i porady. Najczęściej też nikt poza Wami samymi nie może tutaj ustalić „nowoczesnych” — jak mówicie — norm. Mogę Wam służyć tylko ogólnymi uwagami. Sfera seksualna naszego życia jest zawsze ważna. Nie powinieneś od niej uciekać, ale też nie możesz jej bagatelizować. „To dla mnie jak

splunąć" i „To jest mój problem numer 1" — oto dwa stanowiska, których powinienś unikać jak ognia. Są skrajnie przeciwne, ale wcielane w życie oba gotują swym głosicielom wiele kłopotu. Pierwsze nie docenia trudności i wagi tej dziedziny życia, drugie ją przecenia. „Nowoczesność", o której tak często mówicie, polega zaś na tym, że ocenia się rzeczy zgodnie z ich prawdziwą naturą i wartością. Bądź naprawdę nowoczesnym w sprawach seksualnych, czyli uważaj je za ważne, ale nie za najważniejsze w życiu.

Seksualizm i erotyka wyrastają z natury człowieka, stanowią jej części składowe zarówno w płaszczyźnie psychicznej, jak i fizjologicznej oraz społecznej. Dlatego też w tej dziedzinie wszystko powinno być naturalne, wyrażać rzeczywiste potrzeby i pragnienia. Niczego nie wolno sztucznie przynaglać ani przyśpieszać, rozdmuchiwać ani pobudzać. Dlatego też ci z Was (jak jeden z autorów cytowanych listów), którzy będąc w pełni zdrowia i sił, nie odczuwają jeszcze samorzućnego, naturalnego i przemożnego pędu i parcia do działań seksualnych, nie powinni się martwić. Po prostu ich czas jeszcze nie nadszedł, a w tej dziedzinie nie należy budzić sztucznie tego, co jeszcze jest uśpione, co drzemie. Wszystkie jabłonie kwitną w tym samym czasie, ale w zależności od gatunku owocują i dojrzewają od lipca do późnej jesieni i nikomu nie uda się udowodnić, że najwcześniejsza „Papierówka" jest lepsza czy smaczniejsza od późnej „Malinowej Oberlandzkiej" czy „Landsberskiej".

Skoro jednak pragnienia i potrzeby, popędy i dążenia o wyraźnym ładunku seksualnym w kimś się obudziły, wtedy sprzeczne z higieną psychiczną byłoby stałe dławienie ich i tłumienie przemocą. Wniosek z tego sam się narzuca — całą sferę przeżyć seksualnych i erotycznych należy uznawać za składową część „natury" ludzkiej. Tłumienie i dławienie tych uczuć i popędów oznaczałoby takie samo okaleczenie osobowości ludzkiej, jak sztuczne krępowanie zdrowych mięśni lub unieruchomienie zdrowych kończyn. Zmysły, siły, władze i popędy, w jakie natura wyposaża człowieka, muszą się przejawiać w dzia-

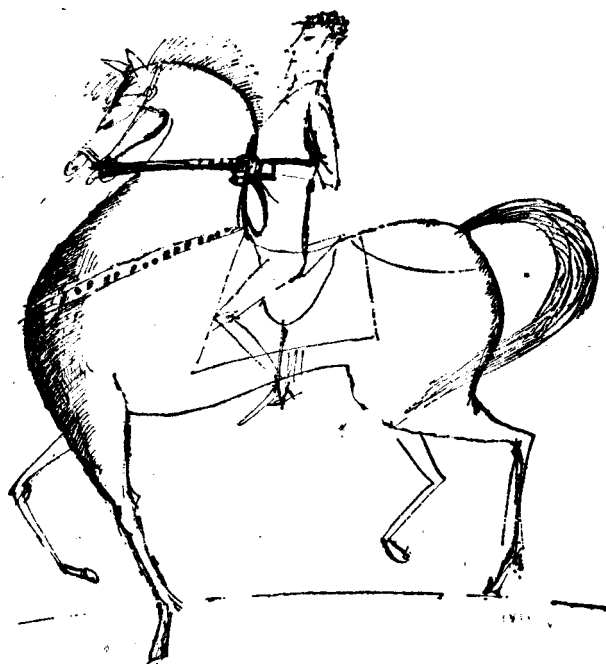
łaniu. Etyka i estetyka, obyczaje społeczne, zdrowy rozsądek wskazują zaś najlepsze, najbezpieczniejsze i społecznie pochwalone miejsce i formy ich przejawiania się. Jeśli człowiek na stałe próbuje spętać i ujarzmić siły i potęgi, które wchodzą w skład jego natury — popada w dokuczliwy i rujnujący go nerwowo konflikt z samym sobą. Jeśli zaś przejawia i wyżywa nurtujące go potrzeby w formach społecznie potępionych — popada w niemniej dokuczliwy i rujnujący go nerwowo konflikt ze środowiskiem, ze społeczeństwem. W obu przypadkach dziedzina miłości seksualnej zamiast być źródłem siły i szczęścia, rosnącego poczucia mocy i wielokrotnienia swych możliwości, staje się przyczyną cierpień, zahamowań i kompleksów, które rzucają cień na całe życie jednostki.

Każdy musi nieustannie samowychowywać się seksualnie. Stan, który młodzieniec w cytowanym liście określa jako „obsesję seksualną”, jest w jego wieku normalny. W szesnastym czy siedemnastym roku życia napór nowych doznań, potrzeb i instynktów w wyniku silnego działania hormonów płciowych ma prawo być tak potężny, że chwilami przesłania cały świat. Jest jednak rzeczą ważną, aby taki stan rzeczy nie pozostał na zawsze. Poziom erotyzujących psychikę hormonów we krwi z czasem (po 25. roku życia) opadnie, może jednak utrwalić się nawyk myślenia, smakowania i roztrząsania głównie i niemal wyłącznie „tych spraw”, a to będzie oznaczało szkodliwą jednostronność zainteresowań i jednostronność rozwoju. Mówiąc obrazowo i oczywiście niedokładnie, zdrowy i słuszny byłby taki stan rzeczy, gdy wszelkie sprawy płci i miłości zaprzątają nie więcej jak jedną trzecią uwagi, czasu i energii młodego człowieka. Jeśli pozostawicie sprawy samym sobie, wtedy ten ułamek może wzrosnąć do trzech czwartych, czy zgoła do dziewięciu dziesiątych.

Miejsce, jakiego udzieliliście Waszemu seksualizmowi, zależy od szerokości Waszych zainteresowań i zakresu Waszej aktywności w dziedzinach odległych od spraw seksualnych (nauka, budowanie własnej przyszłości, praca społeczna w organizacjach młodzieżowych, hobby, koleżeństwo, turystyka, sport itd.). Z popędem seksualnym

jest trochę jak z pojmanym na prerii mustangiem: jeśli go brutalnie skrepujecie, to na pewno sam połamie nogi i jeźdźcowi pogruchocze kości, usiłując za wszelką cenę wyzwolić się z pęt, jeśli zaś tylko umiejętnie założycie mu wędzidło i siodło, nauczycie go stopniowo słuchać lejc i ostróg, to wkrótce przekształci się w dobrze ułożonego wierzchowca, który będzie dla swego pana sprawcą niejednego sukcesu i dawcą wielu radości.

W jednym z cytowanych listów jego autorka wspomina o niepokoju, jaki w niej budzą wyraźne ślady masochizmu w jej zachowaniu płciowym. Pisałem już w szkicu „Na trasie z przeszkodami”, że w gruncie rzeczy nie ma ludzi zupełnie pozbawionych różnych akcentów perwersyjnych w życiu płciowym. U jednego zaznaczają się ślady masochizmu (upodobanie w odczuwaniu lekkich cierpień i przykrości w związku z życiem płciowym), u



innych będą to rysy sadyzmu (pęd do zadawania cierpień) lub fetyszyzmu (przenoszenie uczuć z osoby na rzeczy do tej osoby należące, np. włosy, pantofle itd.). Jeszcze inni mają wyraźne ślady ekshibicjonizmu (tendencja do pokazywania swego ciała).

Czy trzeba się tym kłopotać? Oczywiście nie. Bardzo wiele lekkich zboczeń i aberracji seksualnej wyrówna się i ustąpi z czasem, inne utrzymają się jako pewien indywidualny rys seksualnej i erotycznej odrębności danej kobiety czy mężczyzny. Dopóki ogranicza się to do spełnienia roli tła i podtekstu, dopóki nie staje się celem samym w sobie, przesłaniającym całość odczuwania człowieka (np. fetyszyzm kompletny, w przypadku którego druga osoba w ogóle nie jest potrzebna, a zainteresowanemu wystarcza tylko jej rękawiczka czy pukiel włosów), tak długo wszystko jest w porządku. Dopiero gdy te odchylenia od normy stają się niepokojące co do stopnia i siły, należy szukać pomocy u lekarza psychiatry, seksuologa lub psychologa.

Egoizm w miłości

W jakimś sensie „egoistami” jesteśmy wszyscy. Także i w miłości. Bo ostatecznie czego szukamy w miłości? Własnego szczęścia. Wypełnienia i wzbogacenia własnego życia. Pełnego wyrazu dla własnej osobowości. Ta druga osoba, której szukamy, do której tęsknimy (gdy jej nie ma), jest nam potrzebna dla zaspokojenia naszych potrzeb i pragnień. To jest jednak egoizm psychologiczny, będący główną sprężyną napędową działań człowieka także i w innych, pozaseksualnych dziedzinach życia. Istnieje zaś jeszcze inny egoizm, który nazwałbym moralnym — i ten jest wrogiem miłości. Zresztą zapoznajcie się z listami...

„...Czy pamięta pan film „Bosonoga contessa”? Była to historia pięknej, ubogiej dziewczyny, którą poślubia młody, bogaty arystokrata. Daje jej pałac, samochody, brylanty, tylko... nie może dać fizycznej miłości. Jest bowiem straszliwie okaleczony w wyniku działań wojennych, ale prawdę o swym kalectwie zataił przed ślubem. Mam za sobą wiele lat życia „Bosonogiej contessy”. Wychodzę z nich z roztrzęsionym systemem nerwowym i urazem do całej tej dziedziny życia... Czy wolno było mu tak mnie oszukać? Czy wolno było mu kraść moje najpiękniejsze lata?...”

(Pracowniczka umysłowa, lat 23, miasto)

„...W okresie narzeczeńskim „On” był dla mnie czuły, serdeczny i miły. Przynosił kwiaty, prezenty i nie szczędził pieśczoł. Jesteśmy zaledwie dwa lata po ślubie (jeszcze studiujemy), a On się zmienił nie do poznania. Przypuszczam, że kocha mnie nadal, ale z dawnych względów i czułości nie ma ani śladu. „Daj spokój, nie lubię migdalenia się” — odpowiada, gdy próbuję nawiązać do dawnych wspomnień. Jest zły, jeśli dopominam się jakichś oznak czułości czy serdeczności. „Daj spokój — jestem zmęczony, chce mi się spać”. Przestał się ze mną liczyć. Zbliży się do mnie wtedy tylko, gdy On ma na to ochotę i wtedy muszę zgodzić się, choćbym była nie wiem jak zmęczona albo niedysponowana. Niech pan napisze mi, czy On przestał mnie kochać? Czy też coś innego?...”

(Studentka, lat 22, miasto uniwersyteckie)

„...Pisze pan, że wszystkiemu winni są chłopcy. Że to oni są brutalni, zimni dranie, wyrachowani. A co pan powie, proszę pana, na taką panienkę, która rozdrażnia chłopaka celowo do ostateczności, przekraczając wszelkie granice, prócz tej jednej jedynej, która dałaby obojgu pełne zadowolenie? Dlaczego? Bo jej, proszę pana, wystarczy określony typ pieśczoł, np. piersi. A my się nie liczymy? Czy to nie jest zboczenie? I czy taką dziewczynę, choć ma nietkniętą błonę dziewiczą, można nazwać dziewczicą? Niech pan napisze, co pan o tym myśli, bo inaczej posądzę pana o stronnictwo...”

(Student, lat 20, miasto portowe)

„...Jestem uczniem szkoły podstawowej. Jeżdżę do szkoły i z powrotem tramwajem. Pan wie, jaki tłok jest w tramwajach. Wielokrotnie zdarzyło się, że korzystając z tłoku, różni panowie (młodzi, w średnim wieku) przyciskali się do mnie, obnażali i... Byłem za pierwszym razem tak przerażony i zaskoczony, że nie drgnąłem. Potem przez pewien czas bałem się jeździć tramwajami. Ale jakaś fatalna siła ciągnęła mnie tam znowu. I tak powoli wdepnąłem w bagno, z którego sam nie wiem, jak wy-

brnąć. Z tego wszystkiego nabawiłem się nerwicy. Niech pan przestrzeże innych chłopców jeżdżących tramwajami...

(Chłopiec, lat 15, wielkie miasto)

Poruszone w listach młodzieży sprawy są klasycznymi przykładami egoizmu w miłości i życiu płciowym. Egoizm w sensie moralnym jest to trwała tendencja do realizacji swoich pragnień i interesów z naruszeniem lub pogwałceniem praw i interesów osoby drugiej. W przypadku „Bosonogiej contessy” mamy do czynienia po prostu z oszustwem i nadużyciem zaufania. Przecież ten mężczyzna był świadomy ciężkiego kalectwa, które pozbawiło go możliwości współżycia płciowego, a mimo to rozbudził uczuciowo młodą dziewczynę, skłonił ją do małżeństwa i dopiero po ślubie przyznał się do tego, że praktycznie biorąc, jest do małżeństwa niezdolny. Nie nie tłumaczy tego mężczyzny. Nie ma on dla siebie żadnego usprawiedliwienia. Rzeczywiście „oszukał ją” haniebnie i „skradł najpiękniejsze lata życia”.

Jest on jednym z tych (o czym wspomniałem w poprzednich szkicach), u których bolesnej operacji „skrócenia frontu życia” musiało ulec także życie płciowe.

Czy mężczyzna taki, ciężko przez los poszkodowany, nie ma prawa marzyć o uregulowaniu przynajmniej swego życia domowego — zakładając małżeństwo, które spełni tylko część warunków, jakie takiej wspólnocie dwojga osób się zazwyczaj stawia? Oczywiście, odmówić mu prawa do tego byłoby okrucieństwem. Ale musi to robić uczciwie. Musi przy pojawieniu się pierwszych oznak zainteresowania i zaangażowania uczuciowego powiedzieć odważnie twardą prawdę dziewczynie. Nie wolno mu dopuścić się oszustwa, które bardzo szybko zostanie odkryte, a dziewczynę narazi na szok lub lata męczarni, takich, o jakich pisze „Bosonoga centessa”.

Jeden z młodych ludzi pytał mnie w liście, czy ma prawo poślubić dziewczynę, jeśli w wyniku wielokrotnych operacji doznał takich zniekształceń narządu płciowego, że nie jest w stanie odbywać normalnie stosunków płcio-

wych. Młodzi ludzie bardzo się kochali, współżyli już ze sobą czas jakiś i znajdowali mimo tego braku obopólne zadowolenie. Dziewczyna koniecznie chciała go poślubić, on zaś miał zastrzeżenia moralne i lęk przed tym, że nie będzie w stanie być ojcem jej dziecka. Pozornie sytuacja taka sama, jak w przypadku „Bosonogiej contessy”, a w rzeczywistości jakże diametralnie różna. Młody człowiek nie zachował się tutaj jak egoistyczne zwierzę, nie oszukał dziewczyny, lecz nawet — mimo jej zgody i przyzwolenia na swoisty sposób zaspokajania potrzeb seksualnych — jeszcze myślał głównie o jej potrzebach i interesach, niepokoił się przyszłością tego odbiegającego od normy związku. Ponieważ oboje byli pełnoletni, kochali się i znali od kilku lat, z czystym sumieniem odpisałem, że i moim zdaniem młody człowiek, mimo swego upośledzenia, może pójść za głosem serca i wezwaniem ukochanej. Mogą się pobrać, jeśli istnieje sposób pozwalający uniknąć ujemnych dla obojga skutków pooperacyjnych zniekształceń jego narządu płciowego, skoro wreszcie nie muszą nawet rezygnować z posiadania dzieci, gdyż nowoczesna medycyna pomoże im w tym przez zabieg sztucznego zapłodnienia, czyli przez pozaseksualne wprowadzenie plemnika męża do komórki jajowej żony. Jestem również pewien, że dziewczyna ta nigdy nie będzie miała powodu do oskarżania męża o oszustwo, o skradzenie jej najpiękniejszych lat życia itd. Cała ta, niełatwa przecież i naprawdę drażliwa sprawa została w tym przypadku przez młodego człowieka rozegrana „fair”, po dżentelmeńsku i z żadnego punktu widzenia nie można mu niczego zarzucić.

Podobny w strukturze jest inny typ egoistycznych postaw w miłości, których podstawą jest już nie kompletne kalectwo (brak narządu lub jego poważne zniekształcenie), ale funkcjonalna niewydolność skądinąd prawidłowego narządu. Takie same wymagania moralne należałoby stawiać człowiekowi, który jest świadom swojej impotencji, który poddawał się leczeniu, podejmował liczne próby i wszystko to skończyło się niepomyślnie. Zdeklarowany

i pewny swojego defektu impotent, który mimo to żeni się, dopuszcza się w istocie oszustwa podobnego do tego, którego dopuszcza się człowiek okaleczony. Egoizm impotentą, szczególnie w tych przypadkach, gdy impotencja jest uwarunkowana psychogennie, a nie organicznie, obraca się zresztą przeciw niemu samemu. Gdyby poinformował uczciwie dziewczynę o swym zaburzeniu psychoseksualnym, usunąłby przynajmniej hamujący czynnik lęku i wstydu, który będzie działał coraz silniej, gdy dojdzie do głosu strach przed odkryciem prawdy. Natomiast wyzwolony od lęku, przy życzliwej pomocy dziewczyny może stopniowo wykaraskać się z własnej impotencji.

Otrzymuję bardzo smutne listy od młodych dziewcząt i kobiet, których mężowie okazali się impotentami i od mężów, którzy żyjąc z żonami nieraz przez wiele lat, ani razu nie odbyli małżeńskiego stosunku płciowego i w każdym takim przypadku żal mi przede wszystkim żony, która została oszukana, której już po podpisaniu „kontraktu” nie dano wszystkiego, co kontrakt przewidywał, ograbiono z istotnej części związku mężczyzny i kobiety.

Moralnym obowiązkiem takiego mężczyzny jest poddać się leczeniu przed zawarciem związku małżeńskiego i zawierać związek małżeński dopiero wtedy, gdy impotencja ustąpiła lub też gdy żona wyraża zgodę na małżeństwo, mimo jasno określonej niewydolności męża (np. licząc na jego późniejsze wyzdrowienie).

Wreszcie ostatnia z często omawianych w listach postaci egoizmu w miłości, o podobnej do wyżej omawianych strukturze moralnej, występuje w małżeństwach zawieranych z dziewczętami przez homoseksualistów. Wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu nie jest tak, że żaden homoseksualista nie jest zdolny do współżycia płciowego z kobietą. Wręcz przeciwnie, wielu jest rzeczywistych homoseksualistów, którzy mogą obcować płciowo z kobietami całkiem sprawnie pod względem technicznym, jednak nie odczuwają z tego tytułu zadowolenia, lub nawet czują wstręt do kobiety, z którą współżyją, gardząc nią itd. Seksuolog amerykański, Kinsey, ułożył skalę ocen od 0 do

6 dla homoseksualizmu i heteroseksualizmu. Na poziomie „0” tej skali znajduje się wyłączny heteroseksualizm, zaś na poziomie „6” wyłączny homoseksualizm. Pozycję „3” zajmuje biseksualizm, o równomiernym nasileniu czynników hetero i homoseksualnych w życiu człowieka. Wszystkie pozostałe poziomy odpowiadają pośrednim stopniom między tymi biegunami. Ciekawe, że według Kinseya na poziomie „0” (czysty heteroseksualizm) grupuje się 50% dorosłej męskiej ludności USA, na poziomie „6” (czysty homoseksualizm) — grupuje się 4%, zaś pozostałe 46% męskiej ludności USA grupuje się na pozostałych szczeblach tej skali ocen.

Te dane, zebrane przez Kinseya w USA, nie obrazują oczywiście sytuacji w Polsce. Można również kwestionować ścisłość tych wyliczeń wobec tego, że Kinsey w swych badaniach posługiwał się metodą próby reprezentacyjnej (wyciągał wnioski o całości na podstawie zbadania pewnej grupy ludzi). Nie ulega jednak wątpliwości, że taka rozmaitość postaw i stopni nasilenia występuje. Homoseksualista, żeniąc się z dziewczyną, nigdy nie czyni tego z miłości do niej. Małżeństwo jest dla niego bądź tylko sposobem wygodniejszego zorganizowania sobie życia (obiady, pranie, sprzątanie), bądź też jednym ze sposobów maskowania przed światem swojej prawdziwej natury.

W naszym społeczeństwie stosunek do homoseksualizmu jest u wielu ludzi wciąż oparty na przesądzie i uprzedzeniu (porównaj rozdział „Inaczej niż inni”). Wielu ludzi nie rozumie jeszcze, że homoseksualizm to problem medycyny i psychologii, a nie średniowiecznego „polowania na czarownice” i „wyświecanie z miasta”. Jednak homoseksualiście nie wolno zapewniać sobie spokoju i zamaskowania się przed nierzadko dyskryminującym go środowiskiem za cenę szczęścia Bogu ducha winnej dziewczyny.

Inaczej trzeba ocenić, oczywiście, małżeństwo biseksualisty, który może z równym lub podobnym powodzeniem i stopniem satysfakcji współżyć płciowo zarówno

z mężczyzną jak i z kobietą. Może on być w pełni sprawnym małżonkiem, może być dobrym ojcem (co bywa zresztą głównym celem zawierania małżeństw przez biseksualistów), a jeśli przywiąże się do żony, wtedy homoseksualna komponenta jego osobowości ulega osłabieniu lub nieraz wręcz zanikowi. W tych bowiem sprawach znakomite znaczenie posiada wytrenowanie i nawyk działania w którychś z kierunków aktywności seksualnej: aktywne życie homoseksualne osłabia możliwości przeżyć heteroseksualnych i odwrotnie intensywne doświadczenia heteroseksualne wygaszają wrażliwość na homoseksualne bodźce i pokusy.

Podkreślamy wyraźnie, że zarówno seksualne kalectwo, trwała impotencja, jak i homoseksualizm męża jest wystarczającym powodem do rozwodu sądowego, a także niekiedy do uznania ślubu kościelnego za nieważny.

Omówione poprzednio przykłady egoistycznego podejścia do spraw miłości i życia seksualnego, były najcięższe co do kalibru, ale, na szczęście, niemassowe. Jest jednak egoizm bardziej zamaskowany, trudniej odkrywalny, a nie mniej szkodliwy dla pełnego i prawdziwego rozkwitu miłości i pełni zadowolenia z życia płciowego.

Sens miłości polega między innymi na tym, że dzięki niej w akcie płciowym dochodzi do pełnego stopienia się dwóch osobowości, a w związku z tym do znacznego, na innej drodze nieosiągalnego, wzbogacenia odczuwania i wzrostu samopoczucia, siły życiowej człowieka. Psychologicznie rzecz biorąc, każdy z nas jest samotny, nawet wtedy gdy przebywa w licznym i gwarnym towarzystwie, gdyż nikt nie jest w stanie współodczuwać, współmyśleć i współbrzmieć razem z nami, choć może to robić obok nas. Ta bariera psychologicznego dystansu, to psychologicznie zrozumiałe poczucie samotności jednostki, może być pokonane głównie w miłości poprzez pełne, całkowite zjednoczenie duchowe i fizyczne dwojga ludzi. Aby jednak ten stan osiągnąć, aby pokonać tę barierę, muszą obie strony przeżyć wszystko, co miłość ma do zaoferowania w stopniu możliwie najwyższym i... równym.

Młoda dziewczyna, która pyta z żalem, dlaczego jej mąż przestał troszczyć się o jej doznania i przeżycia, pada właśnie ofiarą innej odmiany egoizmu mężczyzny. Jej nie-mądry, egoistyczny mąż, znużony — jak widać — kłopotliwymi zabiegami miłosnymi, wytworzył sobie po dwóch latach teorię, że miłość można i należy uprościć, zracjonalizować. Z bogatej całości psychologicznej, w której sam akt płciowy, jego orgastyczne przeżycie końcowe, były tylko ostatecznym elementem dużo bogatszej całości erotycznej, odrzucił wszystko, zmierzając wprost i wyłącznie do tego końcowego efektu. Nie obchodzi go nawet, czy jego żona w ogóle pragnie w danej chwili tego zbliżenia, nie obchodzi go, co ona czuje w trakcie, co przeżywa w chwilę po nim, gdy zaspokojony mąż odwraca się bezceremonialnie plecami do niej i zasypia. Powiecie „chamstwo”? Nawet nie to. Ten sam mąż może być miłym i kulturalnym współtowarzyszem życia, lojalnym małżonkiem, dobrym ojcem. Jest to po prostu egoizm seksualny, u podłoża którego leży brak kultury miłości. Podstawową przyczyną jest tutaj nieznajomość odrębności psychiki kobiecej. Dla kobiety wszystko to, co poprzedza akt płciowy i co po nim następuje, jest nie mniej ważne i nie mniej silnie przeżywane niż sam stosunek płciowy. Wiąże się to z zupełnie odrębnym przebiegiem seksualnego pobudzenia w systemie nerwowym kobiety, o czym już mieliśmy okazję szerzej pomówić. Nie ma kobiety (mówię, oczywiście, o normalnych kobietach), która nie chciałaby, aby jej życie płciowe miało bogatą oprawę uczuciową, która by nie przedkładała pełnej względów i uwagi subtelnej gry miłosnej stopniowo prowadzącej do pełnego zjednoczenia (w której liczą się i kwiaty, i uśmiechy, i pieśczośliwe słowa, a nie tylko pocałunki i dotyki) nad brutalny, pośpieszny, byle jak „odwalony numer”. Choć jest wiele kobiet, które zaciśkając zęby, godzą się na ten niekulturalny, egoistyczny, co tam ukrywać, półbydlęcy styl, narzucany przez część młodych ludzi, lub które bojąc się stracić mężczyznę, udają nawet, że im się to podoba. Każda kobieta odczuwa boleśnie zupełną obojętność mężczyzny

zaraz po akcie fizycznym, lub co gorsza, jego nie tajoną w tej sytuacji złość czy zniechęcenie.

Gdyby młodzi mężczyźni, a szczególnie małżonkowie, rozumieli, że te same momenty oni odczuwają inaczej, a inaczej — o wiele dłużej i głębiej — ich partnerki, wtedy oczywiście nie popełnialiby tego błędu mającego wszystkie cechy egoizmu. Wystarczy, aby na drodze życiowej tej wiecznie niezaspokojonej lub nie w pełni zaspokojonej kobiety zjawiał się inny człowiek, który potrafi jej dać to, czego przez lata całe odmawiał jej egoistyczny mąż — krach miłości gotowy.

Tak więc egoizm w miłości polegać może nie tylko na tym, że jeden z partnerów nie jest w ogóle w stanie dać tego, do czego przez zawarcie małżeństwa czy innego związku zobowiązał się (kalectwo, impotencja itd.), lecz także na tym, że nie chce lub nie stara się dać wszystkiego, co by mógł dać, a czego druga strona oczekuje od niego.

Egoizm w miłości przejawiają nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. Zacytowałem jeden tylko list, którego autor uskarża się na taką egoistkę seksualną (przed pół wiekiem określono by ją zapewne mianem „demi-vierge” — półdziewicy). Nie jest to odosobniony wypadek, kiedy kobieta posiada inne, poza normalnym stosunkiem, sposoby doprowadzania się do orgazmu seksualnego i bez żenady, nie przejmując się tym, co odczuwa i przeżywa jej partner, praktykuje je, dbając tylko o własne zadowolenie seksualne. O miłości najczęściej nie ma tutaj mowy. Czasem są to przejawy mniej lub bardziej rozwiniętych zбочeń płciowych u kobiety. Najczęściej jednak u podstaw leży stara podwójna moralność płciowa z jej przesadnym fetyszystycznym kultem dziewictwa, utożsamianego z nie naruszeniem błony dziewiczej. Dziewczyna dopuszczająca chłopca do nadmiernie bliskich kontaktów, pozwalająca mu doprowadzić się do orgazmu przez drażnienie licznych, poza głównym narządem płciowym, miejsc wrażliwych seksualnie na ciele kobiety jest przy tym niewątpliwie seksualnym charakterze swych przeżyć przekonana, że

pozostaje nadal „czystą dziewicą”. Jest to oczywisty nonsens i bzdura i to z każdego punktu widzenia. Jest to fałsz z religijnego punktu widzenia, bo religia za grzech ciężki uważa już samą myśl przyzwalającą na czyn nie-
rządny. Jest to nonsens z punktu widzenia etyki świeckiej, gdyż istotne jest samo działanie mające na celu wywołanie określonych przeżyć seksualnych, a nie sposób, w jaki się do tych przeżyć z drugą osobą dochodzi. O dziewczynie takiej, choć ma nie naruszoną błonę dziewiczą, można powiedzieć, że już prowadzi życie seksualne, że oddaje się mężczyznom, tylko, że robi to w formach perwersyjnych, zboczonych, które mogą w przyszłości zaciążyć na jej zdolności do normalnego życia płciowego. Jeśli w sytuacji, w której dziewczyna ma zdecydować się na swój „pierwszy raz” i na pierwszy kontakt fizyczny z drugim człowiekiem, piszę zawsze: „Zastanów się dziesięć razy i rozważ dobrze wszystkie „za” i „przeciw”, to w sytuacji „półdziewic” nie ma żadnej wątpliwości, że jedyna rada, jaką można dać tutaj, musi brzmieć: „Zdecyduj się nareszcie. I albo podejmij normalne stosunki płciowe, albo zerwij z perwersyjnymi igraszkami, w których tylko zadrezczasz mężczyznę, a sobie torujesz drogę do trwałego zboczenia seksualnego poprzez utrwalanie nawyku do niewłaściwych co do rodzaju, umiejscowienia i siły natężenia bodźców seksualnych”.

Lista egoistycznych „grzechów” przeciw miłości jest bardzo długa. Egoistą w miłości jest ten, kto wyłącznie dla własnej wygody, dla uniknięcia kłopotów nie godzi się na posiadanie dziecka gorąco upragnionego przez żonę. Egoistą w miłości jest ten, kto czyni ze swej miłości kajdany dla kobiety, kto zabrania i zakazuje jej wszelkich kontaktów z innymi ludźmi, podtrzymywania dawnych znajomości i przyjaźni, kto trzyma ją w czterech ścianach domu jak niewolnicę tureckiego haremu, kto zakazuje jej pracy zawodowej lub społecznej, żeby ją mieć „wyłącznie dla siebie”. Egoistą w miłości jest ten, kto sądzi, że jemu wolno mieć od czasu do czasu „chwile słabości” i „skoki na boki”, ale jego ukochaną obowiązuje wierność i bez-

względne przestrzeganie wyłączności jego praw. Egoistą w miłości jest ten, kto we wszelkich dziedzinach (od ekonomicznej do erotycznej) nastawiony jest na „branie”, czuje się zawsze „przedmiotem” uczuć kobiety, a nigdy nie uważa jej za „przedmiot” swoich uczuć.

Szerzej chciałbym omówić jeszcze jeden, bardzo szkodliwy typ egoizmu w życiu płciowym. Dla zilustrowania tej odmiany egoizmu seksualnego wybrałem list chłopca uwiedzionego przez homoseksualistę, ale problem ten jest o wiele szerszy i obejmuje również heteroseksualistów. Na czym polega tutaj egoizm uwodziciela? Nie na tym, że w ogóle „uwodzi”, tylko na tym, że uwodzi zielonego, niedojrzałego chłopca. Wykorzystując właściwą dla tego wieku nadpobudliwość i ciekawość seksualną dla własnego jednorazowego, wątpliwej zresztą jakości zadowolenia, „otwiera szeroko furtkę dla diabła”, pchając chłopca bez zastanowienia się nad konsekwencjami, na drogę życia płciowego, w tym przypadku w dodatku anormalnego. Na podobne potępienie moralne zasługuje uwodzenie 14-letniej dziewczynki przez starszego chłopca lub dorosłego, który też pragnie tylko zaspokoić swoje pragnienia, po czym porzuca ją, nie troszcząc się o to, co dalej będzie się z nią działo. O taki sam egoizm oskarżyłbym doświadczoną dziewczynę lub dojrzałą kobietę, która uwodzi młodziutkiego chłopca tylko dla doraźnego zaspokojenia własnych zmysłów. Ten sam egoizm występuje we wszystkich innych przypadkach, gdy drugą osobę traktuje się jako doraźne narzędzie. Te czyny są niemoralne nie dlatego, że dotyczą działań seksualnych jako takich, lecz dlatego, że strona aktywna nie poczuwa się i nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności za dalsze skutki swego czynu, za to wszystko, co się dzieć będzie później z ofiarą jej przelotnej żądz. I to jest podłe, i to jest niemoralne.

U podłoża takich egoistycznych postaw seksualnych leży najczęściej tchórzostwo. Homoseksualista nakłania niedojrzałego chłopca do czynu nierządowego w tramwaju, bo te warunki (tłok) gwarantują mu anonimowość, bo boi się i nie potrafi znaleźć sobie partnerów wśród podobnych



sobie ludzi dojrzałych. Dojrzała kobieta uwodzi naiwnego wyrostka, bo nie potrafi zainteresować sobą dorosłego. Młody mężczyzna uwodzi smarkatego podlotka, bo tchórzy wobec kobiet dojrzałych, wobec dziewcząt, które potrafią już stawiać mu wymagania. Jeśli wiek uwodzonego jest niższy od 15 lat, wtedy czyn taki jest czynem przestępczym (art. 176 kodeksu karnego), jeśli jest wyższy, wtedy nie jest przestępczy, ale jest niemoralny. Bowiem czyn seksualny tylko wtedy nie wywołuje moralnej dezaprobaty, gdy jego inicjator traktuje swego partnera nie jako rzecz dla zaspokojenia swej żądzy, ale jako pełną i pełnoprawną osobowość i bierze całkowitą odpowiedzialność za to, co wyniknie z tego czynu i jaki wywrze on wpływ na dalszy rozwój partnera.

Nie tylko dla „starych panien”

Mówiliśmy dotąd o sprawach i kłopotach, jakie rodzą się, kiedy człowiek wejdzie w bliski kontakt z drugim człowiekiem. Chciałbym teraz poświęcić parę słów problemom i kłopotom związanym z samotnością. Zresztą i te kłopoty bywają związane najczęściej z drugim człowiekiem — z tym, którego nie ma, którego nam brak. Jak bowiem mądrze powiedział Balzac: „Jeśli nawet samotność jest piękną rzeczą, to trzeba co najmniej dwóch osób, żeby ta prawda została ogłoszona: jednej, która to powie i drugiej, która tego wysłucha”.

„...Chętnie poszłabym do kawiarni na zabawę, żeby poznać kogoś z rówieśników, ale rodzice mnie nie puszczają. Starsi bracia mają swoje żony i patrzą na mnie jak na powietrze. Wbrew woli rodziny nie śmiem pójść nigdzie. Czy mam zostać starą panną, pośmiewiskiem całego miasteczka? A przecież jestem ładna, chcę się podobać, chcę poznawać chłopców. Za miesiąc robię maturę. Niech pan poradzi, czy mam iść na udry z rodzicami, czy poczekać aż do studiów, gdzie będę miała więcej swobody?...”

(Maturzystka, lat 18, miasteczko)

„...Mam już 27 lat, zarabiam dobrze, mam odpowiedzialne stanowisko i wyższe studia. Ale choć w pracy i w działalności społecznej wszyscy mi zazdroszczą energii, inicjatywy — odważnych decyzji, w sprawach miłości jestem dziwnie zahamowany i nieśmiały. Mam tak mało i tak

rzadkie doświadczenia z tej dziedziny, że coraz wyraźniej widzę przed sobą widmo starokawalerstwa. A ja naprawdę nie chciałbym zostać zdziwaczalym, zgorzkniałym starym kawalerem, chciałbym założyć rodzinę...”

(Magister inżynier, lat 27, miasto)

„...Jestem grubo powyżej wieku pańskich przeciętnych czytelników. Pańskie szkice wiele mnie nauczyły, choć niby od dawna nie jestem „młodzieź” i powinnam to wiedzieć sama, z doświadczenia życiowego. Rzecz w tym, że żadnych doświadczeń życiowych w tej dziedzinie nie mam. Zawsze czekałam na wielką miłość i rezygnowałam z różnych okazji, przelotnych miłości, jakich mi nie brakowało, byłam bowiem wesola, ładna i towarzyska. Nie znalazłam wielkiej miłości i doszłam do dzisiaj nie zaznawszy jej. Wyżywam się w umiłowanej pracy, uprawiam dużo turystyki, szczególnie pieszej, dużo czytam, chodzę do teatru. Moje przekonania nie pozwalały brać byle czego, a wielkiej wygranej nie spotkałam na swej drodze. Czasami, obserwując znajome i koleżanki, zadaję sobie pytanie, czy mądrze żyłam? Czy nie zmarnowałam życia, którego 2/3 jest już już poza mną? Trapi mnie to pytanie. Może by pan napisał mi, co o tym myśli...”

(Pracownica umysłowa, lat 39, miasto)

Zacznijmy, jak zwykle, od sprecyzowania pojęć, bez czego nie pozbedziemy się różnych nieporozumień, których w listach pełno. A więc przede wszystkim ustalmy, o jakiej samotności będzie tu mowa. Samotny może czuć się młody małżonek, który nie ma wspólnego języka ze swoją żoną, który nie jest przez nią ceniony ani rozumiany. Jest to względna samotność lub raczej psychologiczne poczucie osamotnienia, które nieraz ogarnia nas nawet w środku zabawy, na tłocznej sali dansingowej. Taką samotnością zajmować się w tym szkicu nie będziemy.

Samotny może być również 18-letni chłopiec (czy dziewczyna), który jeszcze się nie kochał i dopiero czeka na swą inicjację seksualną. Mimo że tę samotność może on odczuwać boleśnie, jest to samotność naturalna, normalna

i (co najważniejsze) przejściowa. Dlatego i tego rodzaju samotności nie będziemy omawiać.

Chcemy zająć się wyłącznie samotnością ludzi, którzy przekroczyli już normalny „wiek wyczekiwania” na miłość, znajdują się już w pełni dojrzałości fizycznej i psychicznej do życia płciowego, a mimo to pozostają samotni. I tutaj też trzeba wyróżnić dwa rodzaje samotności: samotność takich, którzy się nie ożenili (czy nie wyszli za mąż), od samotności takich, którzy mimo przekroczenia 21. roku życia nie zawarli żadnego kontaktu z osobą płci odmiennej. Wbrew oczekiwaniu nie jest to tylko temat dla młodzieży dorosłej, bowiem, jak w liście maturzystki, tak i w wielu innych listach pisanych przez szesnasto i osiemnastolatków strach przed późniejszą samotnością, przed „starokawalerstwem” lub „staropanieństwem” odgrywa nieoczekiwane wielką rolę. Szczególnie często dziewczęta nakłaniane przez chłopców do — na pewno przedwczesnego — rozpoczęcia życia płciowego wśród argumentów przemawiających rzekomo „za” wymieniają swój lęk przed zostaniem „starą panną” („a co będzie, jak później nikt mnie nie zechce? Jak długo mam czekać i na co właściwie?”).

Czy zastanawialiście się nad tym, skąd to się bierze, że gdy się mówi o kimś „stara panna”, czy „stary kawaler”, to w odczuciu wielu jest to określenie deprecjonujące, poniżające, z porządną porcją kpiny i szyderstwa? Literatura przekazała wizerunki licznych zdziwaczałych i zatabaczonych starych kawalerów, nudnych i kłótliwych, jak też jeszcze bardziej zdziwaczałych starych panien, hoduujących koty lub kanarki, mających wszystkim wszystko za złe. Starokawalerstwo i staropanieństwo o wiele częściej bywało tematem komedii niż dramatów, choć bez trudu można się domyślać, że dla zainteresowanych nie było ani komedią, ani farsą.

*„Die Dornen, die Diesteln, die stechen gar sehr,
Doch stechen die Altjungfernungen noch mehr” **

* „Ciernie i osty kłują bardzo, ale o wiele bardziej kłują języki starych panien”.

Tak wyrzekał niemiecki aforysta przed 120 laty, zarzucając starym pannom złośliwość, plotkarstwo i spotwarzanie ludzi. I tyle mniej więcej lat mają obiegowe poglądy na stan staropanieński czy starokawalerski. Datują się one z okresu rozkwitu podwójnej moralności płciowej, z tego okresu kiedy to mężczyźni było wolno znacznie więcej w tej dziedzinie niż kobiecie, dla której jedynym dozwolonym i dopuszczalnym sposobem zaspokajania swych potrzeb seksualnych było sakramentalne małżeństwo. Podczas gdy mężczyźni, zarówno żonaci, jak i nieżonaci, korzystali z rozmaitych form prostytucji i półprostytucji, która jak cień towarzyszy podwójnej moralności seksualnej, to dla kobiety XIX-wiecznej wszelki związek pozamałżeński był niedopuszczalny. Zaś zamążpójście było w tych czasach nie tylko sprawą urody i charakteru, lecz przede wszystkim sprawą posagu, dlatego też każda kobieta, która nie wyszła za mąż, stwierdzała niejako publicznie swą przegraną na giełdzie małżeńskiej, a jednocześnie pod naciskiem zakłamaney, ale przecież obowiązującej moralności była skazana na przymusowy celibat, jeśli nie chciała utracić „dobrego imienia” i nazwy „porządnej kobiety”. Brak morgów czy hektarów u dziewczyny wiejskiej, brak żywej gotówki czy nieruchomości u panny miejskiej bardzo często przesądzał sprawę jej zamążpójścia, a co za tym idzie, jej szans moralnego ułożenia swych spraw erotycznych i uczuciowych w ogóle.

„Stara panna” XIX wieku, nie mając żadnej pozycji społecznej (dawało ją dopiero stanowisko męża), skazana na przymusowe wyrzeczenie się miłości, życia rodzinnego i przeżyć seksualnych, bez wykształcenia i interesującego zawodu, miała wszelkie szanse na to, aby rzeczywiście zgorzknieć, zdziwaczeć i — mszcząc się za niezawinioną krzywdę — zatruwać życie innym ludziom.

Nieco inny był mechanizm lekceważenia i szydzenia ze „starych kawalerów”.

W dawnych stosunkach rodzina była tym miejscem, w którym człowiek zaspokajał wszystkie swoje główne potrzeby: jedzenie i ubranie, życie towarzyskie i rozryw-

kowe. Nie było wówczas tak licznych i dostępnych dzisiaj stołówek i punktów usługowych, klubów, kawiarni, kin i telewizji, które obecnie przejęły szereg funkcji organizatorskich i usługowych dawnej rodziny. Stary kawaler musiał wówczas mieć kłopoty z żywieniem się, z utrzymaniem w czystości swego mieszkania i ubrania, miał kłopoty z życiem towarzyskim, polegającym przede wszystkim na wizytach składanych w różnych domach rodzinnych, i odwzajemnianych również w domu rodzinnym. Zaniedbanie i opuszczenie łatwo doprowadzało do zdziwaczenia, do wrogości wobec świata. Jeśli zaś dodać do tego opinię, jaka mu towarzyszyła: niedołęgi, który nie potrafił ożenić się, nie potrafił złapać nikogo z posagiem — to mamy kompleks przyczyn lekceważenia i szydzenia ze starych kawalerów.

Gdzieś na dnie tych uprzedzeń do nieżonatych mężczyzn i niezamężnych kobiet leżało również podejrzenie, że wobec niedopuszczalności (choćby teoretycznej) wszelkich związków pozamażeńskich, ludzie tacy muszą zaspokajać swoje potrzeby seksualne w sposób nie przynoszący im zaszczytu i potępiany społecznie, skoro jedyna dopuszczalna i uznawana droga — przez małżeństwo — była dla nich niedostępna.

Jak silne jeszcze dzisiaj są reminiscencje tego poglądu na samotność ludzi dorosłych, świadczą cytowane listy, z których wynika, że już 18-letnia dziewczyna boi się zostać „starą panną”, a znajdujący się w świetnym do małżeństwa wieku (27 lat) magister inżynier, równie drży przed widmem: „zgorzkniałego, zdziwaczałego starego kawalera”. A przecież poglądy takie w XX wieku w naszym społeczeństwie są jawnym przeżytkiem. Nowy układ stosunków społecznych i nowoczesny kształt moralności społecznej sprawiały, że człowiek, który dzisiaj z tych czy innych powodów (o których będzie mowa) nie zakłada rodziny, wcale nie musi być pod żadnym względem okaleczony czy wypaczony ani psychicznie, ani społecznie.

Samotne kobiety wcale nie muszą dzisiaj „usychać z tęsknoty” za nie spełnionymi marzeniami i dziwaczne



z niezaspokojenia istotnych potrzeb miłości czy macierzyństwa. Już sam termin „stara panna” staje się właściwie przeżytkiem, skoro nowoczesne kobiety w olbrzymiej większości nie wyszedłszy za mąż nie rezygnują z życia intymnego, a nieraz biorą na siebie trud samodzielnego wychowania własnego dziecka. Prawo państwowe już całkowicie, a opinia publiczna powoli, ale w coraz większym stopniu, przyznaje tym kobietom prawo do tego, traktując np. jednakowo dzieci zrodzone w związkach małżeńskich, jak i poza nimi. W odróżnieniu od XIX-wiecznej „starej panny”, samotna kobieta współczesna jest samodzielną ekonomicznie, pracuje, ma zawód i wykształcenie, jej pozycja społeczna nie zależy od stanowiska męża, tylko od tego, co ona sama reprezentuje jako człowiek i fachowiec.

Oczywiście, są również i dzisiaj takie kobiety, jak autorka ostatniego listu, które, pozostawszy samotne, wyrzekły się również życia intymnego ze względu na wyznawane poglądy moralne (np. religijne). Jeśli jednak czynią to z przekonania, a nie z konieczności, jeśli rezygnują dlatego, że uważają taką decyzję za lepszą, nie zaś dlatego, że inna decyzja jest niemożliwa (jak to było dawniej), wtedy też nie są podobne do XIX-wiecznych „starych panien”. Gdyż poza tym kobiety te pracują zawodowo, są cenione, pożyteczne, kształcą się, uprawiają sporty, turystykę, podróżują, pędzą równowartościowe, a nieraz i bogatsze od innych (dzięki posiadaniu większej ilości czasu i energii) życie osobiste.

To samo da się powiedzieć o samotnych mężczyznach. Również pojęcie „starego kawalera” w dawnym tego słowa znaczeniu staje się stopniowo przeżytkiem. Dzisiaj termin ten oznacza wyłącznie człowieka, który nie zawarł związku małżeńskiego. Warunki jego życia, szansa na regularne odżywianie się, na czystość ubrania, na bogactwo życia towarzyskiego itd. nie jest u niego ani na jotę mniejsza od szansy człowieka żonatego, gdyż sama rodzina współczesna wyzbyła się tych funkcji i korzysta również z tych samych co kawaler stołówek i pralni miejskich, punktów szewskich, krawieckich itd. Nie potrzebują

również dodawać, że sprawy seksualne takich mężczyzn układają się wyłącznie w zależności od ich charakteru i etyki, a nie od ich „kawalerskiego stanu”.

Tak więc w połowie XX wieku, szczególnie w społeczeństwie socjalistycznym, dla oceny czyjejs „samotności” w wieku dojrzałym, ważne jest nie to, że ktoś się nie ożenił (czy nie wyszedł za mąż), tylko to, dlaczego tego nie zrobił. Małżeństwo wciąż jeszcze jest i zapewne długo jeszcze będzie główną formą regulacji i stabilizacji ważnych spraw życiowych ludzi dorosłych płci obojga. Dlatego też w każdym przypadku odejścia od tej reguły, trzeba szukać splotu szczególnych przyczyn i motywów. I jedynie poznanie rodzaju tych przyczyn i motywów, które skłoniły ludzi do rezygnacji z małżeństwa, do organizowania sobie życia w stanie beżennym, pozwala oceniać dany przypadek z punktu widzenia szczęścia jednostki, jej samopoczucia, zdrowia psychicznego i wartości społecznej.

Poznanie przyczyn beżenności przedstawionych w świetle socjologii, psychologii i etyki jest ważne także dla tych młodych, którzy nieraz swoje postępowanie w dziedzinie płci i miłości podporządkowują strachowi przed zostaniem „na lodzie”, czyli przed „staropanieństwem” czy przed „starokawalerstwem” w dawnym tego słowa znaczeniu.

Mężczyźni

Istnieje pewna kategoria mężczyzn, która pozostaje w stanie beżennym, podporządkowując się bądź wymogom swego stanu czy zawodu (np. księży i zakonnicy katolicki), bądź też realizując własną politykę życiową, opartą na przekonaniu, że mają do wykonania jakieś wielkie zadanie, w czym życie rodzinne byłoby przeszkodą. Niektórzy uczeni, pisarze, społecznicy, działacze polityczni (np. rewolucyjni w podziemiu) rezygnowali z życia rodzinnego i małżeństwa (ale nie z życia erotycznego

w ogóle), pragnąc bez przeszkód oddać się swemu dziełu. Beżenność i względna samotność jest tedy dla takich ludzi bądź realizacją nakazu religijnego (księża), bądź też realizacją pewnego ideału życiowego. I dopóki beżenność taka jest dobrowolna, nie czyni ona człowieka nieszczęśliwym, nigdy bowiem realizacja wyznawanych ideałów nie unieszczęśliwia człowieka, nawet jeśli w ich imię wyrzeka się jakiegś odmiany czy składnika szczęścia.

Podobna do tej (ale nie identyczna) jest inna przyczyna beżenności wyrażana w słowach: „Nigdy nie mam czasu o tym pomyśleć”, „Zawsze brakowało mi czasu, żeby się tym zająć”. Występuje ona u ludzi jednostronnie bardzo zaangażowanych i wiecznie bardzo zajętych. Często bywają to ludzie interesu (rzutcy byznesmeni, groszorozy), ale i maniacy sportu czy entuzjaści pracy zawodowej, życia towarzyskiego lub pracy społecznej. Ich beżenność nie jest realizacją świadomie określonego ideału życiowego, tylko przypadkiem uzależnionym od cechującej ich niepodzielności inteligencji. Przejawszy się jedną sprawą (r.p. robieniem pieniędzy, sportem lub nauką) zapominają o innych, najważniejszych nawet sprawach życiowych. I ta postawa jest jeszcze zupełnie normalna. Niebezpieczeństwo grozi tylko wtedy, kiedy ocknięcie się przychodzi zbyt późno i człowiek zaczyna wyrzekać, że przegapił okazję i nie wykorzystał lat najlepszych do małżeństwa.

Dalej już idą przyczyny związane z pewnymi zaburzeniami sfery emocjonalnej i moralnej człowieka, a więc już nie tak proste, jak wymienione poprzednio. Polegają one przede wszystkim na trudności nawiązywania kontaktów. Są to więc mężczyźni autystyczni, zapatrzeni w siebie, którzy całe życie spędzają jakby oddzieleni szklaną szybą od innych ludzi, którzy mimo największych starań nie umieją nawiązać kontaktu z człowiekiem płci odmiennej. Należy tu też wymienić typy bezradne, o słabo zdefiniowanym instynkcie i gustach, które również nie mogą nawiązać żadnego kontaktu z drugą osobą, gdyż zawsze dochodzą do wniosku, że w każdej kandydatce jest czegoś „za dużo” albo czegoś „za mało”. Szukają oni dziu-

ry w całym i wad w drugiej osobie, żeby nie wiedzieć, że przyczyną jest ich własna chwiejność i niepewność. Dalej idą osobnicy o bardzo słabym popędzie płciowym, którzy po prostu nie odczuwają potrzeby zbliżenia się do drugiej płci. Oddzielną kategorię stanowią „przeciwnicy małżeństwa” jako takiego. Młody mężczyzna może być przeciwnikiem małżeństwa z kilku różnych powodów: z egoizmu, kiedy to dla własnej wygody, z niechęci do podejmowania zobowiązań i obowiązków nie chce się z nikim wiązać na stałe („Ten, który się żeni, rezygnuje z połowy uprawnień i czterokrotnie zwiększa swoje obowiązki”), z wyrachowania materialnego („Teraz, co zarobię, to moje, a jak się ożenię, będę musiał tym dzielić się z żoną i dziećmi”), z chorobliwej skrupulatności i obawy przed zawiedzeniem czyjś zaufania („Małżeństwo to olbrzymia odpow-



wiedzialność, czy dam jej radę?"), z chorobliwego strachu przed podjęciem decyzji („A co będzie, jeśli się omylę? A jeśli spotkam kogoś później, kogo będę bardziej kochał?").

Od przeciwników małżeństwa jako instytucji trzeba odróżnić tzw. „wrogów kobiet”, którzy nie tylko wyrzekają się małżeństwa, ale wszelkich stosunków z kobietami. Mężczyzna staje się „wrogiem kobiet” w dwóch przypadkach: kiedy przeżył z ich powodu bolesne rozczarowania i wstrząsy (np. zdrady, porzucenia, krzywdy, szczególnie we wczesnej młodości), lub też gdy wykazuje odbiegające od normy skłonności seksualne (np. skierowane tylko na własną osobę lub na osobników tej samej płci).

Jednak nie tylko „wrogowie kobiet” nie mają szans na zawarcie szczęśliwego małżeństwa. Również i stanowiący ich przeciwieństwo „kobieciarze”, „zawodowi podrywacze”, często pozostają w stanie bezzennym. Wśród „kobieciarzy” można wyróżnić kilka odmian, które choć podobne w objawach różnią się motywami i przyczynami szukania wciąż nowych przygód i doznań seksualnych. Pierwszą kategorię „kobieciarzy” stanowią ludzie na niskim poziomie moralnym, którzy obdarzeni silnym popędem, bez zastanowienia uwodzą coraz to nowe dziewczęta i kobiety, nieraz je przy tym wyzyskując materialnie, przyjmując podarunki, „pożyczając” pieniądze itd.

Ludzie tacy mają moralność i mentalność sutenerów („alfonsów”), niezależnie od tego, jakie mają wykształcenie i jaki jest ich zawód. Drugą kategorię stanowią mężczyźni typu Casanovy, którzy co prawda nie upadlają się, aż do wyzyskania materialnego swych ofiar, jednak niezdolni do głębszego odczuwania i zakładania trwalszych związków, rekordomanią i liczbą „wyczynów” usiłują zapełniać pustkę uczuciową swojego życia. Trzecią kategorię stanowią ludzie typu Don Juana, którzy gorąco pragną stałego związku i marzą o wielkiej miłości, ale noszą w sercu tak idealny obraz miłości i ukochanej, że każda realnie napotkana rozczarowuje ich i po krótkim czasie znów zaczynają szukać tej idealnej, której, oczy-

wiecie, nigdy nie znajdują. Wreszcie oddzielną kategorię stanowią ludzie bardzo niezależni, którzy nie potrafią podporządkowywać się ani rezygnować ze swojej swobody (a nie ma małżeństwa bez wzajemnego podporządkowania się i wzajemnych ustępstw). U nich każda więź uczuciowa kończy się w momencie, kiedy miłość wymaga rezygnacji z jakiejś części swej wolności na rzecz drugiej osoby.

Wymienione tutaj najważniejsze przyczyny bezżenności w rzeczywistości nie występują nigdy pojedynczo, w praktyce mamy najczęściej do czynienia ze splotem kilku czynników i przyczyn u każdego osobnika.

Kobiety

Przyczyny samotności dorosłych kobiet są nieco odmienne od tych, jakie podałem przy omawianiu zagadnienia samotności mężczyzn. W o wiele większym stopniu występuje tutaj splot przyczyn społecznych i życiowych, a w nieco mniejszym psychologicznych. Jest to zrozumiałe, gdyż sama tendencja do założenia rodziny jest u kobiet na ogół silniejsza niż u mężczyzn. Dlaczego tedy zdarza się, że zdrowa, miła, dorosła dziewczyna nie wychodzi za mąż?

Najczęstszym motywem podawanym tutaj jest niedobór mężczyzn w wyniku znanej przewagi liczebnej dziewcząt nad mężczyznami. Czy jest to argument prawdziwy? Nie wydaje mi się. Przede wszystkim przewaga ta stale maleje. Tak np. w Polsce w roku 1946 (w wyniku wojny) na każdych 100 mężczyzn przypadało 118,5 kobiet, w roku 1950 — już tylko 109,7, zaś w roku 1961 tylko 106,8. W roku 1966 w grupie wieku 15—29-latków było w Polsce już 3 600 000 mężczyzn i... 3 600 000 kobiet, czyli stosunek zrównał się 1:1. Poza tym największe różnice liczebne występują dzisiaj w rocznikach starszych (przedwojennych), które już w masie swej przeszły wiek zawierania małżeństw, w rocznikach zaś w wieku małżeńskim i przed-

mażeńskim te wskaźniki są bardziej wyrównane. Skoro zaś wskaźniki statystyczne są bardzo zbliżone, na pewno niewielkie różnice nie mają żadnego wpływu na szanse małżeńskie poszczególnych jednostek.

Drugi motyw najczęściej podawany przez dziewczęta, które nie wyszły za mąż brzmi: „Nie jestem ładna ani przystojna. Nie podobam się”. I ten powód nie wydaje się wystarczający. Pisałem już, że przy doborze seksualnym to, co ktoś uważa za piękne i co się komu podoba, jest sprawą bardzo indywidualną i przypadkową. Dowodem może być to, jak wiele naprawdę pięknych i zgrabnych dziewcząt nie wychodzi za mąż i jak wiele całkiem przeciętnych lub wręcz brzydkich zawiera bez trudu małżeństwo.

Bardziej uzasadniony i wari. uwzględnienia wydaje się inny powód podawany często przez samotne kobiety: „Nie wyszłam za mąż w swoim czasie, a potem było już za późno”. Najczęściej dotyczy to dziewcząt-idealistek, które swoją młodość poświęciły wychowaniu młodszego rodzeństwa, opiece nad matką czy ojcem lub też przejęły się pracą nauczycielki, wychowawczyni czy działaczki harcerskiej lub ZMS-owskiej. Jest oczywiste, że łatwiej wyjść za mąż mając lat 23 niż mając 43. Zdarza się nieraz, że tego typu kobiety (kiedy np. rodzice umrą lub same przekroczą czterdziestkę) przeżywają nagły przełom. Wszystkie stłumione i nie wyżyte dotąd pragnienia wybuchają u nich nieraz nagle bardzo gwałtownie.

Na naszej wsi spotykamy jeszcze inny powód samotności kobiet, który na szczęście zanika wraz z przebudową stosunków społecznych i mentalności ludzkiej: „Nie wyszłam za mąż, bo byłam biedna, nie miałam morgów ani pieniędzy”. Obecnie wykształcenie, dobry zawód i dobry charakter są najbardziej cenionym „posagiem” dziewczyny.

Podobnie jak to widzieliśmy u mężczyzn, również i kobiety mogą pozostawać w stanie niezamężnym z powodów psychologicznych. Grają tutaj rolę różne zahamowania psychiczne i wstręt do małżeństwa, np. w związku

z wstrząsającymi i odstrasżającymi doświadczeniami z własnego domu rodzicielskiego (np. ojciec tyran, alkoholik, poniewierający matkę). Spory procent samotnych kobiet ma na swym koncie przeżycie jakiejś poważnej miłości (nieraz pierwszej miłości), która nie mogła sfinalizować się w postaci upragnionego związku małżeńskiego. Chodzi tutaj nieraz o wielką miłość do człowieka żonatego albo bliskiego krewnego, lub też kogoś na bardzo wysokim stanowisku. Jeśli była to miłość pełna i prawdziwa, a do tego pierwsza, wtedy nieraz wspomnienie jej potrafi skutecznie zahamować nawiązanie wszelkich innych związków na czas bardzo długi. Również różne zaburzenia uczuciowości (jak np. „sztywność” uczuciowa, introwersyjność*, autyzm**) mogą utrudniać młodej kobiecie kontakty bądź w odniesieniu do wszystkich ludzi, bądź też tylko w stosunku do młodych mężczyzn. Bardzo utrudnione nawiązanie bliższej znajomości mają również dziewczęta i młode kobiety cierpiące „na nadmiar myślenia”, mając nawyk analizowania wszystkiego, nawyk rozkładania na czynniki pierwsze zarówno swoich doznań, jak i cudzych słów, czynów i motywów. Inne znów odznaczają się odstręczającym chłopców i mężczyzn ubóstwem uczuciowym, słabym lub żadnym „zapotrzebowaniem” na czułość, pieszczoty, pocałunki itd. Gradacja tutaj może być bardzo duża, od nieznacznej „letniości” i umiarkowanego chłodu uczuciowego aż do całkowitej oziębłości (która powinna skłonić do zwrócenia się o pomoc do lekarza seksuologa). Nieśmiałość młodych kobiet często znajduje wyraz w ośwentacyjnie demonstrowanej dumie i nieprzystępności. Także i wśród kobiet znajdujemy odpowiedniki męskich Casanovów i Don Juanów. Będą to typy towarzyskie, łatwo nawiązujące kontakty, ale po bardzo krótkim czasie nudzące się każdym mężczyzną i dlatego niezdolne do nawiązania trwałego związku, jakim jest małżeństwo.

* Tendencja do zamykania się w sobie, trudność nawiązania kontaktu z otoczeniem.

** Zogniskowanie wszystkich zainteresowań wyłącznie na sobie samym.

Tak więc jest bardzo wiele przyczyn, dla których ludzie się nie żenia i naprawdę nie można wszystkich wrzucać do jednego worka z napisem „stara panna” czy „stary kawaler” i z góry wyrabiać sobie do nich stosunku kąpczego lub szyderczego.

Toto-lotek czy świadomy wybór?

Czy to nie paradoks, że wielu ludzi zastanawia się przez parę tygodni nad tym, jaką torebkę dobrać do sukni, albo przez pół roku rozważa, jaki wazon dokupić do pokoju, a bez zastanowienia godzi się wiązać swoje życie z drugą osobą, którą zna zaledwie parę tygodni czy miesięcy?

„...Jestem ewangeliczką, mój mąż jest katolikiem. Od początku są kłótnie o to, po jakiemu ma być ochrzczony nasz synek. Nie mam nic przeciwko katolikom, ale nie widzę powodu, dla którego synek nasz miałby być ochrzczony w kościele katolickim. Te same awantury były ze ślubem. Szczególnie matka męża jest fanatyczką w tych sprawach...”

(Mężatka, lat 21, miasto)

„...Co robić? Bardzo ją kocham, ona mnie też. Ale ja jestem niewierzący, przekonany ateista, ona zaś jest wierząca i praktykująca. Jak zrobić ze ślubem? Kto komu ma ustąpić? I czy taka rozbieżność przekonań nie będzie przeszkodą w późniejszym współżyciu?...”

(Student, lat 20, miasto)

„...Ja lubię siedzieć w domu, posłuchać radia, poczytać książkę — on ciągnie stale gdzieś „w świat”, do kolegów, do lokali. Ja najlepiej czuję się, gdy jesteśmy tylko we dwoje, on — najlepiej w szumnym, licznym towarzystwie.

Czy przy takiej różnicy upodobań można liczyć na to, że kiedyś się zgramy i będziemy dobrą parą?..."

(Pielegniarka, lat 20, wielkie miasto)

„...Mój mąż jest niemożliwy, budzi po prostu we mnie wstręt. Domaga się ode mnie ciągle dowodów miłości, nie zwracając na to uwagi, że jestem zmęczona lub nie mam ochoty...”

(Meżatka, lat 23, filolog, wielkie miasto)

I oto mamy zestaw kilku typowych różnic między ludźmi, które nieraz utrudniają im porozumienie się i harmonijne współżycie. Jest to rejestr, oczywiście, niepełny. Przecież można się ponadto różnić gustami w ubiorze i w upodobaniach artystycznych, manierami i upodobaniami w jedzeniu, a także można mieć różne poglądy polityczne i moralne, cenić innych pisarzy i inny rodzaj muzyki. Nie trzeba zbyt wielkiej wyobraźni, żeby przedstawić sobie, jak liczne i jak wielkie mogą wybuchać między ludźmi awantury z powodu tych odrębności. Nie trzeba jednak zbyt wielkiej spostrzegawczości, żeby dostrzec, iż mimo wielkich różnic między ludźmi są oni w stanie współżyć ze sobą (np. na terenie internatu, koszar czy domu akademickiego). Tym się właśnie różni człowiek kulturalny, cywilizowany od prymitywnego, że przywiązanie do własnych poglądów, gustów i upodobań nie pozbawia go szacunku dla cudzych poglądów i upodobań. I jeśli nawet w „akademiku” czy internacie sami nie jesteśmy skłonni podzielać czyichś rozrywek czy przekonań, to dopóki nie wchodzi one w kolizję z naszymi uprawnieniami i naszą suwerennością w tej dziedzinie, godzimy się na ich istnienie i tolerujemy u innych.

Czy wynika stąd, że niepokoje młodych ludzi-autorów listów cytowanych przed chwilą są bezpodstawne?

Nie, są one jednak jak najbardziej uzasadnione. Trzeba jednak pamiętać, że różnice, o których oni piszą, dotyczą nie zwyczajnych współmieszkańców jednego pokoju, lecz osób kochających się (niezależnie od tego, czy są połączo-

ne węzłem małżeńskim). A trzeba wyraźnie powiedzieć, że sprawy właściwego doboru dwojga osób, które się kochają, nawet jeśli mieszkają oddzielnie i spotykają się tylko na kilka godzin, są o wiele trudniejsze i ważniejsze, od dobrania się i dogadania dwojga osób obojętnych sobie, nawet gdyby miały mieszkać ze sobą na stałe w jednym pokoju przez szereg lat. W przypadku „współmieszkańców” bowiem każda osoba pragnie i ma prawo zachować maksimum niezależności i odrębności indywidualnej, dzieląc z innymi tylko ileś tam metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. W trwałym związku miłosnym, każda osoba pragnie coraz bardziej jednoczyć się, stapiać i utożsamiać z drugą, nawet jeśli chwilowo są zmuszone mieszkać w różnych mieszkaniach czy nawet miejscowościach.

Na spotkaniu z młodzieżą akademicką w Poznaniu ktoś postawił mi pytanie: „Jakie perspektywy trwałości ma znajomość zawarta przed pół rokiem na koloniach letnich, której podstawą jest fizyczne współżycie i pociąg?”.

Moim zdaniem — perspektywy niewielkie, a trwałość jeszcze mniejszą. Sam, choćby najżywszy pociąg seksualny nie jest trwałą ani pewną podstawą jakiegokolwiek związku, a już najmniej małżeńskiego. Dlaczego?

Dlatego, że istotną cechą popędu płciowego człowieka jest tendencja do zmian, do urozmaiceń i odmiany, podczas gdy istotą małżeństwa jest trwałość i stałość. Jeśli dwoje młodych ludzi nie czuje do siebie nic poza pociągiem fizycznym, jeśli sprawy płci są jedynym łącznikiem i spoiwem ich związku, wtedy krach tego związku jest nieuchronny, a czas, w jakim nastąpi, zależy wyłącznie od tego, jak szybko znudzą się sobie wzajemnie i jak szybko na horyzoncie pojawi się nowy, a przez to atrakcyjniejszy przedmiot zainteresowania seksualnego. Rzecz bowiem polega na tym, że w każdym związku dwojga osób z biegiem czasu następuje obniżenie napięcia seksualnego, występuje to, co seksuolodzy nazywają „zniechęceniem” lub „zobojętnieniem” seksualnym i związek dwojga osób, w którym nie ma innych więzi (przywiązanie, szacunek,

przyjaźń, poczucie długu i zobowiązania, lojalność, jedność celów, poglądów itd.) umiera.

Kultura miłości, dbałość o sprawy seksualne obu stron, a przede wszystkim o wiele szersza od „łózkowych” spraw więc między dwojgiem kochających się jest jedynym środkiem na zapobieganie destrukcyjnym skutkom tej naturalnej tendencji seksualizmu człowieka. Związek dwojga osób oparty tylko o pociąg fizyczny podobny jest do wielkiej konstrukcji, opartej tylko na jednym filarze, zrobionym na dobitkę z kruchego i łatwo wietrzącego materiału. Związek zbudowany z wielostronnej więzi duchowej i fizycznej podobny jest do takiej samej konstrukcji, ale opartej na wielu filarach, z o wiele trwalszych



materiałów zrobionych. Ponadto — gdy są liczne, każdy z filarów znajduje się pod mniejszym obciążeniem, stąd też ich trwałość jest większa i w sumie znacznie przekracza trwałość materiału, z którego zostały zrobione poszczególne filary. Oczywiście jest to tylko literackie porównanie, ale chyba dokładnie oddaje ono to, o co tutaj chodzi. A przecież z biegiem czasu, wraz z tym, jak małżeństwo trwa coraz dłużej, nie tylko umacniają się stare więzi i powstają nowe (np. w związku z wychowaniem dzieci), lecz także w miarę postępowania wieku małżonków, stopień ich aktywności seksualnej, ostrość odczuwania podnieć z tej dziedziny stopniowo i łagodnie obniża się, mniej więcej w tempie podobnym do narastania owej „cbojętności” czy „zniechęcenia” seksualnego. Jest to, co prawda, sprawa bardzo indywidualna i istnieje wiele małżeństw i związków, w których ludzie po wielu latach, czy wręcz dziesięcioleciach współżycia nie przestają się kochać z ogniem wręcz młodzieńczym, wciąż są dla siebie nawzajem atrakcyjni i najbliżsi także pod tym względem. Z reguły jednak są to związki osób połączonych ze sobą bardzo bogatymi i różnorodnymi więzami.

Związki oparte wyłącznie na silnym pociągu fizycznym nieraz nazywa się bezpodstawnie — związkami „opartymi na miłości”. Należałoby je raczej nazywać związkami opartymi na pożądaniu zmysłowym („w poniedziałek zakochał się od pierwszego wejrzenia, a w sobotę wziął ślub”). Czy taki związek w żadnym wypadku nie może okazać się szczęśliwy i trwały? Może, ale tylko w tym stopniu i w taki sposób, w jaki każdy może wygrać milion w Toto-lotka. Teoretycznie może się przecież zdarzyć, że przypadkowo obiektem ślepej miłości, pożądania pozbawiającego zdrowego rozsądku, stała się osoba, która także pod każdym innym względem nam odpowiada, co okaże się już po zawarciu małżeństwa. Szansa tutaj nie jest jednak większa niż ta, że wyciągając na oślep z szafy biletovej „Orbisu” pierwszy lepszy bilet kolejowy, wyciągniemy właśnie bilet na dzień i na pociąg do miejscowości, do której rzeczywiście pragniemy się udać.

Silne pożądanie zmysłowe, odpowiedniość fizyczna partnera spełnia i gwarantuje tylko jedną stronę doboru ludzi: doboru seksualnego, o którym pisze mążatka w ostatnim liście cytowanym we wstępie. Tymczasem, choć rażący niedobór seksualny (np. wstręt seksualny) może niekiedy uniemożliwić współżycie, to samo najlepsze nawet „dobranie się” pod tym względem nie gwarantuje trwałości i harmonijności współżycia (dla powodów, które podałem wyżej). Jeśli ludzie narzekają na brak doboru seksualnego, to najczęściej chodzi o brak doboru pod innymi względami i o brak kultury uczuć. Wystarczyłoby, aby mąż „mężatki”, której list cytowałem, przestał być egoistą (a to już sprawa doboru moralnego), aby nie myślał tylko o sobie, ale i o przeżyciach i stanach psychicznych swej żony, aby na zasadzie mądrych kompromisów wszystko ułożyło się między nimi jak należy i dysharmonia w tej dziedzinie przestała istnieć.

Zresztą dopasowanie się ludzi pod tym względem jest także sprawą mającą charakter procesu. Najczęściej chodzi tutaj o brak dogadania się co do rytmu i sposobu współżycia, a tylko w zupełnie rzadkich okolicznościach chodzi o pewne fizjologiczne i anatomiczne zaburzenia wymagające interwencji lekarza. Dlatego też myśląc o trwałym połączeniu swego losu z kimś drugim, nie należy wysuwać na czoło sprawy doboru seksualnego, mimo że oczywiście nie należy wstępować w taki związek z osobą wyraźnie niemiłą i odstręczającą seksualnie.

O wiele trudniejsze i — według mnie — ważniejsze sprawy poruszają autorzy pozostałych listów. Jakie perspektywy trwałości będzie miał związek zawierany przez ludzi o diametralnie różnych poglądach religijnych, filozoficznych, politycznych czy moralnych? To samo pytanie wyłania się, kiedy myślimy o związku osób o bardzo różnym stopniu wykształcenia (np. nauczycielka z wyższym wykształceniem i młody rolnik z wykształceniem tylko podstawowym), o bardzo odległych zainteresowaniach intelektualnych i bardzo różnej filozofii życiowej (np. gro-szorób i idealistka-społecznicza). Stawiając ten problem,

sam czuję treść, bo naprawdę nie da się tutaj udzielić jednej i prostej odpowiedzi, jak to było np. w sprawie doboru seksualnego. A przecież w kraju takim jak nasz właśnie te różnice i te rozbieżności występują najczęściej i one też najczęściej sprawiają trudności i rodzą wahania młodych myślących ludzi. Idealem byłoby, oczywiście, aby ludzie wchodząc ze sobą w trwałe związki, zeniąc się lub wychodząc za mąż, wyznawali te same poglądy polityczne i społeczne, uznawali taką samą moralność, zdążali do tych samych celów, ideałów życiowych, mieli podobne przekonania filozoficzne lub religijne. Teoretycznie bowiem tylko w takiej sytuacji możliwe jest pełne osiągnięcie jedności i utożsamienia się z drugą osobą, które jest cechą pełnowartościowego związku małżeńskiego, pełne zlanie się dwóch osobowości, dające każdej ze stron życiodajne poczucie spotęgowania własnej mocy i wartości. Ideały jednak nie chodzą po ziemi, a i sama ziemia jest jeszcze bardzo odległa od ideału.

Co ma robić samotna, młoda nauczycielka, która pracując w zapadłej wsi, nie ma nikogo w zasięgu swych zainteresowań i kontaktów poza młodymi rolnikami, od których dzieli ją wielka różnica wykształcenia? Jak ma postąpić aktywista młodzieżowy, chłopiec całkowicie nowoczesny, myślący racjonalistycznie, jeśli ulokował swe uczucia w dziewczynie wierzącej, która w wielu problemach filozoficznych i moralnych zajmuje stanowisko inne od jego własnego?

Bardzo łatwo byłoby napisać: „Niech się nie żeni”, lub „Niech zmieni obiekt swych uczuć”.

Łatwo i okrutnie, bo skąd wiadomo, że ta nauczycielka znajdzie kiedyś kogoś innego, kto będzie bardziej odpowiadał jej poziomem wykształcenia? I skąd wiadomo, czy miłość młodego aktywisty nie jest tą wielką i prawdziwą miłością, która by mu dała szczęście, a która może po raz drugi nie przydarzyć się w jego życiu?

Dialektyka życia jest o wiele bardziej skomplikowana od dialektyki logicznej i nie zawsze, i nie wszędzie da się

tutaj zastosować ewangeliczne żądania, aby mówić tylko i wyłącznie: „Tak”, „Tak” albo „Nie”, „Nie”.

Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że niedobrym prognostykiem dla przyszłego związku jest fakt, iż jeszcze przed ślubem trzeba się zastanowić, „Kto komu ma ustąpić” w imię miłości. Czy młody aktywista ma zaprzeczyć się swojego naukowego światopoglądu i wziąć ślub kościelny, czy też młoda katoliczka ma zaprzeczyć się swojej wiary i przystać na współżycie bez sakramentu? Współczuję młodym ludziom, którzy często stają wobec konieczności dokonania takiego wyboru i nie potrafię pomóc im inaczej, jak tylko wskazując na różne niebezpieczeństwa i trudności takiej decyzji.

Z rygorystycznie moralnego punktu widzenia każdy kompromis w takiej sprawie jest zdradą samego siebie, wyparciem się ideałów, moralną kapitulacją. I to dotyczy kompromisu każdej ze stron.

Nie pomoże tutaj żadna bagatelizacja sprawy, czy mówienie sobie, że przecież „Nic się nie stanie, jak dla świętego spokoju wezmę ślub w kościele” (ateista) lub „Dla świętego spokoju nie wezmę ślubu w kościele” (katoliczka). W obu przypadkach będzie to jakieś zaparcie się siebie, jakaś zdrada własnego światopoglądu. Chyba... chyba, że któraś z tych osób nie jest zbyt pewna swoich przekonań, czy też nie przywiązuje do nich wagi. Ale wtedy — prawdę mówiąc — „ateista” nie jest ateistą, a „katoliczka” nie jest katoliczką, choć tak siebie nazywają. Ale „aktywista młodzieżowy”, który się „złamie” i weźmie ślub kościelny, niech się nie dziwi, że jego koledzy z organizacji przestaną go już uważać za aktywistę i człowieka o mocnym, racjonalistycznym światopoglądzie. A „katoliczka” musi być przygotowana na to, że praktycznie biorąc znajdzie się poza społecznością „katolików”. A przecież problem ślubu („tylko cywilny czy i kościelny”) to dopiero pierwszy kłopot.

Później przyjdzie problem regulacji urodzin. Wychowania dzieci, posyłania czy nieposyłania na lekcje religii, całej argumentacji wychowawczej itd. itd.

I tak pierwsza kapitulacja, pierwsze „ustąpienie” z własnych przekonań, w imię miłości, może pociągnąć za sobą dalsze kapitulacje, które, choć będą chronić człowieka od konfliktów z drugą osobą, mogą go jednak wtrącić w stan trwałego konfliktu z samym sobą, z własnym sumieniem, co nie będzie bez wpływu i na jego stosunek do tej drugiej osoby, będącej wszak bezpośrednim tego konfliktu powodem.

Powie ktoś: „Dobrze, ja to wszystko rozumiem, ale ja ją (go) kocham...”.

Na taki argument nie ma żadnej odpowiedzi, bo miłość ślepa jest i głucha.

Nie ma więc co przeciwstawiać uczuciu „mądrości” i doświadczenia starszych. Ludzie młodzi i zakochani nie wierzą, że kiedyś w przyszłości uczucie osłabnie, jego temperatura spadnie, a konflikty moralne i niesmak z powodu licznych kompromisów wystąpią na światło dzienne z całą siłą.

Czy jednak w każdym wypadku trwałe związki ludzi o różnych postawach życiowych i poglądach filozoficzno-moralnych są z góry skazane na niepowodzenie i pozbawione perspektyw? Bynajmniej. Ludzie nigdy nie są wysztancowani według jednego wzorca — i to całe szczęście. Stąd też uprzednie (przed związaniem się na stałe) pełne dopasowanie się i pełne uzgodnienie we wszystkich dziedzinach jest nie tylko niepotrzebne, ale wręcz niemożliwe. To właśnie w wyniku wieloletniego kontaktu i obcowania ludzie stopniowo uczą się coraz lepiej się rozumieć i szanować, zmieniają i ujednolicają swoje poglądy, przekonania, gusty i zamiłowania. I nie odbywa się to, oczywiście, bez obustronnych ustępstw, ale nie mają one już charakteru kapitulacji i zapierania się tego, co dla nas cenne i wielkie, tylko raczej jest to proces podobny do docierania się trybów w nowym mechanizmie.

Stąd też, choć rozsądek i logika wskazują na to, że bardzo trwałe i pewnie zdefiniowane poglądy, zamiłowania i zainteresowania mogą być poważną przeszkodą w powstaniu zgranego związku dwojga osób — to przecież

i w tej dziedzinie ludzie wychowują się, zmieniają się i przekształcają i tutaj trzeba rzeczy widzieć procesowo — jako „stające się”, a nie trwające bez zmian i stale. Oczywiście, że 100-procentowy „twardy” ateista i 100-procentowa „twarda” katoliczka nie potrafią ze sobą harmonijnie współżyć. Jeśli jednak zadadzą sobie trud „dotarcia się” i przejdą światopoglądowe przemiany i ewolucje, będą szczęśliwymi ludźmi, choć na starcie współżycia małżeńskiego znajdowali się jeszcze na różnych pozycjach. Oczywiście, jest jeszcze poważny problem, w jakim kierunku pójdzie ta ewolucja, kto z dwojga okaże się tutaj wiodącym, a kto idącym za drugim. Czy młoda nauczycielka podciągnie swego męża rolnika do swego poziomu, skłoni go do korespondencyjnej lub zaocznej nauki i uczyni go w kilka lat człowiekiem na własnym poziomie intelektualnym i kulturalnym? Czy też pod jego wpływem „schłopieje” w tym sensie, że zrezygnuje ze wszystkiego, co jej dały studia, zacznie zniżać się stopniowo do jego zainteresowań i problemów, aż po kilku latach niczym już nie będzie się różnić od wielu kobiet wiejskich, którym los wykształcenia i szerszych horyzontów odmówił. Pierwsza sytuacja jest jednostkowa i społecznie korzystna, druga jest stratą i niepowodzeniem (w jednostkowym i społecznym wymiarze).

To wszystko prowadzi nas do wysnucia wniosku, że dla ludzi mających ze sobą wstępować w trwałe związki — jedność celów i postaw życiowych, które bezpośrednio wiążą się z wyznawanym przez nich światopoglądem i systemem moralnym odgrywa rolę pierwszorzędą. Bądźmy jednak świadomi tego, że ta sprawa, jakkolwiek arcyważna, nie jest jedyną, którą trzeba rozstrzygnąć, wybierając sobie przyszłego towarzysza życia.

Z miłości czy z rozsądku?

„... Nie jestem już taka młoda. Nie wyszłam dotąd za mąż, zawsze czekając na wielką miłość, która nie przyszła. Obecnie poznałam pewnego człowieka, który mnie pokochał i chce się ze mną ożenić. Jest o trzy lata młodszy ode mnie. Lubię go i szanuję, podoba mi się, ale go nie Kocham...”

(Pracownica umysłowa, lat 28, miasto)

„...Nigdy mi nie powiedział, że mnie kocha, choć ja go Kocham bardzo. Chcemy się pobrać. Ale obawiam się, że dla niego jest to małżeństwo z rozsądku. Jakie szanse możemy mieć na szczęśliwe życie, gdyby on mnie nie kochał...”

(Studentka, lat 22, miasto)

„...Niech pan powie, od kiedy (od jakiego stulecia?) ludzie uważają, że trzeba się żenić wyłącznie z miłości? Czy nie jest czasem tak, że zakochuje się zawsze tylko jedna osoba, a ta druga tylko przyzwyczajają się i pozwala się kochać? Czy małżeństwo z rozsądku nie jest czasem bezpieczniejsze i pewniejsze od małżeństwa z miłości...”

(anonimowe pytanie na spotkaniu autorskim we Wrocławiu z aktywem ZMS Politechniki)

„...Chciałbym bardzo znaleźć porządną kobietę, z którą mógłbym bez wielkich złudzeń i bez wielkich wzajemnych wymagań zawrzeć związek małżeński dla wzajemnego udzielania sobie pomocy w życiu. Nie jestem zdolny do

miłości, ale byłbym zdolny do lojalnego współżycia i wzajemnej pomocy w życiu..."

(Technik, lat 28, miasto)

Casanova znany z niezwykłych i licznych przygód miłosnych wyraził w swych pamiętnikach takie zdanie o rozsądku: „Rozsądek jest największym wrogiem serca”. Dla innych względów i w oparciu o doświadczenie odległe od doświadczeń Casanovy pisał Błażej Pascal, fizyk, matematyk i filozof: „Nie ma rzeczy zgodniejszej z rozsądkiem, jak zaprzeczenie rozsądku”. Inny z wybitnych aforystów francuskich Vauvenargues („Reflexions et Maximes”) twierdził, że „Rozsądek nie pojmuje potrzeb serca” i że „Dobry instynkt nie potrzebuje rozsądku, on sam go używa”. Mógłbym mnożyć te krytyczne wypowiedzi o rozsądku, o jego ograniczoności i bezsilności w odniesieniu do spraw miłości, bo przecież i Spinoza krytykował rozsądek („Czymże jest rozsądek, jak nie szaleństwem ogółu? A czym jest szaleństwo? Rozsądkiem jednostki. Co nazywacie prawdą? Błąd, który uzyskał wiek kilku stuleci. A co jest błędem? Prawda, która żyła tylko jedną minutą”).

Mimo tak licznych i jednoznacznych słów, potępienia i lekceważenia dla rozsądku, wypowiedzianych przez osoby wybitne, wielkie lub wręcz genialne, chcę wystąpić w jego obronie, także w odniesieniu do spraw uczuciowych i seksualnych człowieka.

Naukowcy lubują się w klasyfikowaniu zjawisk. Od uporządkowania i klasyfikacji różnorodnych zjawisk w grupy podobne co do istotnych cech zaczyna się, prawdę mówiąc, jakakolwiek działalność naukowa w danej dziedzinie. Nic więc dziwnego, że socjologzy i seksuologzy opracowali także klasyfikacje i typologie małżeństw i związków miłosnych. Za podstawę takich typologii przyjęli główną potrzebę zaspokajaną przez dany związek i główny motyw jego zawarcia przez dwie konkretne osoby płci odmiennej. W ten sposób poklasyfikowano wszystkie małżeństwa na następujące kategorie czy typy:

a) małżeństwo z miłości

b) małżeństwo z rozsądku

c) małżeństwo z konieczności (np. wobec przyścia na świat dziecka)

d) małżeństwa z pokrewieństwa (np. w rodach arystokratycznych)

e) małżeństwa mieszane (np. czarnego i białej, różnowerców)

f) „małżeństwa koleżeńskie”, na próbę, wolne związki.

Grupa ostatnia z punktu widzenia prawnego i obyczajowego nie jest małżeństwem w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż brak w tych związkach oficjalnej umowy potwierdzonej urzędowo (ślub cywilny) lub sakramentalnie (ślub kościelny). Choć, oczywiście, związki takie mogą poza tym posiadać wszystkie cechy związku małżeńskiego i reprezentować wysoki poziom etyczny.

Wszystkie wymienione typy małżeństw są tak stare, jak sama instytucja małżeństwa.

Przyjrzyjmy się teraz, na czym polegają główne różnice między pierwszymi dwiema odmianami czy typami małżeństw „z rozsądku” i „z miłości”.

Małżeństwo z miłości wymaga odróżnienia co najmniej dwóch rodzajów różnych potrzeb i motywów leżących u podstaw tej odmiany, które często miesza się ze sobą i nazywa jedną nazwą — „z miłości”. Czasem chodzi tutaj o małżeństwo „z gorącego pożądania”, w którym na czoło wybijają się elementy fizyczne, cielesne, a łączność dwojga osób sprowadza się głównie lub niemal wyłącznie do erotyki i seksualizmu. Kiedy indziej chodzi tu o małżeństwo z upodobania i przejęcia się drugim człowiekiem jako osobowością pełną i całkowitą, nie tylko jego ciałem, ale i duchem (jego charakterem i moralnością, jego umysłowością i celami, dążeniami i ideałami itd). O niebezpieczeństwach związanych z zawieraniem małżeństw w oparciu wyłącznie o gwałtowny pociąg i upodobania fizyczne pisałem w poprzednim szkicu („Toto-lotek czy świadomy wybór?”). Wspomnę jedynie o może nie wszystkim znanych wynikach badań prowadzonych w Polsce w 1960 roku przez Władysława Makarczyka, dotyczących

czynników wyznaczających poczucie zadowolenia życiowego u ludzi:

„Czy ogólnie biorąc jesteś z życia zadowolony?”

zdecydowanie „tak”	—	16,0 ⁰ / ₀
raczej „tak”	—	52,9 ⁰ / ₀
trudno powiedzieć	—	9,9 ⁰ / ₀
raczej „nie”	—	15,8 ⁰ / ₀
zdecydowanie „nie”	—	4,8 ⁰ / ₀
brak odpowiedzi	—	0,6 ⁰ / ₀

„Czy uważasz swoje małżeństwo za szczęśliwe, czy za nieszczęśliwe?”

bardzo szczęśliwe	—	17,6 ⁰ / ₀
szczęśliwe	—	44,2 ⁰ / ₀
brak odpowiedzi	—	31,1 ⁰ / ₀
bardzo nieszczęśliwe	—	5,3 ⁰ / ₀
nieszczęśliwe	—	1,4 ⁰ / ₀
przeciętne	—	0,4 ⁰ / ₀

Wydaje się, że nawet dla niespecjalisty wyraźna jest zbieżność, jaka występuje między ogólnym samopoczuciem życiowym a udanym lub nieudanym związkiem małżeńskim. Badania Makarczyka wykazały zresztą, że zbieżność ta w przypadku małżeństwa jest nawet większa niż w przypadku pracy zawodowej, w sytuacji materialnej, stosunków z władzami itd.

Dlatego właśnie występuję w obronie rozsądku. Umiarkowane jego dawki pomogłyby znacznie w uniknięciu bolesnych pomyłek i rozczarowań. Na przykład, gdyby rozsądek skłonił zakochanych młodych ludzi choćby tylko do przedłużenia okresu oczekiwania przed podjęciem decyzji o zawarciu małżeństwa. Kto wie, gdyby od zawarcia znajomości do zawarcia małżeństwa mijały nie trzy miesiące, ale co najmniej rok, to — być może — wiele tych związków, które nie wytrzymały próby życia, nie zostałyby w ogóle zawartych. Stąd też, choć wiem, że wywołam sprzeciw, powiem słowo w obronie lekceważonego i wyśmiewanego okresu „narzeczeńskiego”, który wielu młodych uważa za przeżytek. „Narzeczeństwo” wcale nie jest takim głupim wynalazkiem, jak to się wielu młodym wydaje. Narzeczeństwo jest właśnie takim rozsądnym wy-

nalazkiem społecznym, dla zapobieżenia nierozważnej i przedwczesnej decyzji, podejmowanej w klimacie pierwszych uniesień i osłepiających pożądań. Na czym polega istota „narzeczeństwa”? Mówię, oczywiście, z własnego, świeckiego punktu widzenia, który jest różny np. od religijnego. Jest ono po prostu „okresem próbnym”, analogicznym do tych, jakie wyznacza się każdemu nowo przyjętemu pracownikowi. Każde zerwane narzeczeństwo jest właściwie dowodem mądrości i rozwagi dwojga osób. Gdyby było więcej poważnie traktowanych i dość długo trwających okresów narzeczeńskich, byłoby o wiele mniej rozwodów i tragedii małżeńskich.

Małżeństwo z rozsądku jest antytezą małżeństwa z miłości. Jeśli w tamtym przypadku rozsądek milczał, w tym on jest głównym doradcą i najwyższym arbitrem. Takie związki zawierane są na skutek perswazji i przekonań wyrażonych bądź przez otoczenie, bądź też przez samych zainteresowanych „Żenię się z nią, bo ją kocham, bo jest wspaniała” — słyszy się w małżeństwie „z miłości”. „Żenię się z nią, bo jest czysta i gospodarna, bo dobrze gotuje, ma mieszkanie, ma dobry fach, 100 000 w posagu, zrobi karierę” — słyszy się w drugim przypadku. Ale również „Żenię się, bo mam już dość jadania w stołówkach, chcę mieć wreszcie wyprane koszule i zacerowane skarpetki”. Albo: „Dość już się naszumiałem, trzeba się stabilizować, jeśli nie będę miał gospodarnej żony, to nigdy się niczego nie dorobię (motocykla, mebli, samochodu)”.

Pisałem już kiedyś o tym, że moim zdaniem, jeśli ktoś kocha kogoś „za coś” lub „po coś”, to można podejrzewać, że go nie kocha wcale. Miłość musi bowiem być bezinteresowna, z czego jednak nie wynika, że ma być koniecznie ślepa i nierozsądna. Do typowych „małżeństw z rozsądku” zaliczyć należy zanikające już u nas „małżeństwa stanowe”. Są to takie związki, przy których unika się „mezaliansów”, czyli związków z osobami z „niższych sfer”. „Syn gospodarski z córką gospodarską”, „syn inteligentów z córką inteligentką”, a dawniej „syn szlachecki z córką szlachecką” — oto klasyczny schemat małżeństwa stano-

wego. Na skutek przemieszania się warstw i likwidacji klas wyzyskujących, samo pojęcie „stanu” ulega u nas zanikowi.

Dzisiaj „syn chłopski” może być inteligentem, „syn inteligencki” zostanie kwalifikowanym robotnikiem i nic dziwnego, że pochodzenie socjalne, w sensie dawnych obustrzeń stanowych, nie gra już tej roli co dawniej. Wahań i rozterki budzi dzisiaj nie różnica „stanu”, lecz różnica poziomu kulturalnego i wykształcenia. „Czy będę szczęśliwy — zapytuje w liście młody nauczyciel — jeśli pojnę za żonę młodą dziewczynę wiejską, która ma siedem klas szkoły podstawowej?”. I taka wątpliwość — jak już pisałem — wydaje się uzasadniona i rozsądna, choć odpowiedź na to pytanie zależy, oczywiście, od tego, co nauczyciel robi dla podniesienia wykształcenia i poziomu kulturalnego dziewczyny wiejskiej. Doświadczenie wskazuje, niestety, że o wiele częściej w takich przypadkach dochodzi do obniżenia własnego poziomu, niż podciągnięcia wzwyż drugiej strony. Dla tej prostej przyczyny, że aby obniżyć swój poziom, wystarczy nic nie robić przez wiele lat, po to zaś, żeby podciągnąć wzwyż tego drugiego, trzeba przez wiele lat starać się i pracować z nim i nad nim.

Inną odmianą małżeństw z rozsądku są małżeństwa zawierane de facto nie przez zainteresowanych, lecz przez rodzinę („rodzinne małżeństwa”). W takich krajach, jak dawne Chiny czy Indie regułą było, że kandydatkę na żonę wybierali synowi rodzice, a on nieraz dopiero po ślubie oglądał twarz tej wybranej. O żadnej miłości nie mogło być wtedy mowy (choć w niektórych przypadkach mogła się ona narodzić już po ślubie), decydowały tutaj względy majątkowe, rodowe itd., oceniane przez rodziców wyłącznie z punktu widzenia rozsądku. Ten rodzaj małżeństw utrzymuje się u nas też chyba tylko na wsi, gdzie małżeństwa jeszcze dzisiaj uzależnia się czasami od kombinacji morgów i hektarów, ba, nieraz od bliskości pól, które można byłoby „połączyć”.

W stosunku do bezwolnych, nieśmiałych dzieci ten ro-

dziej wyboru męża czy żony może mieć zastosowanie także w innych, pozarolniczych rodzinach. Na ogół jednak przyjęła się u nas praktyka, że młodzi ludzie sami sobie wybierają przyszłych mężów i żony, przyznając rodzicom i krewnym jedynie głos doradczy. I tutaj jedna uwaga: nieraz pytacie w listach, co robić, jeśli rodzice przeciwstawiają się jakiemuś związkowi? To bardzo ważna sprawa. Rodzice zawsze przecież chcą Waszego dobra i oni na pewno patrzą rozsądniej i trzeźwiej na projektowane przez Was małżeństwo. Ale z drugiej strony, rodzice przy ocenie kandydatki czy kandydata nieraz stosują kryteria przestarzałe. To też prawda. To przecież właśnie konserwatywni rodzice mówią: „Nie żęń się, bo ona nie ma morgów”, albo: „Nie żęń się, bo to rozwódka”, albo: „Nie wychodź za niego, bo on jest niewierzący”.

Jedno jest pewne: ostateczna decyzja musi należeć do zainteresowanych, nikt nie ma prawa „za Was” się żenić czy zaręczać, ale wszyscy, którzy Was kochają, mają prawo służyć swym głosem doradczym, swoją pomocą.

I właśnie dobrze rozumiany rozsądek wymaga wysłuchania tych opinii i ocen, a nie odrzucania ich na zasadzie zarozumiałej pewności siebie lub fałszywie rozumianej suwerenności.

W większości przypadków młodzi i tak postąpią po swojemu, ale wysłuchanie opinii i rad rodziców pozwoli im lepiej zorientować się w tym, na co się decydują, z kim postanowili się pobrać, jakie słabe strony ma ich związek. I to może skłoni ich do tego, żeby od początku pracowali nad jak najlepszym kształtem własnej miłości i własnego małżeństwa. W żadnym wypadku nie wolno niepotrzebnie ranić uczuć rodziców („Tata nic nie rozumie”, „Co Wy wiecie, jesteście zacofani” itd.).

Dużo w tych sprawach zależy, oczywiście, od tego, jaka jest podstawa negatywnych opinii i ocen rodziców. Czy jest ona oparta o ich doświadczenie życiowe, o obiektywną ocenę zjawisk, czy też wynika z przeżytków i przesądów społecznych, obyczajowych, religijnych i innych, nieraz głęboko zakorzenionych w ich umysłach.

Idealnym stanem, niełatwym co prawda do osiągnięcia, byłoby harmonijne współdziałanie rodziców i dzieci. Takie współdziałanie, w którym od początku dzieci zwierzałyby się swym rodzicom z narastających w nich uczuć i powstających myśli o małżeństwie, rodzice zaś służyliby przyjazną radą i opieką roztaczaną nad całą miłością syna czy córki od chwili narodzin uczucia aż do ślubu i po nim.

Trzeba wreszcie wspomnieć o nierzadkich przypadkach, kiedy z dwojga osób każda posiada inny stosunek do zawieranego małżeństwa. Bywa tak nieraz, że ludzie zawierają związek małżeński w sytuacji, w której jedno z nich (częściej kobieta) gorąco kocha drugie, zaś to drugie (częściej mężczyzna) decyduje się na ten związek z racji pozauczuciowych, z rozsądku, czasem wyrachowania. Pytacie często (szczególnie dziewczęta) czy takie małżeństwa mają szanse na to, aby być udanymi. I w tym przypadku także prosta odpowiedź nie jest możliwa. Życie jest zbyt skomplikowane i różnorodne, aby można je było ujmować w postaci pojedynczych, zawsze obowiązujących wzorów i formuł. Przede wszystkim trzeba się liczyć z tym, że ten rozsądny, trzeźwy małżonek w trakcie trwania związku może rozbudzić się uczuciowo i pokochać swoją żonę. Są tacy ludzie o utrudnionym zapłonie uczuciowym, którzy potrzebują długiego czasu współżycia, żeby rozpaść się uczuciowo (nie mieszać z pobudliwością seksualną!), których miłość może rozkwitać tylko na gruncie szacunku, wdzięczności, przywiązania i przyjaźni. Ludzie tacy nie są zdolni do płomiennych, podobnych do wybuchu benzyny uczuć. Ich uczucie pali się mniejszym, ale za to nieraz trwalszym płomieniem. Związek z takim człowiekiem może być szczęśliwy i trwały.

Żeby móc zabawić się w proroka, trzeba by było wiedzieć, jakie są te rozsądne kalkulacje, na których dany człowiek opiera swój wybór. Jeśli ocenił on pozytywnie osobowość swego partnera, jego wolę i charakter, pracowitość i uczciwość, jeśli i on sam z kolei jest porządnym, uczciwym człowiekiem, wtedy można oczekiwać, że związek taki, choć nawet oparty na jednostronnej miłości,

może być harmonijny i udany. Gorzej, jeśli dany człowiek ocenił rozsądnie nie osobę, z którą ma zamiar się żenić, lecz tylko te rzeczy, które dana osoba da mu dzięki małżeństwu (morgi, pieniądze, stanowisko, stosunki itd.). Bo wtedy traktuje on tę osobę jako środek do uzyskania celu, podczas gdy sama osoba niewiele albo nic go nie obchodzi. Pieniądze się wyda, stanowisko i stosunki tracą swą atrakcyjność, a osoba obojętna lub wręcz niechętna zostanie. I wtedy życie takich dwojga osób zamieni się, oczywiście, w piekło nieustannych walk i użerań się, szczególnie bolesnych dla tej strony, która kochała naprawdę.

Jeden z moich starszych i mądrych przyjaciół ma oryginalny sposób oceniania ludzi. Patrząc na kogoś nowo poznanego zadaje sobie pytanie: „Czy chciałbym z tym człowiekiem spędzić rok, wspólnie, w jednym okopie, podczas wojny?”.

Człowiek, z którym chciałoby się być w jednym okopie, musi być dzielny i lojalny, koleżeński i uczciwy, pogodny itd. Jest się z nim wystawionym wspólnie na różne trudy i niebezpieczeństwa, jest się skazanym na siebie wzajemnie. Otóż wydaje mi się, że z dobrym kandydatem do małżeństwa jest podobnie — takie samo kryterium należałoby stosować w tych wypadkach, kiedy chcemy ocenić jakiś związek z punktu widzenia rozsądku. A przecież nie chodzi tutaj tylko o rok, ale o całe życie (jeśli związek ma być udany), trudy zaś i niebezpieczeństwa są o wiele różnorodniejsze od tych w okopie (jeśli nawet nie tak dramatyczne), także płaszczyzna współżycia jest o wiele bardziej wszechstronna.

Czy uważam „małżeństwo z rozsądku” za wyższą czy lepszą formę od „małżeństwa z miłości” w ogóle? Nie. Przestrzegam jedynie przed małżeństwem zawieranyim bądź z przelotnego porywu, żądy, przy którym nie wie się dokładnie, z kim się żeni, bądź też przed związkiem opartym na wyrachowaniu i trzeźwej kalkulacji, przy którym drugą osobę traktuje się wyłącznie jako środek do zdobycia celu. Pozostałe dwa rodzaje związków małżeńskich (oparte na miłości pojmowanej jako poważne

i głębokie upodobanie i przejęcie się całą osobowością drugiej osoby i na rozsądnej ocenie walorów drugiej osoby) wydaje mi się po prostu równouprawnione. Być może, że małżeństwo zawarte głównie w wyniku rozsądnej oceny wartości drugiej osoby, jej zgodność z ideałem żony czy męża, jaki w sobie nosimy, będzie mniej dramatyczne, bardziej stonowane, może mniej w nim będzie upojnych przeżyć i niezwykłych dreszczów, ale dlatego właśnie może będzie spokojniejsze i trwalsze. Być może, takie małżeń-



stwa podobniejsze będą do głębokich rzek o uregulowanych brzegach, podczas gdy małżeństwa z miłości podobniejsze będą do wezbranych wiosennym przyborem wód górskich strumieni. Któż jednak może powiedzieć, że głęboka, spokojna rzeka nie jest piękna, choć górski strumień posiada na pewno piękno inne — bardziej drapieżne i gwałtowne? To, które z tych rodzajów piękna bardziej nam odpowiada, zależy od nas samych, od naszych właściwości i osobliwości psychicznych. Amatorowi sielskiego, domatorskiego życia nie należy proponować miłości dramatycznej, pełnej napięcia i zmagania. Nie należy również ludzi skłonnych do miłości dramatycznej, niespokojnej, skłaniać do związków spokojnych i łagodnych. Każdy sam musi rzeźbić swoją miłość i sam budować swoje szczęście osobiste. Po to jednak, aby ostateczny kształt miłości i małżeństwa scharmonizowany był z tym, czego oboje małżonkowie sami od nich oczekują i czego oczekuje społeczeństwo, potrzebna jest szczypta rozsądku i myślącej troski, których to cnót pochwałe ten właśnie szkic poświęcłem.



Zazdrość

„...Na zabawie zatańczyłam jeden taniec ze swoim kolegą z dzieciństwa, którego przypadkowo spotkałam po latach. Chłopiec, z którym chodzę, zrobił piekielną awanturę i uderzył mojego partnera w twarz. „Nie masz prawa z nikim tańczyć prócz mnie — krzyczał — jeśli przyszedłszy razem na zabawę...”

(Uczennica, lat 17, miasto)

„...Nie wolno mi nigdzie pójść samej. Nawet z koleżanką nie mogę umówić się na kawę. Mąż zabronił mi pracować. „Mam żonę tylko dla siebie. Ty prowadź dom i troszcz się o mnie”. Musiałam przerwać zaoczne studia, bo było piekło przy każdej sesji naocznej. I tak nie pracuję zawodowo, choć mam maturę i dobry zawód. Nie mam żadnych znajomych ani koleżanek. To nie życie, a piekło...”

(Mężatka, lat 21, małe miasteczko)

„...Proszę napisać, czy jest to normalne i czy to naprawdę dowodzi wielkiej miłości. Mój mąż (jesteśmy rok po ślubie), wietrząc wszędzie i wciąż zdradę, porzucił miasto, w którym mieliśmy mieszkanie i oboje dobre posady. Zabrał mnie na wieś, gdzie żyjemy jak w pustelni. Ja w ogóle nie mogę znaleźć pracy, nie mam tu ani krewnych, ani znajomych. Jest tylko On i „to ci powinno wystarczyć”. Jeśli przyjdzie jakiś list, otwiera go bez pytania, i robi sceny zazdrości o najniewinniejsze słowo. W ogóle ma mi stale za złe, że koresponduję z dawnymi znajomymi. A co

ja mam robić, jak nikogo bliskiego prócz męża nie mam obok siebie. „Inna byłaby szczęśliwa, że jest tak kochana”. Czy naprawdę? Ja jestem nieszczęśliwa...”

(Niepełne wyższe studia, lat 22, wieś)

A więc zazdrość. Uczucie prastare, któremu poświęcono niejedną komedię (np. Molier), niejedną tragedię (np. Szekspir). To przecież w wielkim dramacie o patologicznej zazdrości, w „Otellu” pisał Szekspir: „Rzeczy tak zwiewne jak powietrze dla zazdrości są dowodami tak pewnymi, jak biblii wersety”.

A tenże Szekspir, w swej „Komedii pomyłek” z goryczą wołał: „Trujący wrzask zazdrosnej kobiety działa bardziej zabójczo niż ukąszenie wściekłego psa”. Literatura na temat zazdrości jest przebogata — przecież miłość stanowi trzy czwarte tematu literackich i poetyckich dzieł. A zazdrość, powiadają, towarzyszy miłości jak dym ogniewi. Czy rzeczywiście?

Jedni utożsamiają po prostu zazdrość z miłością i twierdzą, że nie ma miłości bez zazdrości, a także, że im większa miłość, tym większą wywołuje zazdrość. Tak sądzi np. amerykański psycholog Marcuse, który wręcz twierdzi, że „zazdrość jest prastarym i pierwotnym instynktem człowieka”. Marcuse wyprowadza zazdrość z prastarej „mistyki krwi” i tłumaczy to uczucie obawą męczyzny przed oszukaniem w dziedzinie ojcostwa. „Kiedy kochamy — mówi Marcuse — wtedy chcemy przedmiot naszej miłości posiadać. Miłość bez zazdrości jest anemiczną gnuśnością serca. Albowiem naszą prawdziwą naturą jest: być zazdrosnym zawsze wtedy, gdy kochamy”.

Inni jednak twierdzą, że prawdziwa miłość obchodzi się bez zazdrości, że wszędzie tam, gdzie zazdrość występuje, mamy do czynienia bądź z jakimś defektem osobowości, bądź też, gdy przyjmuje formy najbrutalniejsze (do zabójstwa włącznie) z chorobą psychiczną.

Żeby uniknąć nieporozumień w dyskusji (bo sprawa wcale nie jest bezsporna), trzeba odgraniczyć od siebie pojęcie „zazdrości” i „zawiści”.

Zawiść jest skierowana z reguły na rzeczy, które ktoś



posiada, a których nam brak (jesteśmy zazdrosni o czyjeś piękne suknie, wysokie zarobki, sławę, wysokie stanowisko, inteligencję itd.). A więc zawiść rozgrywa się z reguły naraz między dwoma osobami (tą, która coś ma, i tą, która jest zazdrosna o to).

Zazdrość jest zawsze związana z trzema osobami: pierwszą — która jest zazdrosna, drugą — o którą jest zazdrosna i z trzecią — z powodu której jest zazdrosna. Przy czym zawiść pełni się w sercu ludzi dopiero wtedy, kiedy jakaś osoba, „która coś ma lepszego od nas” istnieje rzeczywiście konkretnie. Tymczasem zazdrosnym można być nie tylko o osoby rzeczywiste, konkretnie istniejące, ale już o osoby „możliwe”, czy można być zazdrosnym niejako na zapas, z góry, z zasady.

Dlatego też zazdrość potrafi zatruć życie o wiele dotkliwiej niż zawiść, bo nigdy nie można przewidzieć, co i kiedy wywoła atak zazdrości, bo może je wywołać każde urojenie, a nawet każde wyobrażenie samej możliwości zdrady.

Zdawałoby się, że nic prostszego niż powiedzieć: „zazdrość jest brzydkim, niegodnym uczuciem, zatruwającym życie kochających się i trzeba się go pozbyć”. Można tak powiedzieć, ale nie załatwimy w ten sposób sprawy zazdrości. Bowiem niewątpliwie zazdrość jest uczuciem głęboko zakorzenionym w psychice ludzkiej. Zresztą nie tylko ludzkiej. Kiedy na rykowisku toczy się walka jeleni samców o samicę, a przywódca stada pilnuje samiec przed wszelkimi kontaktami z innymi samcami, wtedy mamy przykład zazdrości seksualnej wśród zwierząt.

No tak, ale przecież nie jesteśmy zwierzętami, jesteśmy cywilizowani, czy wobec tego zazdrość nie powinna się przejawiać u nas w formach również przekształconych i bardziej shumanizowanych? Oczywiście, tak. I tak się najczęściej dzieje. Zazdrość jest ogólnie biorąc normalną, prawidłową reakcją na wszelkie zagrożenie związku miłosnego dwojga ludzi. U cywilizowanych ludzi skala przejawiania tego uczucia jest jednak bardzo szeroka: od gwałtownych, niepohamowanych wybuchów, do starannie

ukrywanych i spychanych w głąb uczuć przykrości, pretensji i żalu. Uczucie zazdrości u człowieka cywilizowanego może mieć nie tylko różną skalę i formy ale i różny kierunek: czasami kieruje się ono przeciw ukochanej osobie, czasami zaś przeciw „temu trzeciemu”. Zazdrość może mieć charakter czynny lub też — bardzo często — przyjmuje postać bierną i wyraża się starannie ukrywanymi uczuciami smutku i rozpacz. Skrajną postacią czynnej formy zazdrości skierowanej na zewnątrz — jest zabójstwo z zazdrości, skrajną formą biernej zazdrości, skierowanej do wewnątrz — jest samobójstwo z zazdrości. I jedno, i drugie zjawisko, choć na szczęście dość rzadkie, znane jest i w naszych statystykach kryminologicznych: zamachów samobójczych, których przyczyną był „zawód miłosny” mający najczęściej u podłoża zdradę i uczucie zazdrości, w roku 1959 było w Polsce 115, w 1960 — 120, a w 1967 — 137.

Nie wystarczy więc ograniczyć się do powiedzenia: „Nie należy być zazdrosnym”, „Zazdrość jest niskim uczuciem” trzeba raczej myśleć o tym, jakie stanowisko myślący człowiek XX wieku powinien zająć wobec zazdrości, aby nie był jak zwierzę miotany przez prymitywne instynkty i aby z drugiej strony nie żądać od nikogo rzeczy niemożliwych — pozbycia się uczuć, które wręcz zrosnięte są z psychiką ludzką.

Byłoby najlepiej, gdyby dało się ustalić wyraźną dla wszystkich granicę między zazdrością „normalną” i „patologiczną”. I takie próby były wielokrotnie czynione.

Takim najbardziej narzucającym się podziałem rodzajów zazdrości jest (pozornie) podział według stopnia uzasadnienia przyczyny. Jeśli ktoś wybucha zazdrością, gdy powód jest oczywisty, udowodniony i stwierdzony — uznalibyśmy, że jego reakcja jest „normalna”. Jeśli zaś robi sceny i zadręcza osobę z powodów urojonych, nie sprawdzonych lub wyolbrzymionych, wtedy jego reakcję można by nazwać „nienormalną”. Ten podział ma jednak swoje zasadnicze braki. Przede wszystkim bardzo różne rzeczy w opinii różnych ludzi uchodziłyby zatem za „oczy-

wisty i udowodniony powód". Dla kogoś fakt, że jego żona poszła na kawę z kolegą lub pocałowała kuzyna przy powitaniu po długim niewidzeniu się, już jest takim „najzupełniej wystarczającym powodem” do zazdrości. Poza tym nikt rozsądny nie uzna za „normalną” takiej zazdrości, która doprowadza do czynów gwałtownych, do fizycznego znęcania się lub wręcz do zabójstwa, jeśli nawet wszystkie powody są rzeczywiście udowodnione i realne.

Bardziej słuszna i lepiej uzasadniona wydaje się taka klasyfikacja normalnej i patologicznej zazdrości, jaką opracowali dwaj amerykańscy psycholodzy — Marcuse i Oppenheim.

Według nich, zazdrość jest normalna — lub inaczej mówiąc — człowiek normalny przeżywa zazdrość wtedy, kiedy przypadkowo i mimo woli natrafia na powód do zazdrości (przypadkowo i mimo woli znajduje jakiś list, zastaje żonę in flagranti itd.); to odkrycie niespodziewane i szokujące wywołuje w nim ból, dręczące uczucie, któremu stara się możliwie szybko położyć kres. Nienormalna zazdrość polega zaś na ciągłym i systematycznym szukaniu powodów do zazdrości; człowiek w ten sposób zazdrośny zdaje się lubować w swej roli, węszy niewierność i powód do zazdrości wszędzie i zawsze, zadrećca siebie i drugą osobę, jakby ta niekończąca się udręka sprawiała mu przyjemność.

To do nich właśnie pasuje jak ulał kalambur niemiecki: „Die Eifersucht, das ist eine Leidenschaft, die mit Eifer sucht, was Leiden schafft” („Zazdrość jest namiętnością, która z zapalem szuka tego, co stwarza cierpienie”).

Nie można więc za normalną uznać takiej zazdrości, która stara się pozbawić ukochaną wszelkich kontaktów z innymi ludźmi. Nie jest normalna zazdrość, która zabrania żonie pracy zawodowej, aby uniemożliwić jej spotkanie się z innymi ludźmi. Nienormalna jest zazdrość, która nie dopuszcza, aby ktokolwiek poszedł z ukochaną na kawę, na spacer, aby z nią zatańczył, zamienił parę słów.

Każda miłość, choćby najgorętsza, zakłada dużą dozę

zaufania do drugiego człowieka. Miłość pozbawiona tego zaufania będzie przez osobę zadręczaną chorobliwą zazdrością odczuwana jako niewola — w krótkim czasie jej uczucie umrze i zapagnie zerwać poniżający ją i unieszczęśliwiający związek.

Zazdrość jako taka (w granicach wyżej omówionej normy) jest zdrowym i normalnym objawem pragnienia zagwarantowania sobie wyłączności posiadania osoby ukochanej. Wiąże się ona tedy z zagadnieniem „wierności” i „zdrady”, którym to sprawom poświęcimy następny szkic.

Ilećć jednak u cywilizowanego człowieka XX wieku zazdrość przejawia się chorobliwie w formach patologicznej zazdrości, wtedy z całym uzasadnieniem można doszukiwać się w dotkniętym nią człowieku jakichś defektów osobowości. Oto podłoża, na których najczęściej rozwija się fatalna zazdrość.

Kompleks niższości — inaczej mówiąc: „niepewność samego siebie”. Gdy ktoś nie jest zbyt głęboko przekonany o własnej wartości (o wartości wyglądu, pozycji społecznej, sytuacji materialnej, walorów umysłu itd.), wtedy łatwo ulega obawie, że ktoś inny może się wydać osobie ukochanej lepszy, mądrzejszy, godniejszy od niego. W takich przypadkach zazdrość jest nie tyle przejawem braku zaufania do drugiej osoby, ile raczej brakiem zufania do samego siebie, brakiem wiary we własną wartość, własną atrakcyjność itd.

Egoizm. Egoizm w zazdrości ma wszelkie cechy skąpstwa i sknerstwa w sprawach materialnych. Zazdrośnik chce mieć ukochaną (lub ukochanego) na wyłączną własność, nie chce się z nią dzielić nie tylko w zakresie spraw seksualnych (co jest zrozumiałe), ale i w zakresie spraw towarzyskich, zawodowych itd. Jego stosunek do ukochanej jest podobny do stosunku skąpca do własnego skarbu. Najczęściej jest to niezdolność „do dawania” innym w ogóle — we wszystkich innych dziedzinach życia, która w zakresie życia uczuciowego egoisty przyjmuje postać chorobliwej zazdrości.

Projekcja własnych uczuć. Projekcja własnych uczuć polega na rzutowaniu i przypisywaniu ukochanej uczuć i pokus, jakie się samemu odczuwa. Zazdrośnikami bardzo często bywają tacy, którzy sami mają ochotę na zdradę, którzy sami odczuwają często chętkę szukania odmian w poligamicznych formach seksualnych. Te pragnienia i zdrożne chęci są jednak przez danego osobnika tłumione wysiłkiem woli (np. ze względów moralnych, religijnych itd.). Ale niepokój i rozdrażnienie pozostaje. I wtedy zdarza się, że dokonuje on projekcji (rzutowania) tych własnych zdławionych uczuć i pokus na drugą osobę. Niepokój o to, aby nie ulec własnym pokusom, przetapia się w niepokój o to, że druga osoba może odczuwać takie same pragnienia i pokusy i okazać się mniej odporna wobec nich.

Ogólne zaburzenia psychoseksualne. Zaburzenia psychoseksualne bywają również podłożem nienormalnej, chorobliwej zazdrości. Różne chorobliwe odchylenia od normy popędu płciowego ludzi powodują to, że osobnikom, u których występują, normalne życie płciowe nie wystarcza. Wywołuje to stan rozdrażnienia i niezaspokojenia, ciągłego poczucia braku. Zainteresowany czuje to, że nie otrzymuje w tej dziedzinie wszystkiego, że mu wciąż czegoś brak do pełni zadowolenia. Nie wiedząc jednak, że przyczyna tkwi w nim samym, w jego zaburzeniach psychoseksualnych, kieruje swój żal, pretensję do drugiej osoby. Zaczyna ją podejrzewać, iż nie daje mu tego wszystkiego, na co ją stać i to najpewniej w związku z tym, że kocha kogoś innego. Takie natrętne idee mogą w niektórych przypadkach przyjąć postać „manii prześladowczej”, natręstwa idei w postaci prawdziwego „szaleństwa zazdrości” i wymagają interwencji lekarza psychiatry.

Zazdrość „na niby” i naprawdę. To, co mówiliśmy dotąd, dotyczyło zazdrości prawdziwej, towarzyszącej prawdziwym uczuciom i poważnym związkom między ludźmi. Istnieje jednak jeszcze zazdrość „na niby”, albo „zabawa w zazdrość”. Występuje ona w różnych przelotnych sympatiach i „chodzeniach” wieku młodzieńczego. Wtedy chło-

piec czy dziewczyna robi drugiej stronie awanturę nie dlatego, że naprawdę uważa się za zdradzonego (najczęściej nie bardzo nawet jest „co” zdradzać w tych przelotnych flirtach i zabawach), ale dlatego, że „przyjęte jest”, „wypada być zazdrosnym, gdy się jest zakochanym”. Każdy z nas zna te wszystkie komiczne sceny zazdrości o to, że „na nią spojrzales”, że „za długo trzymałeś ją za rękę”, „za często uśmiewasz się do niego” itd. itd. Jest to „zabawa w zazdrość”, podobnie jak same flirty i chodzenia są „zabawą w miłość”, skoro młodzieńcy w tym wieku potrafią „zakochiwać” i „odkochiwać” się po kilkanaście razy rocznie. Czy jednak znaczy to, że nawet tę „zazdrość na niby” można lekceważyć lub uważać za nieistotną dla przyszłego kształtu pierwszej prawdziwej już i pełnej miłości młodego człowieka? Nie sądzę. Psychologiczny, biologiczny i społeczny sens tych „miłości na niby” polega przecież na tym, że w ich wyniku młody człowiek uczy się propedeutyki miłości, poznaje ją w ten sam sposób, w jaki giermek średniowieczny uczył się kunsztu wojennego w grach i zabawach rycerskich. Błędne i fałszywe wyobrażenia o miłości, wierności i zazdrości, jakie utrwalają się w tej fazie „na niby”, formie „zabawowej” czy „nie na serio” mogą tkwić i bardzo często tkwią głęboko w pamięci i świadomości młodego człowieka, wchodzą w skład tego, co można by nazwać indywidualnym modelem miłości, jaki sobie w okresie młodzieńczym wytwarza, który realizować będzie w wieku starszym.

W dojrzałej i pełnej miłości zaufanie i ufność, skłonność nie tylko do brania, ale i do dawania z siebie w miłości jest najskuteczniejszym środkiem przeciw chorobliwej miłości; na etapie młodzieńczych miłostek, zakochań się i sympatii klimat koleżeństwa i równości wydaje się najskuteczniejszym środkiem przeciw objawianiu nadmiernej zazdrości. Młodzi często naśladują tutaj sceny z filmów miłosnych lub wielkich romansów literatury światowej, często robią „draki” i awantury tylko dlatego, że chcą siebie i innych przekonać o tym, że „my już naprawdę”, „jak dorośli”, zapominając o tym, że zazdrość

w miłości ludzi dorosłych zawsze świadczy o tym, że ludzie ci nie umieją się kochać, że się niewłaściwie dobrali lub, że coś się w ich związku psuje. Zapominają, że zazdrość jest najczęściej oznaką choroby miłości, a nie jej zdrowia i rozkwitu.

Czy znaczy to, że w pierwszych młodzieńczych porywach miłosnych może nie być w ogóle ani szczypty zazdrości? Chyba nie, skoro zazdrość wiernie towarzyszy wszelkim uczuciom ludzkim. Niechże jednak pierwsze płomyki zapalów i sympatii młodzieńczych nie przybierają postaci pożaru prerii. Bo po pierwsze nikt Wam nie uwierzy, że tak czujecie naprawdę, a po drugie zatrujecie powietrze tak, że sami nie będziecie mogli oddychać i bardzo prędko zrazicie do siebie wszystkie dziewczęta i chłopców.



Rzecz o wierności

„...Umówilem się z nią na piątek, godzina osiemnasta. Dzień przedtem zadzwoniła, że nie może przybyć na spotkanie, bo ma niespodziewane zajęcia. Ale głos jej brzmiał dziwnie w telefonie. Na wszelki wypadek pojechałem do niej w piątek o osiemnastej. Przez drzwi usłyszałem muzykę, wesole głosy. Zadzwoniłem. Otworzył jakiś facet „na bańce”. Okazało się, że mnie oszukała i zrobiła w tym dniu „prywatkę”! Było ich kilkoro, wszyscy w humorach i rozbawieni. Myślałem, że mnie krew zaleje! „Potem Ci wszystko wyjaśnię! Nie gniewaj się” — powiedziała, wypychając mnie za drzwi. Odpowiedziałem, że nie chcę jej znać, że mnie zdradziła. Następnego dnia przysłała mi list (i wiersze, które załączam). Przepraszała i wyklinała swoją lekkomyślność i „parszywy charakter”. Wybaczyłem, bo ją kocham, bo przez te dni chodziłem jak nieprzytomny. Ale wszystko było dobrze tylko dwa tygodnie. Znowu nie przyszła na spotkanie. I znowu przyłapałem ją na tym, że poszła w tym czasie na potańcówkę z kim innym. Mówi, że tylko mnie kocha, że z tamtym ją nic nie łączy. Czy mam jej wierzyć? Czy jest mi wierna, czy też mnie okłamuje bez przerwy?...”

(Technik, lat 20, wielkie miasto)

W „Ogrodzie różanym” klasycznym utworze literatury perskiej już w XII wieku wielki Saadi stwierdził: „Jeszcze nie całkiem wierność szczęła na świecie, choć w naszych

czasach niewielej jej strzeże". Tarapaty z wiernością są równie dawne jak kłopoty z miłością w ogóle. Przynajmniej od czasu gdy miłość z fazy poligamicznej (wielżeństwa) przeszła w fazę monogamiczną (jednożeństwa). Zresztą nawet w społeczeństwach poligamicznych, w których jeden mąż mógł mieć wiele żon lub jedna żona wielu mężów, pojęcie wierności, choć niewątpliwie płynniejsze, bynajmniej nie traciło swego sensu. Mąż, posiadacz wielu żon, nie dopuszczał przecież myśli, aby wszystkie one nie były mu wierne. Żony zaś, choć nie były (przynajmniej teoretycznie) zazdrosne o siebie nawzajem, uważały męża za niewiernego, jeśli szukał przygód i doznań miłosnych poza kręgiem swoich wielu ślubnych małżonek.

Literatura światowa dostarcza obfitych materiałów na temat wierności małżeńskiej. Wszyscy znamy postać wiernej Penelopy, żony Odyseusza, która pozostała mu wierna przez dwadzieścia lat jego zamorskich podróży. Przyszłowiowa stała się „robotą Penelopy”, tkanina, po której ukończeniu piękna Penelopa obiecywała napastującym ją zalotnikom powtórne zamążpójście. Wierna żona, aby opóźnić ten okres, pruć nocami to, co utkala za dnia, w ten sposób zyskując na czasie i wiernie czekając na ukochanego męża.

W czasach nowszych warto przypomnieć piękną postać Marii Rajewskiej, naszej rodaczki, która wyszedłszy za mąż za rosyjskiego księcia Wołkońskiego, po klęsce dekabrystów (1826) pojechała za nim dobrowolnie na katorgę, na Syberię, rezygnując z majątku, przywilejów szlachectwa, a nawet i z dziecka. Wszyscy też wiemy, jak wiernie towarzyszyła Leninowi na wygnaniu i na zsyłce Nadzieja Krupska.

A iluż przykładów wierności dostarczyła ostatnia wojna, w czasie której miliony żon czekały wiernie na mężów siedzących przez sześć lat w niemieckich obozach koncentracyjnych lub walczących na odległych frontach wschodu, zachodu i południa.

A więc, jak pięknie powiedział Saadi, „wierność rzeczywistości nie szczęła na świecie”, choć na pewno jak w je-

go czasach, tak i w naszym wieku nie brak takich, którzy łamią zasadę wierności, nawet jeśli nie są wystawieni na tak wielkie próby i pokusy, jakie rodzą czasy wielkich wstrząsów i kataklizmów dziejowych.

Dawniej na straży wierności stały prawa kościelne i państwowe, dzisiaj złamanie wierności małżeńskiej nie podlega już w większości kodeksów prawu karnemu. Nakaz wierności jednak utrzymał się jako nakaz moralny, choć prawdopodobnie, jak wszystko na świecie, samo pojęcie wierności zmieniło swój sens i poglądy na wierność ludzi XX wieku różnią się od poglądów ludzi epok wcześniejszych.

Co się nie zmieniło?

Wydaje się, że nie uległo zmianie samo żądanie wierności, jakie jeden człowiek wiążący się uczuciowo lub prawnie (węzłem małżeńskim) z drugą osobą stawia swemu partnerowi. Cóż to jest wierność? Kiedy mówimy „wierność”, pytamy od razu: „wierność komu?”, „wierność wobec czego?”.

Wysoko cenimy „wierność ideałom”, wierność przysiędze żołnierskiej”, która skłaniała tysiące ludzi do czynów bohaterskich, nieraz do ofiar z własnego zdrowia i życia. Wszelka „wierność”, jeśli tylko nie jest bezmyślnością, nawykiem tresury i drylu (jak w wojsku hitlerowskim), jeśli dotyczy rzeczy dobrych i pięknych, budzi podziw i szacunek, świadczy o sile moralnej i rzetelności człowieka. W wierności małżeńskiej i wszelkiej innej wierności miłosnej chodzi chyba przede wszystkim o „wierność danemu słowu”, „wierność wobec zobowiązania” — dajemy sobie drugiemu bez reszty i spodziewamy się otrzymać wzamian bez reszty jego samego, „przypieczętujemy pełną duchowo-fizyczną wspólnotę życia i losu na stałe”. To zobowiązanie może być jawne i wyraźnie wypowiedziane (np. w formule przyrzeczenia ślubu cywilnego lub ślubu kościelnego), może być tylko domyślne, nie-

me. Ściśle biorąc, każde poważne i dojrzałe wyznanie „kocham Ciebie”, „chcę być Twoim”, mieści w domyśle „kocham wyłącznie tylko Ciebie”, „chcę być zawsze i wyłącznie Twoim”, „Twój los będzie zawsze moim losem”. Tak przynajmniej rozumie i odczuwa każdy człowiek wychowany w kręgu kultury europejskiej, taki jest przyjęty i obowiązujący wzorzec postępowania i odczuwania w naszym modelu cywilizacyjnym. I chyba takie pojmowanie związku wierności przetrwało i nie uległo zmianie. Dlatego też o niewierność oskarżają swoich wybrańców i wybranki nie tylko ludzie połączeni prawnym czy religijnym węzłem małżeńskim. Wierności żądają także i protestują przeciw jej łamaniu ludzie, którzy tylko „wyznali sobie miłość”, a nie biorą w rachubę i nie planują zawarcia z daną osobą związku małżeńskiego. Myślimy tutaj o poważnych uczuciach ludzi uczuciowo dojrzałych, a nie o młodzieńczych miłostkach, w których mówi się „kocham Cię” równie bezmyślnie, jak „dzień dobry” lub „dziękuję”.

Gdyby miłość polegała tylko na związkach ciała, wtedy oczywiście takie żądanie wierności i pragnienie wyłączności nie byłoby zrozumiałe. Ponieważ jednak człowiek „uduchowił” miłość, zawsze odczuwa ją jako wielostronne zobowiązania i długi dwojga osób, jako zobowiązania, którym przypisuje charakter moralny. Zachowanie jego w tej dziedzinie, w odróżnieniu od zachowania zwierząt, zawsze jest wypadkową oddziaływania dwojakiej motywacji i dwojakich bodźców: hormonów płciowych (które występują i u zwierząt) oraz nawyków wytworzonych przez wychowanie (których brak jest u zwierząt). Jak pisze Clifford T. Morgan: *„Wycuczony nawyk jest o wiele ważniejszym czynnikiem w zachowaniu seksualnym człowieka niż w zachowaniu zwierząt. Nawyk nieraz przedłuża trwanie seksualizmu, nawet jeśli nie ma już działania hormonów płciowych. I oczywiście nawyki bardzo często decydująco określają sposób, w jaki jednostki ludzkie wyrażają swoją motywację seksualną, oraz określają upodobania ludzi w tej dziedzinie”* („Introduction to Psychology”; New York 1961, str. 76).

Istnieje zresztą niewątpliwa sprzeczność i rozbieżność między czysto fizjologiczno-seksualnymi skłonnościami człowieka a całą etyczno-obyczajową nadbudową, jaka w trakcie rozwoju cywilizacji narosła wokół problemu wierności i w ogóle życia płciowego. Jak już pisałem poprzednio, istotną cechą seksualizmu człowieka, szczególnie mężczyzny, jest dość wyraźnie zdefiniowana skłonność do zmiany przedmiotu zainteresowań seksualnych. Natomiast dla bytowania społeczeństwa, dla wzrastania i wychowania nowych pokoleń korzystna jest trwałość rodziny i stabilizacja związków międzyludzkich. Obyczajowość i moralność europejska uznała za ważniejsze społeczne potrzeby i społeczne wartości, stawiając ludziom wymóg wierności i jedności małżeństwa. Różnice między różnymi systemami moralnymi są tutaj czysto ilościowe. Etyka religijna rozumie jedność i trwałość małżeństwa dogmatycznie i absolutnie, nie dopuszczając rozwodów i potępiając wszelkie związki pozamałżeńskie. Etyka świecka, od religii niezależna, uważa, że jak w każdej innej dziedzinie i w tej dziedzinie omyłki ludzi są możliwe i nie wyklucza rozwodów. Jednak w obronie interesów dziecka i społeczeństwa wprowadza się zazwyczaj szereg utrudnień i przeszkód prawnych na drodze do rozwodu po to, aby ludzie nie rozwodzili się z byle powodu i aby decyzje w tej sprawie podejmowali poważnie i z odpowiedzialnością. Prawo współczesne, niezależnie od prawa kanonicznego, nie karze niewierności, jednak także zakłada, że wierność należy do istotnych rysów zdrowych, pełnowartościowych stosunków między małżonkami. Trwała niewierność małżonka bywa wszak częstym argumentem dla sądu za uznaniem jego winy za rozkład małżeństwa, który jest główną przesłanką do udzielenia rozwodu. Istnieją takie kraje (np. Francja), w których przyłapanie męża (żony) na gorącym uczynku niewierności jest automatycznym i dostatecznym dowodem dla uzyskania rozwodu. Ważniejsza jednak od prawnych wymogów jest niewątpliwa i występująca u wszystkich normalnych ludzi psychologiczna potrzeba doznawania wierności ze strony osób, które się kocha.

Każda miłość chce być wyłączna i jest wyłączna. Że jej nie zawsze to się udaje, to inna sprawa. Dotyczy to w tym samym stopniu miłości małżeńskiej, jak i przedmałżeńskiej. To właśnie upoważniło W. Morgenthamera do stwierdzenia, że: „Wierność jest koniecznym wymogiem każdego prawidłowego małżeństwa”. („Der Mensch in Geschlecht, Liebe und Ehe”, Zurich 1956, str. 147). I to się chyba nie zmieniło we współczesnym kształcie moralności płciowej.

Co się zmieniło?

Przede wszystkim chyba to, że wierność dzisiaj ma charakter obowiązku, który człowiek nakłada sam na siebie. W odczuciu współczesnego człowieka kobieta (mężczyzna), której wierności trzeba strzec, nie jest w ogóle godna takiego strzeżenia. Czasy haremów i fraucymerów, z czujnymi eunuchami lub ochmistrzyniami, czy choćby salonu z burżuazyjnymi „przyzwoitkami” należą do przeszłości. Każdy odpowiada dziś sam za siebie, od każdego oczekuje się, że dotrzyma wierności, mimo że nie stawia mu się żadnych straży ani ograniczeń prawnych. Zresztą o jakich strażach może być dzisiaj mowa, skoro kobieta wyszła dawno ze ścian domu, uczy się, pracuje, działa społecznie, zajmuje się sportem, tworzy na równych prawach z mężczyzną? Na pewno taki układ stosunków jest bardziej godny człowieka. Ale też i o wiele trudniejszy. Nie sztuka bowiem nie ukraść, gdy widzisz milicjanta i czynne urządzenia alarmowe, co innego zaś — nie ukraść, gdy nikt nie pilnuje. W pierwszym przypadku działasz ze strachu przed karą, w drugim z poczucia moralnego. W pierwszym przypadku jesteś tylko rozsądnym, dopiero w drugim okazujesz się uczciwym.

Jeśli dawniej nie bez racji mówiono, że wierność to często tylko brak okazji, to dzisiaj to powiedzenie (prócz wyjątków, o których była już wcześniej mowa — porównaj „Na trasie z przeszkodami”, „Nie tylko dla starych

panien”) nie ma sensu. Wierność i lojalność w miłości i w małżeństwie jest dzisiaj prawie zawsze wynikiem moralnej decyzji i przewyciężenia samego siebie. Zresztą, im uczucia wiążące ludzi są głębsze, tym to przewyciężenie siebie i dochowanie wierności jest łatwiejsze, bo okazje do niewierności odczuwa się słabiej, a wierność dochowana ukochanej osobie wyzwała w nas radość i dumę, podnosi nasze poczucie własnej wartości. Cały problem wierności przeniósł się dzisiaj wyraźnie z gruntu prawnego na grunt czysto moralny. Etyka nowoczesna jest etyką refleksyjną i uzależnia swe oceny od całokształtu sytuacji, w jakiej dany czyn zostaje popełniony. Można powątpiewać, czy z nowoczesnego punktu widzenia wiele warta moralnie jest całkowita nawet fizyczna wierność żony, jeśli jedynym motywem, dla którego nie zdradza ona męża, jest strach przed represjami ze strony męża, słaby popęd płciowy lub strach przed skandalem towarzyskim. Absolutysta i dogmatyk etyczny powie na to: nieważne „dlaczego”, ważne, że go nie zdradza, że jest mu wierna. Czy naprawdę jest „wierna”? Można mówić w tym przypadku tylko o wąsko rozumianej fizyczno-seksualnej wierności, a naszym zdaniem pojęcie wierności w miłości i w małżeństwie jest o wiele szersze, podobnie jak sama miłość i więzi moralno-społeczne wytwarzające się w rodzinie wykraczają daleko poza granice spraw fizyczno-seksualnych. Etycy i psycholodzy wskazują (np. Kayserling, Stekel i inni), że pojęcie wierności w miłości obejmuje ponadto, a może i głównie „wierność wspólnotcie życia i wspólnotcie losu”. W anglosaskich krajach urzędowa formuła małżeństwa wyraża tę myśl następująco: „For better and worse — till death shall parts us” („Na lepsze i gorsze losy — póki śmierć nas nie rozdzieli”). W wierności Marii Rajewskiej podziwiamy przecież nie to, że podczas nieobecności męża nie oddała swego ciała nikomu, lecz to, że dobrowolnie pozostała mu wierna w tym „najgorszym z losów” i utrzymała wspólnotę życia i losu z małżonkiem, nawet wtedy, kiedy znalazł się on w sytuacji bez wyjścia, i ruszyła za nim na katorgę, choć nikt

(nawet i on) tego od niej nie wymagał. Nikt — prócz jej poczucia wierności.

Stąd też w rozumieniu wielu ludzi nawet fałszywy krok, jakaś chwila zapomnienia w specyficznych warunkach, nie oznacza jeszcze złamania wierności i dopuszczenia się zdrady wobec osoby kochanej, jeśli incydent taki jest czymś naprawdę wyjątkowym, nie narusza duchowej wspólnoty obojga małżonków, a przez stronę, która zrobiła ten fałszywy krok, był on odczuty jako zło moralne, jako naganny wybryk, którego się wstydzi i postanawia nie powtórzyć. I na odwrót. Można nieraz oskarżać o niewierność ludzi, którym nigdy nawet przez myśl nie przeszło dopuścić się zdrady w sensie fizycznym, którzy jednak podeptali i łamią obietnicę solidarności i wspólnoty życia i losu przez swój egoizm, obojętność, cynizm, agresywność, brak liczenia się z potrzebami dzieci, żony itd. Zastanówcie się, proszę, czy nazwiemy „wiernym mężem” człowieka, któremu co prawda wystarcza fizyczne współżycie z żoną, który nie szuka żadnych uzupełnień w tej dziedzinie, ale który ją bije, maltretuje, okrada, poza „łóżkiem” nie dopełnia żadnych innych elementarnych obowiązków męża. Czy wreszcie dokonywujące się w tym klimacie współżycie jest także tym, co w ogóle można nazwać miłością, czy nie jest raczej przez żonę odczuwane jako największa udręka i upodlenie? A przecież, gdybyśmy stali na dogmatycznym stanowisku, musielibyśmy uznać, że człowiek ten mimo wszystko jest „wierny” swym zaciągniętym wobec żony długom i zobowiązaniom moralnym.

Tak więc etyka nowoczesna wydaje się zrywać z fetyszystycznym stosunkiem do wierności rozumianej jako wierność wyłącznie fizyczna i znacznie rozszerza samo pojęcie „wierności” na całokształt psychicznych i moralnych więzi oraz zobowiązań. Można więc nigdy nie oddać swego ciała nikomu poza małżonkiem i nie być mu wierną. Potrzeba i żądanie wierności nie osłabło i nie znikło, transformuje się jednak i przekształca tracąc swój dogma-

tyczny i absolutny charakter, wzbogacając swoją treść i rozszerzając zakres.

Zachowanie wierności dokonuje się prawie zawsze na drodze pewnego wysiłku moralnego, samodzielnego rozwiązania pewnych sytuacji konfliktowych, między długiem moralnym wobec osoby kochanej a psychiczną tendencją do nowości, do odmiany wrażeń w tej dziedzinie. Najczęściej takie konflikty przechodzą ludzie o bardzo wybujałym temperamencie, u których działanie bodźców nerwowych pobudzających seksualnie dominuje i przeważa nad hamującym działaniem wyższych ośrodków kory mózgowej. U wielu ludzi jednak, u których takie skrajności nie występują, zachowanie wierności małżeńskiej ułatwiają właściwości ich psychiki. Tak np. stopniowe przyzwyczajenie bywa znaczną pomocą w zachowaniu wierności. Istnieje wiele osób, które pełnią zadowolenia życiowego (także seksualnego) mogą uzyskać tylko we współżyciu z ludźmi, których bardzo dobrze znają, do których się przyzwyczaili, w których żadna rzecz nie jest im nieznaną, nieoczekiwana, a przez to denerwująca i hamująca. Swojskość, spokój, poczucie bezpieczeństwa są dla takich ludzi najbardziej pożądanymi warunkami współżycia i ci właśnie są skłonni do „wierności z przyzwyczajenia”.

Są też ludzie, którzy niechętnie podejmują jakieś kłopotliwe zabiegi i starania, niepokoje, ryzyko i troski, jakie w nierozzerwalny sposób wiążą się z pozyskiwaniem czyichś uczuć i względów. Ludzie ci, jak to się mówi, lubią mieć zawsze i wszystko „pod ręką”, „na zawołanie”. U tego typu ludzi może występować inny rodzaj wierności — „wierności z wygody”.

Istnieją wreszcie ludzie (zwłaszcza kobiety) o bardzo wyraźnie i ostro zdefiniowanym monogamicznym usposobieniu płciowym. Jednostki monogamiczne „z natury”, „z usposobienia” dotrzymują wierności — jakby automatycznie. Nie przeżywają one przy tym konfliktów, gdyż po prostu nie odczuwają żadnej potrzeby odmiany. Ludzie tacy dość trudno dobierają sobie partnera (partnerkę) do małżeństwa, ale skoro już znajdą, wtedy wszyscy inni

ludzie po prostu nie wchodzą w rachubę jako istoty seksualne, nie liczą się, nie pociągają i nie kuszą. I to jest „wierność z usposobienia”.

Najczęściej jednak występuje wśród ludzi „wierność z poczucia obowiązku”, który się wzięło na siebie wraz z poważnym wyznaniem miłosnym lub przysięgą małżeńską. Ten rodzaj wierności nie chroni od pokus, czy nawet sporadycznych upadków. Pozwala jednak wytrwać i przetrwać momenty kryzysów i zniechęceń, które w każdym związku dwojga osób od czasu do czasu występują nieuchronnie, zapewnia związkowi trwałość niezbędną dla spełnienia oczekiwań drugiej osoby i obowiązków opiekuńczych wobec dzieci.

Pisząc tę pochwałę „wierności”, która na dobrą sprawę jest tylko szczególnym zastosowaniem szerszej wierności wobec obowiązku w ogóle (wierność ojczyźnie, idei, sobie itd.) nie należy przeoczać istnienia złej, szkodliwej i niemądrej wierności. Podobnie jak nie uznajemy za godną pochwały upartą wierność poglądom, które okazały się jawnie fałszywe, ani ideom, które zbankrutowały przy próbie życia, tak też nie możemy pochwalać wierności wobec osób, które nie są tej wierności godne. Jeśli człowiek, z którym zdecydowaliśmy się połączyć swe życie, okaże się później przestępcą lub człowiekiem niezdolnym do współżycia przez swą psychopatię, alkoholizm, histerię, chorobliwe skłonności do sadyzmu, znęcania się nad drugą osobą itd. — wtedy oczywiście wierność (w szerokim tego słowa znaczeniu) wobec takiego człowieka jest samobójstwem, a wobec dzieci, które się z takiego związku ewentualnie zrodzą, jest przestępstwem.

Wtedy obowiązek polega nie na zachowaniu dogmatycznej wierności w ramach nieudanego związku, lecz na zerwaniu tego związku. I dla takich decyzji w poważnych, uzasadnionych przypadkach nasze prawodawstwo, jak i prawodawstwa większości cywilizowanych krajów, stwarza odpowiednie warunki. Można bowiem wymagać od ludzi, aby dotrzymywali wierności za cenę opanowania swych tendencji poligamicznych, ale nie za cenę zaprze-

paszczenia całego życia i utraty godności własnej. Bo choć szczęście człowieka — jak pisał Sartre — jego „niebo na ziemi”, w dużym stopniu zależy od drugiego, bliskiego człowieka, ale i większość nieszczęść i „piekło na ziemi” jest najczęściej także dziełem drugiego człowieka.



Gdzie szukać porady i pomocy

we wszelkich kłopotach i wątpliwościach
związanych z życiem płciowym?

W sprawach ściśle lekarskich szukać pomocy trzeba u lekarzy specjalistów. Najwygodniej jest korzystać z Poradni Świadomego Macierzyństwa, skupiających specjalistów różnych dziedzin. Poradnie te istnieją w każdym mieście wojewódzkim.

Adresy Wojewódzkich Poradni Świadomego Macierzyństwa:

1. Białystok	—	ul. Warszawska 15
2. Bydgoszcz	—	ul. Dworcowa 9
3. Gdańsk	—	ul. Jaśkowa Dolina 4
4. Katowice	—	ul. Stawowa 16
5. Kielce	—	ul. Wesoła 52
6. Koszalin	—	ul. Kościuszki 7
7. Kraków	—	Rynek Główny 6
8. Lublin	—	ul. Lubartowska 81
9. Łódź	—	ul. Piotrkowska 67
10. Opole	—	ul. Sempołowskiej 2
11. Poznań	—	ul. Polna 33
12. Szczecin	—	ul. M. Buczka 40/42
13. Warszawa	—	plac Trzech Krzyży 16
14. Wrocław	—	ul. Szajnochy 13*
15. Zielona Góra	—	al. Niepodległości 16

Poza tym w tych sprawach, a także i w innych już nie medycznych, ale tzw. „życiowych”, w rozwiązywaniu

wątpliwości etycznych, psychologicznych i innych mogą być pomocne książki:

przeznaczone dla młodszych (12—16-letnich):

Mgr Wanda Kobyłecka i dr Andrzej Jaczewski: *O dziewczętach dla dziewcząt*

Dr Andrzej Jaczewski i dr Jerzy Żmijewski: *Między nami mężczyznami*

Dr Bolesław Zaremba: *O budowie i czynnościach ciała ludzkiego*

dla wszystkich innych:

Dr Kazimierz Imieliński: *Życie seksualne — psychohygienu*

Dr Julian Godlewski: *Życie płciowe człowieka*

Prof. Józef Towpik: *Czy zmiana obyczajowości — wybrane zagadnienia seksualne*

Dr Krzysztof Boczkowski: *Prawidłowy i nieprawidłowy rozwój płciowy*

Dr Zbigniew Sternadel: *ABC życia małżeńskiego*

Zdrowie kobiety: praca zbiorowa pod red. prof. Ireneusza Roszkowskiego

